
3 1761 07835294 5

KS. DR. EDWARD KOMAR

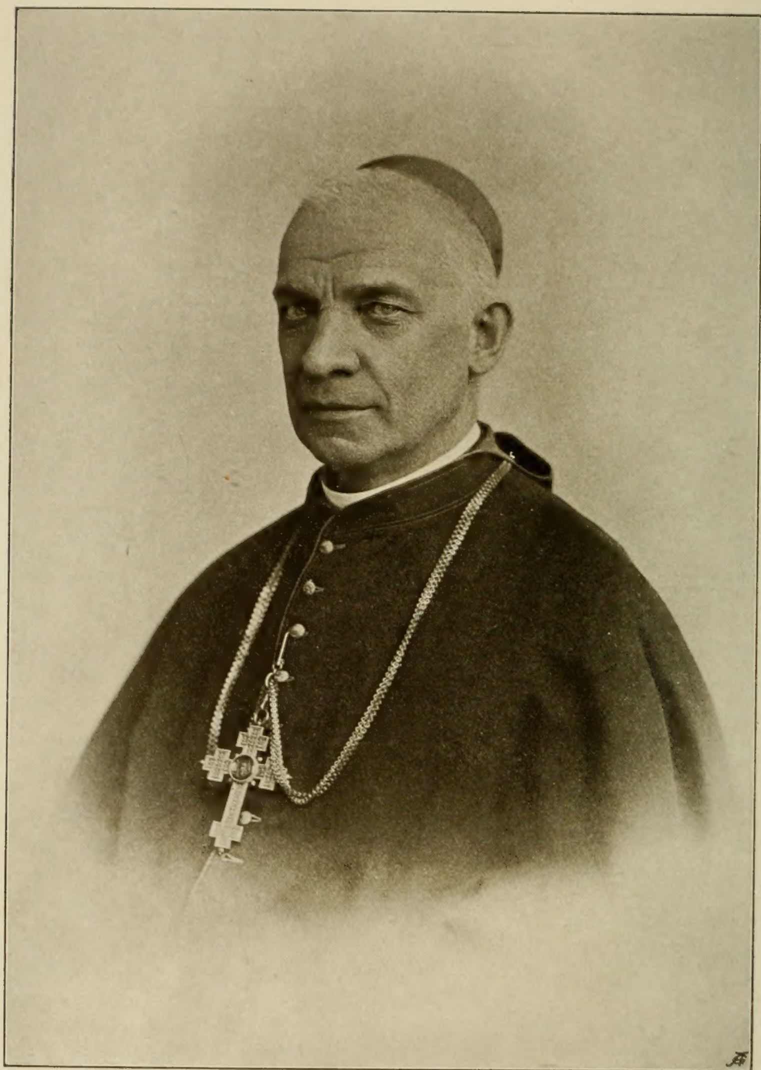
KARDYNAŁ PUZYNA

(MOJE WSPOMNIENIA)



KRAKÓW — 1912
NAKŁADEM AUTORA
KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

KARDYNAŁ PUZYNA



+ J. Kard Puzyna

KS. DR. EDWARD KOMAR

KARDYNAŁ PUZYNA

(MOJE WSPOMNIENIA)



KRAKÓW — 1912
NAKŁADEM AUTORA
KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

Nihil obstat.

J. Mazanek
censor.

Nr. 215.

IMPRIMATUR.

Ab Ordinariatu princ. eppali.

Cracoviae 25. martii 1912.

(L. S.).

† ***Adam Stefan.***

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

SŁOWO DO CZYTELNIKA.

...Tylko wspomnienia... czemu nie żywot Kardynała Puzyny?

Nie czuję się na siłach. Życie i praca Ks. Kardynała w Przemyślu i Lwowie są mi znane, jedynie w bardzo ogólnym zarysie. Uwzględniam je o tyle, o ile słyszałem o nich z Jego ust, a to — przyzna każdy — nie jest wystarczające.

Kardynał Puzyna jest osobistością historyczną. Mam przeto nadzieję w Bogu, że doczeka się z czasem obszernej biografii, skreślonej wszakże nie przez osobę świecką, lecz duchowną, gdyż tylko kapłan może tę wielką duszę poznać, zrozumieć, odczuć i należycie ją oddać.

Zanim to nastąpi, poczuwam się do ścisłego obowiązku ogłoszenia drukiem niniejszych wspomnień.

Dlaczego?

Jeżeli historya Kościoła a w szczególności historya dyecezyi krakowskiej nie będzie mogła przejść nad Kardynałem Puzyną do porządku dziennego, to — sądzę — przysłużę się jej niemało, dostarczając na tych kilkunastu kartkach dość obfitego materyału historycznego i autentycznego, zestawiając najdokładniej to, czego sam byłem naocznym świadkiem, lub o czem z Jego własnych ust słyszałem.

Czy to będzie w istocie świadectwo wiarogodne i autentyczne?

Ufam, że tak. Miałem bowiem tę łaskę, szczęście i zaszczyt być przez ostatni lat dziesiątek spowiednikiem i kierownikiem duszy Kardynała Puzyny, — powiernikiem Jego myśli, poglądów, dążeń i pragnień — poza Spow. św., — co mi nadaje pewną kompetencyę. Mam też dobrą wolę i szczerą intencyę podzielenia się z łaskawym czytelnikiem całą prawdą, jaką zdołałem posiąść o życiu, poglądach i czynach Ks. Kardynała.

Wspomnienia niniejsze są li tylko i wyłącznie moje.

Tak! Byłem ostrożny i sumiennie czuwałem nad tem, by do kartek, które leżą przed nami, nie przedostało się nic, czegobym sam nie słyszał bezpośrednio z ust ś. p. Ks. Kardynała, albo nie widział u Niego własnemi oczyma.

Dlaczego ogłaszam te wspomnienia tak późno, — czemu nie zaraz po śmierci?

Na przeszkodzie stały jedynie obowiązki, które w seminaryum są zawsze cięższe i liczniejsze w pierwszych miesiącach roku szkolnego.

Czy wogóle było wskazane ogłoszenie tych wspomnień drukiem nawet teraz, — czy nie należało raczej odłożyć go na później, z tego mianowicie względu, iż z natury rzeczy muszą być poruszane sprawy zbyt delikatne, zanadto świeże, dla niektórych osób może drażliwe?...

Z tego wszystkiego zdawałem sobie sprawę i — wyznaję otwarcie — to właśnie zachęcało mnie do tem prędszego ogłoszenia ich. Wypadki są świeże — to prawda — ale dodam i niedostatecznie, niedokładnie znane, dlatego błędnie, lub nawet całkiem fałszywie przedstawiane, komentowane — z wielką krzywdą dla ś. p. Kardynała Puzyny, lecz — co jeszcze ważniejsze — ze szkodą sprawy i dobra Kościoła w Polsce i całego społeczeństwa naszego.

Kardynał Puzyna był osobistością nie tylko historyczną, ale zarazem i opatrznościową, co już wielu przyznało, — co przyzna może niejeden z łaskawych czytelników po uważnem przeczy-

taniu tych zapisków, – co wreszcie przyznają wszyscy po pewnym okresie czasu...

Im wcześniej, tem lepiej, — bo tem prędzej przejmiemy w siebie naukę, przykład, łaskę i dobro, jakie nam przez Niego Opatrzność Boża zesłała... Takie wzory wspaniałe, tacy męczennicy idei Chrystusowej, tacy synowie Kościoła i ojczyzny zjawiają się rzadko — bardzo rzadko...

Nie przykrywać ich zatem popiołem i pleśnią zapomnienia, w dodatku fałszywie nieraz osądziwszy, — lecz owszem obowiązkiem naszym jest rzucić jak najwięcej światła na tę wspaniałą postać, by ją jak najlepiej, najdokładniej poznano, należycie oceniono, by — co najważniejsza — nie zapoznawano w ś. p. Kardynale Puzynie owego szczególnego posłannictwa i misyi, jakie miał od samego Boga do całego społeczeństwa polskiego — a przedewszystkiem do Duchowieństwa.

Niedobrze by było, gdybyśmy i ten dar Boży zmarnowali!..

* * *

Ufam, że po tych kilku uwagach, odsłaniających całkowicie moją pobudkę i intencyę w niniejszej skromnej pracy, — zrozumie łaskawy czytelnik łatwo, dlaczego muszę — choć nie bez przykrości — pisać o sobie, tudzież poruszać sprawy bardzo delikatnej nieraz i drażliwej natury...

Z góry zapewniam, iż nikomu przykrości sprawiać nie chcę, pisać jednak jako sprawozdawca i naoczny świadek o wszystkiem dla prawdy i historyi uważam za swój ścisły obowiązek.

Kraków, uroczystość Zwiastowania N. Maryi P. 1912 r.
Rocznica konsekracyi biskupiej ś. p. Kardynała Puzyny.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ I.

Pochodzenie. — Miejsce urodzenia. — Wychowanie. — Szkoły. — Prokuratorya skarbu we Lwowie. — Rekolekcye w Starej Wsi. — Seminaryum duch. w Przemyślu — Wikaryat — Kanonia. — Biskup-Sufragan lwowski — Praca na tem stanowisku przez lat ośm. — Książę-Biskup krakowski.

Jan kniaź z Kozielska Puzyna pochodził ze starożytnego rodu książąt ruskich Puzynów z linii, która w wieku XVIII przybyła z Litwy i osiadła na Rusi. Ojciec, Roman Puzyna, żołnierz napoleoński, uczestniczył w kampanii 1812; pod Lipskiem ciężko ranny, dosłużył się w wojsku polskiem rangi majora. Matka, Konstancya, była córką jenerała Dwernickiego, zwycięzcy pod Stoczkiem 1831 r. — Jan przyszedł na świat jako czwarty syn w majątku ojczystym Gwoźdźcu, w pow. kolomyjskim d. 13 września 1842 r. — Do dziesiątego roku życia pozostawał w domu rodzicielskim, w Gwoźdźcu, gdzie wzrastał i chował się w atmosferze szczerze i głęboko chrześcijańskiej, głównie dzięki pani majorowej. Ojciec odumarł go wcześnie, a wychowaniem najmłodszego, ukochanego syna kierowała odtąd wyłącznie matka, która też wywarła nań wpływ decydujący. Studya gimnazyalne odbył po części we Lwowie, po części w Stanisławowie, gdzie złożył egzamin dojrzałości w r. 1864.

Po ukończeniu studyów prawniczych na uniwersytecie we Lwowie i Pradze zdał chlubnie egzamin na doktora praw we Lwowie. Nie tracąc czasu, wstąpił do służby rządowej w prokuratoryi skarbu za rządów Agenora hr. Gołuchowskiego jako namiestnika Galicyi.

Jan kniaź Puzyna dał się wnet poznać ze swej sumienności i pracowitości, a w sferach towarzyskich ze swej ogromnej

prawości i szlachetności. Lubiano go też bardzo w towarzystwie, więcej ciągniono i zapraszano, niż pragnął. Właściwe jego pragnienia w inną już wtedy zwracały się stronę.

W ósmym roku służby rządowej w 34 roku życia opuszcza nagle Lwów i zamyka się w Starej Wsi w klasztorze OO. Jezuitów. Miesiąc cały trwają rekolekcye, rozmowy duchowne i narady z O. Jackowskim... Ten pobyt w Starej Wsi i osoba O. Jackowskiego wycisną piętno na reszcie Jego życia. Owocem rekolekcyi było wstąpienie do seminaryum duchownego w Przemyślu, dokąd się udał wprost ze Starej Wsi. Rektorem seminaryum był wówczas ks. Skwierczyński, kapłan wielkiej świątobliwości i nauki. Tak on jak i ówczesny biskup przemyski Ks. Hirschler poznali się od razu na zaletach duszy alumna Jana kniazia Puzyny. Dnia 8 grudnia r. 1878 otrzymuje święcenia kapłańskie. Prymicye odprawił w rodzinnym Gwoździcu na pocieszenie sędziwej matki, którą w następnym roku (1879) utracił. Pracę kapłańską rozpoczął od wikaryatu w Przeworsku. W roku 1880 otrzymuje kanonię patronatu Drohojowskich w Przemyślu, a zarazem zostaje wice-rektorem seminaryum.

W jakim kierunku wpływał na młodzież duchowną w seminaryum, zobaczymy później. Z pobytu Ks. Jana Puzyny w Przemyślu zaznaczyć wypada, iż prowadził przez sześć lat restauracyę katedry przemyskiej i był używany przez Ks. biskupa Soleckiego, który w r. 1881 objął stolicę biskupią w Przemyślu, do przeprowadzania spraw trudniejszych, zawilszych i wielkiej energii wymagających w zarządzie dyecezyi. Już wtedy, dał się Ks. Jan Puzyna poznać jako kapłan prawdziwie ducha Bożego, już wtedy zaznaczają się Jego główne przymioty, którymi świecić będzie do końca życia: żelazna praca i energia, sumienność, pilność i akuratność, zdrowy, nadzwyczaj praktyczny umysł, ogromny dar wpływu.

Po ośmiu latach wytężonej, bogatej w owoce pracy w Przemyślu powołano go do Lwowa jako biskupa-sufragana. Sakrę biskupią otrzymał w Rzymie 25 marca 1886 r. z rąk kardynała Ledóchowskiego, którego niezmiernie czcił i za wzór sobie obrał w biskupstwie. W jesieni tegoż roku zajął wyznaczone sobie stanowisko we Lwowie jako biskup-sufragan Ks. Arcybiskupa Morawskiego. Mianowany wkrótce rektorem seminaryum lwowskiego, zajął się natychmiast reorganizacyą seminaryum duchownego.

Potężny ten umysł, a potężniejszy jeszcze charakter jedną, jedyną pracę, jeden wielki cel miał na oku i prawie wyłącznie życie mu odtąd poświęcił a mianowicie: zniszczyć resztki »józefinizmu« w Galicyi, odnowić i ożywić życie katolickie na całej linii... Ku temu wzniosłemu celowi znowu jeden jedyny widział środek najpewniejszy, najskuteczniejszy: podniesienie moralne i umysłowe kleru, by tenże dalej dobrych ojców i dobre matki przyszłych pokoleń wychował. Nie zwlekając ani dnia, wysyłał więcej obiecujących z pośród alumnów na studya do Rzymu i do Innsbruka, by z nich mieć zdolnych profesorów i wychowawców. Nie szczędził na ten cel ni własnych prywatnych funduszów, ni szczuplejszej jeszcze pensyi.

Innego jeszcze dzieła dokonał jako biskup-sufragan lwowski — dzieła, które ma również ogromne znaczenie tak pod względem religijnym jak i narodowym. Archidyecezya lwowska była wówczas, - co się tyczy obrządku łacińskiego, — niwą bardzo zaniedbaną i wymagała wyjątkowej pracy i zabiegów. Brakowało kościołów, brakowało duchowieństwa; katolicka ludność polska, porozrzucana z rzadka między unitami musiała często uciekać się o pieczę duchowną do duchowieństwa ruskiego i uczęszczać do cerkwi.

Czem to groziło z biegiem czasu, każdy łatwo domyślać się może. Ginęły dusze, ginęły wsie całe dla Kościoła łacińskiego, dla narodowości polskiej. Te niedostatki Kościoła łacińskiego na Rusi i grożące stąd niebezpieczeństwa odczuwał silnie Ks. biskup Puzyna. Rozpoczął natychmiast energiczną pracę nad budową kościołów i kaplic we wschodniej części kraju, wychodząc ze słusznego założenia, że każdy kościół tam zbudowany, każda kaplica tam postawiona to nie tylko dom Boży, ale i twierdza narodowa. Akcya, rozwinięta w tej mierze, zyskała prawo obywatelstwa i uprawianą jest dotąd bardzo skutecznie. Nie dosyć na tem. Rozumiał doskonale, że na nic się nie przyda kościół i kaplica, jeśli równocześnie nie będzie porządku w duszy, — jeśli i w duszy nie stanie swego rodzaju kościół lub kaplica... Ks. biskup Puzyna pierwszy zaczął urządzać misye, uświadamiając w ten sposób lud pod względem religijnym, — do pewnego stopnia i narodowym. Skutki okazały się wspaniałe; w przeciągu kilku dni zmieniała się postać wiosek, miasteczek i całej okolicy. Odbywał wizytacye kanoniczne w poszczegól-

nych parafiach archidyecezyi. Ks. arcybiskup Morawski lubił się Nim wyręczać tam, gdzie potrzeba było energii i stanowczości. Między innemi sprawami Jego to delegował na odbycie wizyty biskupiej w Kulikowie, która to wizyta skończyła się usunięciem z probostwa i suspenzą głośnego już wtedy ze zdolności i niespokojnego ducha ks. Stojałowskiego.

Wśród tylu zajęć ani na chwilę nie spuszczał z oka seminaryum duchownego, w którem stale przemieszkiwał i które uważał za najważniejsze pole swojej pracy biskupiej i rektorskiej. Do pomocy dobierał sobie kapłanów, pełnych ducha Bożego, poświęcenia i zaparcia, przywiązujących do wychowania młodzieży duchownej taką wagę, jaką On przywiązywał. Jako wice-rektora seminaryum miał przy boku Ks. Dra Leona Wałęgę, obecnego biskupa tarnowskiego, — ojcem duchownym był ś. p. ks. Kajetan Sakowski ze Zgrom. XX. Misyonarzy, późniejszy rektor seminaryum duch. w Krakowie.

Alumnom w seminaryum był oddany całą duszą. Był im prawdziwym ojcem i przyjacielem, — czuli to wszyscy. Kochali Go też i byli przywiązani do Niego *cum timore reverentiali*. Zasadą Jego było: »dać młodzieży wszystko, na co stać przełożonych, a odwrotnie żądać, aby młodzież dawała to, na co ją stać«.

Według tej zasady był wymagający, nie pobłażał, ale też był najtroskliwszym ojcem. Chorymi alumnami opiekował się prawdziwie jak siostra miłosierdzia.

Od rana do nocy pracą zajęty znajdywał mimo to czas na utrzymywanie stosunków towarzyskich. Sam nie bywał nigdzie, tłomacząc się obowiązkami; bardzo chętnie jednak podejmował u siebie nie tylko duchownych, ale częściej jeszcze świeckich, w czem Mu wielce pomagała znana powszechnie gościnność i ogromna jak we wszystkiem tak i tu prostota form towarzyskich.

Jaką myślą kierował się w utrzymaniu stosunków towarzyskich i w podejmowaniu u siebie od czasu do czasu gości, — zobaczymy później.

Pobyt ks. Biskupa Puzyny we Lwowie dobiega do końca. Wspomnieliśmy bardzo pobieżnie o Jego pracy, — a o cierpieniach? Czy wszystko szło gładko, bez przeszkód, bez bólu? Kto poznał duszę Jego i drogi, jakimi Go Bóg prowadził, ten z góry powie, że nie. — Sam o nich nigdy nie wspominał, — chyba

bardzo ogólnie, jak się przekonamy, — ale żyją jeszcze osoby, które były świadkami wszystkiego, co przechodził we Lwowie.

Kiedy po śmierci kardynała Albina Dunajewskiego († 18 czerwca 1894 r.) zaszła potrzeba obsadzenia stolicy biskupiej krakowskiej, oczy decydujących czynników zwróciły się na ówczesnego Ks. Biskupa-sufragana lwowskiego. Po dłuższem wahaniu zdecydował się Ks. Biskup Puzyna na objęcie krakowskiej stolicy w przekonaniu, że rzucony przez niego na wschodzie posiew nie pójdzie na marne i że w tym samym duchu i kierunku pracować będą jego następcy. Dnia 6 października 1894 r. nastąpiła nominacya Ks. Biskupa Puzyny księciem-biskupem krakowskim. Ojciec św. Leon XIII chcąc jak najrychlej dać osieroconej dyecezyi nowego a tak potrzebnego Arcypasterza nie czekając konsystorza, przez Brewe prekonizował Ks. Biskupa Puzynę 22 stycznia 1895 r.

Wkrótce po ogłoszeniu nominacyi udała się do Lwowa deputacya kapituły katedralnej i duchowieństwa krakowskiego celem powitania Arcypasterza, od którego doznała najserdeczniejszego przyjęcia. Przyjazd Arcypasterza do Krakowa oznaczono na połowę lutego t. r. Trzymając się chwalebnego zwyczaju swych przodków, którzy przed każdą ważniejszą sprawą korzyli się przed cudownym obrazem Królowej Niebios, udał się Książę-Biskup Puzyna do Kochawiny i tam oddał pod opiekę Matki Bożej siebie i obie dyecezye: tę, którą opuszczał i tę, którą miał objąć.

ROZDZIAŁ II.

Przyjazd do Krakowa. — Przyjęcia. — Intronizacya w katedrze Wawelskiej. — Praca na całej linii. — Restauracya katedry. — Rozpisane misye i wizyty pasterskie. — Myśl małego seminaryum. — Seminaryum duchowne na Stradomiu.

Uroczysty wjazd Księcia-Biskupa Puzyny do Krakowa nastąpił we czwartek dnia 7 lutego 1895 r. Na dworcu w poczekalni zebrała się Kapituła katedralna, liczny zastęp duchowieństwa krakowskiego, Uniwersytet Jagielloński, Rada miasta z prezydentem na czele, obywatelstwo krakowskie, naczelnicy władz. Z pociągu od strony Lwowa przybyłego wyszedł Książę-Biskup (w asystencyi ks. Bandurskiego jako kapelana). Szybkim krokiem wszedł do sali. Na powitanie prezydenta miasta odpowiedział prosto, krótko i zwięźle zaznaczając, że przybył do Krakowa z sercem przepełnionem radością, — że od tej chwili czuje się nie tylko biskupem tego grodu, pragnącym dzielić z nim radości i smutki, ale i obywatelem, — że pragnie wspólnie pracować nad podniesieniem Krakowa, gdzie każdy niemal kamień jest uświęcony drogą jakąś pamiątką. Równie szybko jak wszedł, wyszedł ze sali, wsiadł do powozu. W drodze do biskupiego pałacu wstąpił do kościoła N. Maryi Panny w rynku.

Przez kilka dni następnych spieszyli do biskupiego pałacu przedstawiciele różnych instytucyi katolickich, obywatelskich i humanitarnych miasta Krakowa. Następnie zwiedził sam instytucye dobroczynne i humanitarne, szpitale, ochronki, zakony.

Znamiennem i charakterystycznem było to, iż pierwsze swoje kroki po wyjściu z pałacu skierował do seminaryum duchownego na Stradomiu, prowadzonego wówczas przez Zgroma-

dzenie X.X. Misyonarzy. Rektorem był wtedy ks. Kajetan Lakowski, którego przed dwoma laty powołano ze Lwowa do Krakowa. Książe-Biskup Puzyna znał go doskonale jako dawnego ojca duch. i swego współpracownika w seminaryum lwowskiem, — cenił go niezmiernie. To też można sobie wyobrazić, jaka była obopólna radość, że Opatrzność Boża znowu ich razem złączyła do tak zbożnej i świętej pracy w dyecezyi św. Stanisława.

Uroczysta intronizacya w katedrze wawelskiej odbyła się w niedzielę, dnia 17 lutego 1895 r. Dzień był mroźny, choć słoneczny; mróz dochodził do 18°. Mimo zimna zebrało się w katedrze wiele publiczności. Głos Zygmunta doniósł o wyjeździe Księcia-Biskupa z pałacu. Za niedługą chwilę zajechał powóz... Książe-Biskup miał na sobie fioletowe futro. Przy wejściu do katedry przyjął Go w imieniu Kapituły katedralnej ks. prałat scholastyk Matzke (godność dziekana Kapituły była nieobsadzoną), poczem ruszył cały pochód złożony z XX. kanoników, duchowieństwa świeckiego i zakonnego, tudzież alumnów seminaryum do kaplicy Batorego, gdzie się przechowuje Najśw. Sakrament. Stąd po adoracyi Najśw. Sakramentu udano się do ołtarza św. Stanisława, przed którego Relikwiami pomodlił się Książę-Biskup i przeszedł do presbiteryum.

Przy wielkim ołtarzu zajął miejsce na tronie biskupim· Breve papieskie odczytał ks. kanclerz Anatol Nowak. Odczytał też orędzie Arcypasterza do wiernych dyecezyi krakowskiej ks. kapelan, — poczem przemówił jeszcze z tronu sam Książę-Biskup krótko, treściwie, gorąco. Nastąpiło złożenie Arcypasterzowi homagium przez wszystkich obecnych. Pamiętam, — uwagę kapłanów zwracała obecność w katedrze w tej uroczystej chwili O. Szeptyckiego, Bazylianina, obecnego ks. Metropolity i ks. Adama Sapiehy, dzisiejszego Księcia-Biskupa krakowskiego.

Wrażenie, jakie się odniosło z tej pierwszej uroczystości w katedrze było dziwne... Uderzał mianowicie — przynajmniej nas alumnów — zupełny brak głosu u nowego Arcypasterza, tudzież pewien pośpiech w całej akcyi t j. tak w przemowie, jak i w odprawianiu nabożeństwa. Pod tym względem zachodziła wielka różnica między Nim a poprzednikiem, ś. p. kardynałem Dunajewskim, który swą wspaniałą postawą, głosem i majestatyczną powagą dodawał nabożeństwom i wszystkim swoim występom niezmiernego uroku i blasku.

Jednak już wtedy dało się odczuć coś, czego nie było przedtem, a mianowicie pewna jędrność, męskość, energia i gorący zapał do działania, — do czynu. Będzie to specyalną cechą szesnastoletnich rządów Księcia-Biskupa Puzyny w dyecezyi krakowskiej tak, jak było cechą Jego dotychczasowej działalności kapłańskiej w Przemyślu, biskupiej we Lwowie. W Krakowie jako niezawisły Ordynaryusz dokaże większych rzeczy.

Po akcie uroczystej intronizacyi objął nowy Książe-Biskup rządy dyecezyi. Liczne i bardzo ważne czekały Go tutaj zadania. Jakie stosunki panowały wtedy w dyecezyi krakowskiej, nie moją rzeczą jest sądzić. Nigdy też Książę-Biskup Puzyna o nich nie wspominał, na nikogo za nie winy nie składał.

W Imię Boże zabrał się natychmiast do pracy. Przedewszystkiem zajął się restauracyą katedry Wawelskiej, będącej *mater et caput omnium Ecclesiarum Poloniae*. Zarówno artystyczna jak i materyalna strona tego dzieła przedstawiały wielkie trudności.

Książę-Biskup złożył hojną ofiarę 4.000 K. Za Jego przykładem pospieszyło wiele ofiarnych osób, pospieszyła cała dyecezya; zbierano składki we wszystkich świątyniach, sypały się grosze ludu wiejskiego i miejskiego. Arcypasterz zwrócił się o pomoc do Sejmu, do władz centralnych, do różnych instytucyi. W seminaryum przepisaliśmy w sześćdziesięciu egzemplarzach list Księcia-Biskupa do różnych zamożniejszych osobistości na całej ziemi polskiej z prośbą o datki na tak wzniosły cel albo nawet o podjęcie się pokrycia kosztów restauracyi tej lub owej kaplicy bocznej. W Wiedniu wreszcie umiał swymi wpływami i zabiegami uzyskać wydatną pomoc i pokryć tak znaczne wydatki (podobno koło dwóch milionów koron).

Niemniej trudności przedstawia strona artystyczna restauracyi. Książę-Biskup zaprosił z całego kraju najwybitniejszych ludzi fachowych i odbył z nimi zasadniczą konferencyę w pałacu biskupim dnia 24 marca 1895 r. Postanowiono uszanować, co do ostatnich czasów w katedrze wykonanem było. Arcypasterz zaznaczył z naciskiem i kategorycznie, że »przestrzegać będzie, aby odnawiając i uzupełniając katedrę uszanowano wszystko, co dawna historya budynku i nagromadzonych w nim dzieł sztuki oraz najdroższych narodowi pamiątek przekazała tak, ażeby katedra odnowiona i zabezpieczona od dalszej ruiny,

doprowadzoną była do należytego porządku, lecz zachowała tak zewnątrz jak wewnątrz swoją fizyognomię, nabożeństwem i czcią pokoleń uświęconą«.

Za pierwszorzędną jednak pracę uważał duchowe odrodzenie dyecezyi. Począł też orać wsie i miasteczka misyami, rekolekcyami, a wreszcie wizytacyami biskupimi. Słyszałem z ust wiarogodnej osoby, iż już w tydzień po przybyciu do Krakowa zasłane było biurko Pasterza listami w sprawie restauracyi katedry, rozpisanemi misyami w poszczególnych parafiach i zapowiedzianymi na miesiąc maj i czerwiec wizytami kanonicznemi. Jednem słowem dzięki nowemu Arcypasterzowi miał się rozpocząć w dyecezyi potężny ruch naprzód, gorliwa praca na całej linii. Już wtedy myślał również Książę-Biskup o założeniu małego seminaryum. Były to lata, w których mniej podań wpływało do seminaryum duchownego. Składały się na ten smutny objaw różne powody. Jednym z nich były niewątpliwie nieodpowiednie środowiska słabo albo wcale niechrześcijańskie, wśród których nawet wyraźne powołania do stanu duchownego mogły się rozwiewać i przepadać. Wiedział o tem Książę-Biskup Puzyna, doskonały znawca stosunków obecnych i natury ludzkiej. Nie zwlekając przeto postanowił założyć od wakacyi 1895 r. małe seminaryum w pałacu biskupim z własnych funduszów, którego wychowankowie, sami lepsi uczniowie, mieli uczęszczać do jednego z gimnazyów.

Wybitną cechą całej działalności Księcia-Biskupa Puzyny była, — jeśli tak wyrazić można, — podstawowość, pewien radykalizm; zaczynał wszystko od podstaw, od korzenia. To, co dotąd rozpoczął w dyecezyi krakowskiej, nie uważał za najważniejsze, podstawowe. W Jego pojęciu, według Jego poglądu na stosunki dzisiejsze należało przedewszystkiem zwrócić uwagę na reformę kleru t. j. na podniesienie i moralne i intellektualne duchowieństwa. Co w tej mierze uczynił w swej nowej dyecezyi, zobaczymy później. Tu tylko wypada zaznaczyć, iż wśród tylu zajęć, największą troską i pieczołowitością otaczał młodych lewitów, — kleryków.

W dziejach seminaryum dyecezyalnego mieszczącego się w gmachu XX. Misyonarzy na Stradomiu i prowadzonego przez nich, nastała nowa epoka. Wielka przestrzeń, jaka dzieliła do-

tąd kleryków od Pasterza, zaczęła się zmniejszać z chwilą, kiedy nowy Pasterz po raz pierwszy przekroczył progi seminaryum. Odtąd przekraczał je bardzo często, — niemal codzień. Wpadał, kiedyśmy odbywali ćwiczenia duchowne lub spędzali razem rekreacye południowe lub wieczorne, — kiedyśmy siedząc w pokojach zajęci byli nauką. Zaglądał też do jadalni w czasie obiadu lub kolacyi; wchodząc cichutko skinął ręką, by nie wstawano, obszedł stoły, posłuchał, co czytano i wysuwał się również cicho i niepostrzeżenie.

Tegośmy nie widzieli dotąd w seminaryum. Co dziwniejsze jednak, to to mianowicie, iż nie lęk i trwoga, nie jakieś zmieszanie i zakłopotanie ogarniało nas, ilekroć Arcypasterz zjawił się wśród nas, lecz przeciwnie, niekłamana radość i swoboda. Tak, — w Jego obecności czuliśmy się bardzo swobodni; tak umiał się do nas zniżyć, do siebie, jak dzieci do ojca, ośmielić; chodził z nami po korytarzach, po ogrodzie, kazał sobie tonzurę alumnowi na korytarzu wystrzedz, przynosił w kieszeni pomarańcze, jabłka, śmiał się, żartował z nami. Pamiętam, — na ostatki tegoż roku 1895 urządził dla nas w seminaryum tombolę. Słowem wyczuliśmy w swoim nowym Arcypasterzu wielkie dla nas serce i żywe zainteresowanie się nami, naszem dobrem. Szczególna rzecz, w tem swobodnem zachowaniu się naszem względem Arcypasterza nigdyśmy nie przekroczyli granic, nie posuwaliśmy się do niewłaściwej poufałości; kochaliśmy Go szczerze, ale i bali zarazem, — a On umiał nas zbliżyć do siebie, ale i trzymać zdaleka — równocześnie. To sztuka, to wielki dar.

ROZDZIAŁ III.

Wysyłka do Rzymu na studya. — Korespondencya. — Przyjazd do Rzymu 1896 r. — Wakacye na Bielanach 1897 r. — Tryb życia codzienny. — Owoc pracy dotychczasowej w dyecezyi. — Małe seminaryum założone. — Restauracya katedry postąpiła. — Myśl i staranie o odzyskanie Tyńca. — Myśl i postanowienie zbudowania nowego seminaryum duchownego. — Wichrzenia ks. Stojałowskiego.

Było to przy końcu marca 1895 roku. Zawezwano mnie (byłem alumnem III r.) w czasie wieczornej rekreacyi do ks. rektora Sakowskiego. Wchodzę, na kanapie siedzi Książę - Biskup, przy Nim na krześle ks. rektor.

— Czy lubisz się uczyć? — zapytał Arcypasterz.

— Lubię.

— A czego uczysz się z największą przyjemnością?

— Moralnej.

— A dogmatyki nie lubisz?

— W roku ubiegłym uczyłem się jej pod ks. prof. Morawskim z prawdziwą rozkoszą, obecnie na roku trzecim studyujemy tylko moralną i historyę.

— Czyś zdrów, czy nie chorowałeś kiedy?

— Czuję się zupełnie zdrowym, nie chorowałem poważnie nigdy.

— Możesz odejść.

Nawiązując tę rozmowę z późniejszymi wypadkami, zrozumiałem w jakiś czas potem jej cel i powody. Wtedy nie rozbierałem jej zgoła; sądziłem, że taka konferencya z Arcypasterzem czeka każdego kleryka.

Epilogiem do powyższej rozmowy były słowa ks. rektora Sakowskiego, wyrzeczone do mnie w kwietniu, w W. Czwartek. »Pojedziesz na studya do Rzymu wraz z ks. Bystrzonowskim wikaryuszem katedralnym... Książę-Biskup wyjechał na pogrzeb brata (Juliana), w tych dniach wróci, pojutrze w sobotę masz się stawić w pałacu... bieliznę i wszystko na drogę przygotuję ci, wyjedziecie zapewne zaraz po Wielkiejnocy«.

Po ukończonych wielkosobotnich ceremoniach w katedrze, udałem się do pałacu biskupiego. Stary, wierny sługa, Tomasz posadził mnie przy sobie w pokoju pierwszym i począł z powagą opowiadać, jak »tośmy już niejednego kleryka wysłali do Rzymu«. Zanosiło się na długie posłuchanie u Tomasza, kiedy nagle zjawia się w sąsiednim salonie Książę-Biskup. »Jak widzę«, rzekł z uśmiechem, »to ty do Tomasza przyszedłeś na audyencyę«.

Rozmawiał bardzo serdecznie... Mówił o czasach dzisiejszych, o potrzebach Kościoła św. i społeczeństwa, zachęcał do ofiary i pracy; wskazywał na cel, dla którego posyła mnie do Rzymu... »Chcę, żeby nie tylko w głowie było dobrze, ale i w sercu: pierwsze bez drugiego prędzej zaszkodzić może... Bóg przezemnie daje ci wielką łaskę, że możesz dłuższy czas być w Rzymie, odpowiesz na sądzie Bożym za użycie takowej! Nie żegnaj się z nikim, nie pisz do nikogo poza seminaryum, napiszesz dopiero z Rzymu, takie rzeczy powinno się załatwiać jak najciszej, najskromniej, bez trąb i hałasu; wyjedziecie stąd zaraz we wtorek po Wielkiejnocy«.

Audyencya nasza pożegnalna była nadzwyczaj serdeczna i wzruszająca. Arcypasterz przemówił do nas obydwóch w gorących słowach, pełen namaszczenia i wzruszenia zarazem... Wychodził za nami kilkakroć ze salonu i jeszcze raz żegnał, krzyżem czoła znaczył, obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej dobrze schować polecał, miał łzy w oczach... Wyznaję otwarcie, że wtedy nie rozumiałem jeszcze owego nadzwyczajnego wzruszenia u Księcia-Biskupa. Zrozumiałem je później, skorom poznał Jego płomienną miłość do Kościoła św., do Rzymu, jako stolicy chrześcijaństwa — tudzież do młodzieży duchownej.

W ciągu pobytu naszego w Rzymie utrzymywał z nami ciągłą korespondencyę. Listy były krótkie, treściwe, jędrne, jakby z pola walki pisane; zawierały zawsze słowa zachęty do

pracy nad uświęcaniem duszy i pogłębianiem wiedzy teologicznej. Raz zdarzyło się, iż jakoś przez dłuższy czas, przez kilka tygodni nie dawaliśmy znaku życia o sobie z powodu nawału pracy. Książę-Biskup przesyła nam przy okazyi kilkanaście koron z temi lakonicznemi słowy: »na papier listowy, pióra i atrament...«

W marcu 1896 r. mieliśmy szczęście witać swego Arcypasterza na stacyi w Rzymie i gościć wśród murów Kollegium polskiego. Przez cały czas pobytu w wiecznem mieście, zauważyłem, że był niezwykle serdeczny, zawsze podniośle nastrojony, bardzo pobożnie usposobiony i uderzająco skromny — bez żadnych pretensyi, bez wymagań. Rozmawiał z nami często, zawsze brał ze sobą, ilekroć wychodził gdzieś ze Mszą św. Na miejscach cudownych ilekroć odprawiał Mszę św., był bardzo wzruszony; w czasie przygotowania i dziękczynienia całował często swój pierścień biskupi z relikwiami, co, pamiętam, wielce mnie budowało. Szczegół to na pozór bardzo drobny; mnie jednak wiele mówił, a później przyczynił się do wyjaśnienia niejednego postępku Arcypasterza. Mieliśmy też wtedy szczęście być na audyencyi prywatnej u Ojca św. Leona XIII. Książę-Biskup był bardzo wzruszony. Rozmawiał długo sam na sam z Ojcem św., poczem wpuszczono nas.

Wakacye 1897 roku spędziłem przy boku Księcia-Biskupa na Bielanach, gdzie też otrzymałem z Jego rąk święcenia kapłańskie wraz z ks. Hanuszkiem, odbywającym wówczas studya w Innsbruku. Wtedy to przypatrzyłem się poraz pierwszy dokładnie prywatnemu życiu Księcia-Biskupa Puzyny.

Znane są powszechnie Bielany, mila od Krakowa, klasztor OO. Kamedułów w przecudnem położeniu na wzniesieniu dosyć znacznem, przylegający z jednej strony las, z innych stron roztacza się wspaniały widok na Kraków, Kalwaryę, Tyniec i przerzynającą całą tę okolicę — Wisłę. Książe - Biskup umiłował wielce to ustronie; tu spędzał corocznie kilka letnich tygodni, dopokąd zdrowie pozwalało. Miał tu wszystko, czego pragnął dla wypoczynku: świeże powietrze, cudny krajobraz, blizkość Krakowa, a przedewszystkiem ciszę i spokój, które tak odpowiadały głęboko pobożnej Jego duszy. Nie przerywał sobie pracy, gdyż codziennie przesyłano Mu z Krakowa z konsystorza

papiery i pocztę; we środy jeździł do Krakowa dla odbycia sesyi konsystorskiej, tudzież przypatrzenia się restauracyi katedry. W obrębie murów klasztornych, oddzielnie od eremu zakonnego stoi dom o kilku pokojach na górze (poziom kościoła) i tyleż na dole (poziom ogrodu). Książę - Biskup zajmował ubikacye górne; pokoje dolne były przygotowane dla gości: kapłanów lub kleryków. W tym samym domu, w przedłużeniu znajdowała się kuchnia i mieszkania dla służby. Z drugiej znowu strony przypierała do saloniku weranda, z której roztaczał się wspaniały widok na całą okolicę, przepasaną srebrną wstęgą Wisły.

Jak wspomniałem, spędzając na Bielanach wakacye 1897 r., miałem sposobność przypatrzeć się poraz pierwszy prywatnemu życiu Księcia - Biskupa Puzyny. Wstawał o godz. piątej rano. O godzinie szóstej szedł do kościoła celem odbycia medytacyi i odprawienia Mszy św. Rozmyślanie trwało do godz. wpół do siódmej, poczem jako przygotowanie wysłuchał Mszy św. O godzinie siódmej odprawiał sam Mszę św., po której wysłuchał jeszcze jednej Mszy św. jako dziękczynienie. Śniadanie (mleko), przechadzka po ogrodzie z brewiarzem lub książką do czytania. Godzina dziesiąta — wracał do domu, przygotowywał papiery, korespondencyę. Koło godziny jedenastej przywożono »pocztę«, którą natychmiast załatwiał. Wszystkie papiery dokładnie odczytywał, gdzie było potrzeba, podpisał. Załatwianie »poczty« trwało do obiadu — do godz. wpół do pierwszej. Na »Anioł Pański« kładł pióro i zwracając się w stronę kościoła odmawiał go z wielką pobożnością.

Obiad na werandzie lub w pokoju — zależało od pogody. Przy stole wielka prostota i wstrzemięźliwość. Sam jadał bardzo mało mięsa — zawsze białe — odmawiał sobie wszelkich legumin. Najwięcej używał jarzyn, jaj, owoców, nabiału. Trunków nie pijał nigdy — i to zgoła żadnych, jak również ani herbaty ani kawy. Przy obiedzie i kolacyi pijał wodę albo zwykłą, albo najczęściej alkaliczną. Tej wstrzemięźliwości, jak mawiał, nauczył się w domu rodzicielskim — »tak mnie matka nauczyła«.

Przed jedzeniem i po jedzeniu odmawiał modlitwy, myśmy odpowiadali; po obiedzie prowadził nas do kościoła na dziękczynienie i rachunek sumienia. Po dziękczynieniu wyprawiał

»pocztę« — poczem czytał na werandzie lub w ogrodzie na słońcu gazety lub książki, odmówiwszy poprzednio brewiarz. Lubił chodzić. W owym czasie zdrowie Arcypasterza było dosyć dobre, choć już wtedy miewał ataki sercowe i cierpiał na hemoroidy. Chadzaliśmy na dalekie spacery poza mury klasztorne, do lasu, w pola, lub schodziliśmy na dół ku Wiśle, zażywając czasem kąpieli. Zauważyłem podczas tych przechadzek, jak bardzo kochał Książę-Biskup naturę, jak odczuwał jej piękność i niewinność. Czasem przerywał zadumę słowy: »czemu to tyle dusz nie kocha Pana Boga i nie pełni Jego św. Woli — byłyby wtedy piękniejsze, niż ta oto natura...« Wszędzie, gdzie był, chciał mieć jak najwięcej światła; nie uciekał przed promieńmi słońca, owszem przeciwnie, unikał cienia. »Słońce jest najlepszym lekarzem«, mawiał, »ono i na duszę dobrze wpływa«.

Brewiarz na dzień następny odmawiał albo podczas przechadzki, albo po przechadzce — w kościele. Kolacya o godzinie szóstej; po kolacyi pacierze wieczorne w kościele i »dobranoc«. Przed godziną dziewiątą udawał się na spoczynek zawsze.

Wrażenie, jakie odniosłem z kilkotygodniowego pobytu na Bielanach przy boku Księcia-Biskupa Puzyny, było ogromne. Pokochałem Go już wtedy całem sercem — szczerze, głęboko. Imponowało mi Jego życie tak proste i święte, pełne zaparcia siebie, a miłości i poświęcenia dla Boga i wszystkiego, co Boże. Każdy z ludzi doznaje nieokreślonego, błogiego uczucia i mimowoli sam czuje się lepszym, skoro spotka w życiu kapłana prawdziwie Bogu oddanego i doń się zbliży.

Nie zauważyłem przez cały ciąg wakacyi nic takiego, coby mnie raziło, coby nie odpowiadało mojej idei i pojęciu, jakie miałem o kapłanie i słudze Pana Jezusa. Owszem, widziałem je zrealizowane w osobie i życiu Arcypasterza. Niewątpliwie pobyt na Bielanach i dobroć Arcypasterza sprzyjały mojej miłości własnej, ale — pamiętam — nią się nie kierowałem. Oznaki życzliwości i dobroci raczej mnie upokarzały i trwogą mą duszę napełniały... poczytywałem sobie takowe za wielką łaskę Bożą, której się w przyszłości bałem sprzeniewierzyć i za którą — czułem — że kiedyś rachunek na sądzie Bożym składać mi przyjdzie. Książę-Biskup zresztą tak postępował z nami, iż nie miało się nawet pokusy odnosić czegoś do siebie, lecz je-

dynie do Pana Boga. Nie było pieszczot, faworyzacyi, czułostkowości. Czy przy stole, czy przy załatwianiu »poczty«, czy nawet w kościele uwagę zwrócił, upomniał, pouczył; a czynił to zawsze po męsku, stanowczo, jasno. Wszystko się jednak wdzięcznie przyjmowało, gdyż się czuło, że pochodzi z iście ojcowskiego serca, które szczerze pragnie dobra duszy.

Cóż było zrobione w dyecezyi do tego czasu, t. j. do połowy 1897 roku?

Regularnie co roku z wiosną i w jesieni odbywały się misye w poszczególnych dekanatach, kolejno; za misyami szły wizytacye biskupie. Małe seminaryum już istniało od dwóch lat, liczyło 30 studentów, przeważnie celujących. Restauracya katedry była w pełnym biegu. Czuwał nad nią osobny artystyczny komitet, powołany do życia przez samego Księcia-Biskupa, złożony z wybitnych znawców. Duszą komitetu był Książę-Biskup. Uczestniczył we wszystkich jego pracach, a nadto pilnował szczegółów wykonania. Ilekroć w czasie pobytu na Bielanach był w Krakowie, pierwsze kroki kierował ku katedrze; spinał się po rusztowaniach, zaglądał w każdy kąt, zbliżał się do robotników, zachęcając serdecznemi słowy i nagrodami do najlepszego, najsumienniejszego wykonania wszystkich szczegółów.

Nie tylko restauracya katedry zaprzątała wtedy głowę Arcypasterza. Siedząc na werandzie brał Książę-Biskup lunetę i zwracał ją w stronę Tyńca. »Patrzcie, to wszystko — i te lasy i te pola i te zabudowania folwarczne były niegdyś własnością kościelną, zakonu OO. Benedyktynów; zagarnął je rząd, który nie dba dziś o to i zapewne żadnych nie ma stąd korzyści... jakaby to idealna była rzecz wydostać Tyniec z rąk rządu i przywrócić go Kościołowi; wiem, cobym tam urządził«.

Od myśli do czynu niedaleka była droga u Księcia-Biskupa Puzyny. Prócz katedry Wawelskiej uratuje drugi stary zabytek — Tyniec, od grożącej mu niechybnie zagłady i ostatecznego zniszczenia. Wszczyna pertraktacye z rządem, uwieńczone za jakiś czas pomyślnym skutkiem — o czem wspomnimy poniżej.

Czy to już wszystko, co leżało na sercu Arcypasterzowi?

O nie! Widzieliśmy, jaką wagę przywiązywał Książę-Biskup Puzyna do wychowania kleru, jaką troską i pieczołowitością

otaczał seminaryum duchowne czy w Przemyślu, czy we Lwowie. Na seminaryum krakowskiem zależało Mu jeszcze więcej. Wiemy już, że dotąd seminaryum dyecezyalne prowadzili XX. Misyonarze w swoim domu na Stradomiu. Arcypasterz nie miał wskutek tego bezpośredniego wpływu na ten zakład; młodzi lewici nie rośli pod Jego ręką, On nie mógł tego seminaryum nazwać całkowicie swojem. Dołączyły się do powyższego względu braki techniczne dotychczasowego seminaryum jak: brak pomieszczenia i niewygodna konstrukcya gmachu.

Arcypasterz, spostrzegłszy te braki i niedogodności, zapragnął postarać się o utworzenie nowego seminaryum. W czasie, o którym piszemy, już miał tę myśl i pragnienie. Postanowił zawczasu kołatać u rządu o nowy budynek. Swoimi silnymi wpływami dokaże i tego, jak się przekonamy.

Mimochodem dodać należy, że od lat dwóch trwają wysyłki zdolniejszych kleryków na wyższe studya do Rzymu i do Innsbruka. We wzmiankowanym roku 1897 było dwóch w Innsbruku, a trzech w Rzymie w Kollegium polskiem. Z czasem dzięki nowym zabiegom Księcia - Biskupa liczba stała odbywających studya za granicą wynosić będzie siedmiu: z czego trzech, czasem czterech przypada na Rzym, a trzech na Innsbruk.

Jak widzimy, rozpoczęła się orka na dobre; pług zapuszczony głęboko, poruszał każdą piędź ziemi... W dyecezyi panował ruch, praca na całej linii... W jakich warunkach? Z każdym niemal tygodniem coraz gorszych... Piekło wysyłało swoich robotników, bo szatan nie mógł przecież patrzeć obojętnie na płomienną gorliwość i apostolską pracę nowego Pasterza. Wzniecał przeto burzę i wichury, wszędzie, gdzie mógł, figla płatał, kąkol zasiewał... Był to czas, kiedy po miastach rozwielmożył się wielce socyalizm. Po wsiach znowu uganiał trybun ludu w sutannie, ks. Stojałowski, ów wichrzyciel, który to nigdy, aż do śmierci, miał nie opuszczać Księcia-Biskupa Puzyny.

Lecz nie wyprzedzajmy wypadków.

Po wakacyach 1897 r., które dopiero co opisałem, wróciłem na dalsze studya do Rzymu. We wrześniu wyjeżdża Arcypasterz z ks. kanonikiem Nowakiem do Rzymu w sprawach dyecezyalnych. Przez dwa dni bawi wśród alumnów kollegium polskiego, przepędzających wakacye w Albano. Wraca przez

Szwajcaryę, Bawaryę, Czechy. Odwiedza w Pradze kardynała Schönborna, który był Jego współkonsekratorem przy święceniu na biskupa w Rzymie, wraz z ks. arcybiskupem Józefem Sembratowiczem obrz. gr. kat.

W r. 1898 d. 30 czerwca wyjeżdża Ks. Kardynał z ks. kanonikiem Nowakiem na kuracyę do Heyst-sur-mer w Belgii.

Przez parę lat nie zaszło nic takiego, coby się nadawało do umieszczenia w niniejszych zapiskach. Pamiętam tylko, że w całej Galicyi — najwięcej wszakże na ziemi krakowskiej — szalała burza, której odgłos dochodził aż do Rzymu. Były to najzaciętsze zapasy między XX. Biskupami — a właściwie Księciem - Biskupem Puzyną a ks. Stojałowskim, wiodącym lud przeciw Pasterzom...

ROZDZIAŁ IV.

Pielgrzymka jubileuszowa polska 1900 r. — Porto d'Anzio. — Bielany 1900 r. — Jubileusz poza Rzymem 1901 r. — Konsekracya ks. Biskupa Nowaka. — Intronizacya X. X. Biskupów galic. — Seminaryum duchowne na ukończeniu.

Rok jubileuszowy 1900 sprowadza Księcia - Biskupa Puzynę do Rzymu w kwietniu. Przybył na kilka dni przed pielgrzymką polską z ks. kanonikiem Anatolem Nowakiem. — W drodze do Rzymu zatrzymali się w Wiedniu dla uczczenia św. Klemensa Hofbauera, wówczas jeszcze błogosławionego, w Padwie dla uczczenia św. Antoniego, w Bolonii św. Dominika.

Byliśmy na audyencyi u Ojca św. Leona XIII. Mówiono wówczas wiele o wypadkach, które miały zajść w dyecezyi krakowskiej i przyczynić się do jej uświetnienia i blasku. Kraków miał pozyskać nowego kardynała w osobie swego Biskupa, księcia Puzyny, — a nadto Biskupa-sufragana w osobie ks. kanonika katedralnego Anatola Nowaka. Ks. kanonik Nowak wypraszał się szczerze od tej godności; przypuścił szturm do Niebios w tej intencyi, — Księciu - Biskupowi przedstawiał swoje racye, iżby raczej na kogo innego godność biskupa - sufragana włożył. Ostatecznie rozstrzygnęła się sprawa w czasie wzmiankowanej audyencyi u Leona XIII. Wypowiedziawszy do każdego z nas, klęczących u Swoich stóp, jakąś uwagę, — do ks. kanonika Nowaka obok innych te skierował słowa: »Lascia fare ciò, che si sta facendo« (pozwól, niech się stanie z tobą to, co się ma stać)...

W kilka dni potem przybyła do Rzymu pielgrzymka polska pod przewodnictwem ś. p. Ks. prał. Winc. Smoczyńskiego. Nawiasem mówiąc, pielgrzymka ta nie powiodła się. Pominąwszy za wielką liczbę pielgrzymów, tudzież wykolejenie się pociągu w Udine, co przyprawiło kilkanaście osób o skaleczenia, w samym Rzymie nie było gdzie ulokować pątników. Hospicyum bowiem św. Marty tuż przy Watykanie, zamówione przedtem dla pielgrzymki polskiej, zajęli pielgrzymi bawarscy, o czem dowiedział się Ks. prał. Smoczyński dopiero po przybyciu do Rzymu. Trzeba było szukać kwater po domach prywatnych, przyczem oczywiście nie obyło się bez wyzysku ze strony Włochów. Księży Biskupów polskich było mało z powodu osierocenia stolic biskupich w Tarnowie, Przemyślu i Lwowie.

Pielgrzymi polscy zabawili w Rzymie przez dziesięć dni. Byli przyjęci na uroczystej audyencyi przez Leona XIII. — Celem zyskania odpustów obchodziliśmy gromadnie oznaczone bazyliki Rzymu. Przewodniczył Książę-Biskup Puzyna. — Czując się tem zmęczonym i wyczerpanym już przy samym końcu pobytu pielgrzymki polskiej w wiecznem mieście, wyjechał Książę - Biskup do Porto d'Anzio, miejscowości, leżącej tuż nad morzem, kilka mil od Rzymu, by tam odpocząć nieco. Zabrał ze sobą oprócz służącego i mnie, bym mógł również odpocząć i uczyć się do ostatniego egzaminu, jaki mnie czekał w lipcu tegoż roku. Zabawiliśmy tam przez cały tydzień, zamieszkali w hotelu »Sirene«, — tuż nad morzem. Zauważyłem, że Książę-Biskup zwraca szczególną uwagę na mój tryb życia, rozmowy i całe zachowanie się. Często zrana, jeszcze przed Mszą św. lub wieczorem wpadał do mego pokoju, a widząc mnie przy rozmyślaniu lub przy pacierzach wieczornych, cofał się. Zasypywany też byłem różnemi pytaniami, jak się zapatruję na tę lub na ową kwestyę. — Dziś rozumiem całe to postępowanie Arcypasterza ze mną, — dziś widzę, że wtedy dokonywało się jakieś ważne postanowienie w Jego duszy co do mojej przyszłości, co do rodzaju zajęć po powrocie do kraju. Nie wiedząc o tem, zdawałem w Porto d'Anzio egzamin... Po paru dniach przybył do nas nad morze ks. kanonik Nowak z Pagani, gdzie był polecić się św. Alfonsowi.

Wakacye 1900 roku spędziłem również na Bielanach. Zauważyłem większy upadek sił u Księcia - Biskupa... Już nie cho-

dził na dalsze spacery, ani na dół ku Wiśle; jeśli zaszedł do lasu, nie mógł bez koni wrócić pod górę do domu. Ataki sercowe ponawiały się częściej... Tryb życia ten sam, jak zawsze, więcej skupienia i rozmodlenia odbijało się na twarzy i w całym trybie życia. Przy boku ma zawsze dwóch, trzech kleryków, lub kapłanów przez siebie na Bielanach wyświęconych, odbywających studya w Rzymie lub Innsbruku, — dla wszystkich bardzo serdeczny, ojciec prawdziwy. Oni otaczają swego Pasterza wielką czcią i miłością, — swobodni, otwarci i szczerzy, wiarą i miłością Boga silni, w pobożności rozmiłowani: z Bielan wyjeżdżali zawsze lepsi... Taką atmosferę umiał wytworzyć naokoło siebie Książę-Biskup Puzyna! Czem? Swojem życiem, swoim przykładem! Nie wygłaszał konferencyi duchownych, nie bawił się »w morały«, niczego nie narzucał, — nie wiedząc o tem, rzucał nam przed oczy na każdym literalnie kroku swoje cnoty, swego ducha potężnego, swoje serce promieniejące miłością Boga i miłością dusz ludzkich prawdziwą, rzetelną, męską!

Z dniem 1 września 1900 r. udałem się na parafię do Morawicy, obok Krakowa. Książę-Biskup odbywał wtedy wizytacyę — nie pamiętam dobrze — którego dekanatu. Przy końcu września zjeżdża niespodzianie do Morawicy. Zastał nas, parafialnych księży, w kościele słuchających Spow. św. rekrutów. »Przyjedź ksiądz do Krakowa w dniu, w którym będzie mniej zajęcia«... — Jeździłem co miesiąc. — Za każdym prawie razem brał mnie ze sobą do katedry, która wkrótce miała być oddana do użytku, — stamtąd zaś do budującego się u stóp Wawelu seminaryum duchownego. Jak się cieszył tym gmachem; opowiadał, pokazywał, gdzie co będzie, — jak wspaniałe będą witraże, już zamówione, — ołtarz cały z marmuru czerwonego, zamówiony w Peszcie, statua Serca Pana Jezusa zamówiona we Florencyi, gdzie stać będzie ambonka, gdzie mieszkania X. X. Przełożonych... »Piękny, wygodny będzie gmach, — oby tylko dobry duch tu panował, — Duch Boży powie księdzu w swoim czasie więcej«...

Dnia 30 grudnia tegoż roku 1900 w niedzielę odbyła się w kościele Najśw. Maryi Panny konsekracya ks. kanonika Anatola Nowaka na Biskupa Irenopolitańskiego, sufragana krakow-

skiego. Uroczystego aktu dokonał Książę-Biskup. Współkonsekratorami byli X. X. Biskupi: Weber i Pelczar. Miałem szczęście brać udział w tej uroczystości.

Nadszedł rok 1901, — rok jubileuszowy w całym katolickim świecie — poza Rzymem. Rozpoczęliśmy go po parafiach uroczystem nabożeństwem o godz. 12 w nocy przy wielkim udziale wiernych cisnących się tłumnie do Stołu Pańskiego. W styczniu bierze udział Książę-Biskup wraz z Ks. Biskupem-sufraganem Nowakiem w uroczystej intronizacyi Ks. Biskupa Pelczara w Przemyślu, poczem wyjeżdżają obydwaj nasi Pasterze do Lwowa, gdzie ma się odbyć intronizacya Ks. Arcybiskupa Szeptyckiego na metropolię lwowską obrz. grecko-katol. W tydzień potem dokonuje Książę-Biskup konsekracyi Ks. Arcybiskupa Bilczewskiego we Lwowie — podobno już z silną gorączką. Chory wraca do Krakowa. Choroba przybrała takie rozmiary, iż obawiano się katastrofy. — Dzięki gorącym modłom w mieście, — zwłaszcza po domach zakonnych, — dzięki troskliwej opiece lekarskiej Dra M. Buzdygana minęło niebezpieczeństwo, — zdrowie wracać zaczęło. — Za poradą lekarską wyjeżdża Książę - Biskup do Amalfi w południowych Włoszech. Wstępuje oczywiście do Rzymu. — W kwietniu wraca do Krakowa »pokrzepiony na duszy i ciele«, jak donosić raczy z drogi.

Za Księciem-Biskupem przybywa do Krakowa ablegat papieski Monsignor Caccia-Dominioni i gwardzista papieski hr. Salimei, który dnia 23 kwietnia wręczył Księciu - Biskupowi purpurowe zucchetto kardynalskie. Uroczystość wręczenia Ks. Kardynałowi biretu kardynalskiego przez cesarza odbyła się w Budapeszcie. — Z prawdziwym zapałem witali w dniu 26 kwietnia mieszkańcy Krakowa Jego Eminencyę powracającego z Budapesztu, zjednoczeni w podniosłem uczuciu przywiązania i wierności do Kościoła, których objawem był entuzyastyczny hołd, złożony nowemu Jego Dostojnikowi.

W maju tegoż roku 1911 konsekruje Ks. Kardynał Puzyna w katedrze w Tarnowie Ks. Kanonika lwowskiego Dra Leona Wałęgę na Biskupa tarnowskiego.

W czerwcu udaje się po raz pierwszy na wizytacyę biskupią reszty dekanatu niepołomickiego i całego dekanatu my-

ślenickiego Ks. Biskup - sufragan Nowak, zabierając łaskawie i mnie ze sobą.

Wakacye 1901 roku spędza Ks. Kardynał jak zwykle na Bielanach. Ze względu na zmniejszoną pracę w parafii poleca mi częściej przyjeżdżać do siebie. W drugiej połowie sierpnia otrzymuję wezwanie bilecikiem, bym się stawił na Bielanach. Pamiętam, — było to po południu, kiedy przybyłem. Po kilku, jakby od niechcenia rzuconych pytaniach, tyczących się zdrowia, pracy na parafii, kazał mi Eminencya usiąść na kanapie w saloniku... Sam zajął miejsce na fotelu... Wyraz twarzy, łzy w oczach i cały jakiś dziwny nastrój, który się zaraz na Eminencyi zauważyć dawał, — świadczyły, iż miał załatwić jakąś ważną i wielką sprawę. Zaczął mówić poważnie i uroczyście o obecnem położeniu Kościoła św., naszego społeczeństwa... wykazywał, że jeżeli kiedy, to w obecnych czasach potrzeba świątobliwych, prawdziwie wedle Serca Bożego kapłanów, że Mu leży na sercu seminaryum i uważa za najważniejszą pracę wychowywanie kapłanów... że mnie powierza obowiązki ojca duch. w swojem seminaryum... Któżby się, co choć troszkę ma wiary i bojaźni Bożej, — któżby się na takie słowa nie wzruszył i z płaczem od takich obowiązków i odpowiedzialności nie wypraszał? Odpowiedzią też moją był płacz i słowa, że jestem za młody, że nie mam odpowiedniego doświadczenia i usposobienia po temu... Eminencya słuchał z początku spokojnie, po chwilce powstał i rzekł pospiesznie i stanowczo: »Duch św., Duch św... Ja Biskup każę... ksiądz święciłeś się na to, by iść do pracy tam, gdzie Cię Biskup pośle...« poczem zaczął szybko chodzić po pokoju. Zbliżyłem się, całując rękę przeprosiłem Eminencyę, że mówię, co czuję, ale przykrości wyrządzać Mu nie chcę. — Przycisnął do serca, począł dalej chodzić po pokoju i tłumaczyć mi, że nie mam się czego obawiać, — że Pan Bóg do wielkich rzeczy używać zwykł ludzi słabych, że tu wiara i łaska Boża są czynnikiem najważniejszym, a tych Pan Bóg nie odmówi, — że mi przyjemnie będzie i łatwo pracować przy boku Ks. Biskupa Nowaka jako rektora seminaryum, który jest tak świątobliwy i tyle ma doświadczenia... Tę całą powyższą rozmowę zakończył temi słowy: »Tylko ksiądz sam pracuj nad sobą, żyj sam życiem wiary, łaską Bożą, a wierzaj mi, moim biskupim słowom i memu własnemu doświadczeniu, wszystko

pójdzie dobrze, iskry sypać się będą... a szatan dobrze się skuli. 1-go września opuścisz ksiądz Morawicę, jedź gdzie na wypoczynek, odpraw sobie rekolekcye i z dniem 1-go października stawisz się do nowego seminaryum, które zapewne w pierwszych dniach października poświęcę i oddam Wam do użytku«.

ROZDZIAŁ V.

Choroby dzisiejsze. — Lekarstwo. — Seminaryum duchowne. — Małe seminaryum. — Internat św. Jana Kantego.

Dnia 28 września 1901 r. dokonał Eminencya poświęcenia gmachu seminaryum i kaplicy, — tudzież konsekracyi ołtarza. W kilka dni potem zjechali się alumni w liczbie siedemdziesięciu wraz z nowo przyjętymi — w Imię Boże puściliśmy maszynę w ruch pod kierunkiem Ks. Biskupa Anatola Nowaka jako rektora seminaryum dyecezyalnego.

Można powiedzieć, że od tej chwili w życiu Ks. Kardynała Puzyny i w Jego pracy pasterskiej zaczyna się nowy, ostatni okres. Dotąd zajęty był przygotowaniem materyału, stawianiem rusztowania, — teraz miał przystąpić do właściwej budowy, — dotąd szkicował, teraz miał się zabrać do szczegółów, — stwarzał sobie warunki zewnętrzne, odtąd pracować będzie cicho i wytrwale nad wewnętrzną reorganizacyą dyecezyi, poczynając od podstaw. Składały się po temu różne okoliczności. Stan zdrowia był tego rodzaju, iż kazał Mu więcej uważać na siebie, mniej oddalać się z pałacu. Ataki sercowe, później mózgowe ponawiały się częściej; hemoroidy niszczyły organizm w wysokim stopniu. W okresie ostatniego dziesięciolecia tylko trzykroć wyjeżdża za granicę z polecenia lekarza nad morze do Torre del Greco koło Neapolu, drogą oczywiście przez Rzym i na conclave do Rzymu. Zresztą nie wydalał się z dyecezyi nigdzie, — może tylko dwa lub trzy razy do Lwowa w bardzo ważnych sprawach. Wakacye spędzał jak zwykle na Bielanach z wyjątkiem ostatnich przed śmiercią.

Parę razy zaledwie mógł się wybrać w tym okresie na objazd dyecezyi, — wizytacyę wszakże musiał przerwać, — z czasem zupełnie zaniechać na wyraźne polecenie lekarza. Odbywał je w dalszym ciągu Ks. Biskup Nowak.

Wspomniałem o stworzeniu sobie przez Eminencyę warunków zewnętrznych, ułatwiających Mu pracę nad wewnętrzną reorganizacyą dyecezyi. — Tak było w istocie. Restauracya katedry nie była wprawdzie ukończoną całkowicie, o ile jest mowa o poszczególnych kaplicach, których odnawianie z rozmysłu rozłożono na lat kilka. Nawy jednak były w tym czasie odnowione, katedra do użytku oddana.

Również oddany do użytku nowy gmach seminaryum. — Pomyślnie też została załatwiona sprawa z Tynieckiemi dobrami. Według brzmienia urzędowego układu Tyniec przepisany został na własność t. zw. funduszu religijnego z prawem użytkowania przez biskupów krakowskich po wszystkie czasy. W zamian za to zrzekł się Ks. Kardynał Puzyna pewnej części swej pensyi.

Naonczas przycichła również burza, wzniecona w swoim czasie przez Ks. Stojałowskiego. — Alumni wysyłani na studya za granicę do Rzymu i Innsbruka poczęli wracać po ukończeniu tychże. Słowem po sześcioletniej zaledwie pracy w dyecezyi krakowskiej doczekał się Ks. Kardynał warunków takich, iż mógł zabrać się teraz do pracy głębszej, bardziej wewnętrzne odrodzenie na celu mającej.

Gdyby kto zapytał, do jakiego dzieła przywiązywał Kardynał Puzyna największą wagę, — w co włożył najwięcej potu i znoju — nie tylko, ale całą duszę i serce swoje, odpowiem: w seminaryum duchowne, w dzieło wychowania kapłanów Chrystusowych!

Seminaryum dyecezyalne było dla Eminencyi źrenicą oka, dzieckiem najulubieńszem. Cieszył się i Panu Bogu dziękował, że Mu pozwolił odnowić katedrę Wawelską, wyrazić się nie da, jak gorąco pragnął, jak do Niebios pukał, jakich starań dokładał, by odnowić ducha w dyecezyi, — zwłaszcza wśród kapłanów... Mawiał nieraz: »Dobrych księży jak najwięcej, ożywionych prawdziwie duchem Bożym i kościelnym, a dyabeł dobrzeby się skurczył«...

Jak wszędzie, tak i tu kierował się Kardynał Puzyna bar-

dzo prostą logiką: Źródłem wszelkiego dobra i wiecznego i doczesnego, — źródłem jedynem pokoju i szczęścia jest Pan Bóg — alfa i omega, początek i koniec wszystkiego... Drogę wiodącą do Pana Boga czyli do pokoju i szczęścia ukazał Pan Jezus, Bóg-Człowiek, Swojem życiem, Swoją nauką — tak dla jednostek, jak dla rodzin, jak dla poszczególnych narodów i całej ludzkości. Nauka Pana Jezusa czyli religia katolicka zawiera zatem środki wiodące do tego celu, — lekarstwa na wszystkie możliwe choroby jednostek, narodów i społeczeństw po wsze czasy...

Głosicielami nauki Chrystusowej, — pośrednikami między Bogiem a ludźmi z ustanowienia Chrystusowego są kapłani. Oni to ze swego powołania i namaszczenia są przewodnikami dusz, całej ludzkości na drodze do wiecznych przeznaczeń, do krainy prawdziwego pokoju i szczęścia. — Dzieje zaś uczą, że jacy kapłani, takie społeczeństwo... Któż nie widzi, nie czuje opłakanego położenia dzisiejszej ludzkości? Ileż to zjadliwych chorób ją toczy? Nie masz kącika na ziemi, nie masz dziedziny społecznego życia, gdzieby jakiejś choroby, jakiegoś raka nie było! Eminencya ogarniał swoim bystrym i przenikliwym wzrokiem całe pole walki... swojem wielkiem sercem kapłańskiem obejmował wszystkie potrzeby Kościoła św., swego narodu i całej ludzkości... widział wiele dodatnich stron i pocieszających objawów — nieraz je podnosił, — ale widział więcej złego: to zmateryalizowanie społeczeństwa, kult ciała i grosza, pychę okrutną, — widział realizowanie z żelazną konsekwencyą i energią programu żydowsko - masońskiego odchrześcijanienia społeczeństwa, — widział chaos w pojęciach, w zasadach, — znał wadliwość ustroju politycznego, społecznego, ekonomicznego... widział to wszystko i odczuwał, jak mało kto... »Trudno uwierzyć, — mawiał, — że jesteśmy na początku XX wieku, odkąd Syn Boży zstąpił na ziemię, zostawił swoją naukę i założył Kościół...

» — Czyja w tem wina?

»Zawiniło, mem zdaniem, najwięcej duchowieństwo. Myśmy zaspali... podczas tego przyszedł nieprzyjaciel i nasiał kąkolu... Pamiętam kiedy ze Starej Wsi przybyłem do seminaryum przemyskiego i przyjrzałem się wszystkiemu, powiedziałem sobie: to nie jest wychowanie kapłanów na czasy dzisiejsze... to mało,

trzeba czegoś więcej. Strach pomyśleć, co się dzieje we Francyi, Portugalii... Rozmawiałem z jednym z biskupów francuskich będąc w Lourdes. Powiedział mi: »lud wyrwał się nam z rąk... trzymamy w ręku trochę arystokracyi, trochę inteligencyi, — robotnik, lud nie nasz...«

Odpowiedziałem mu: »Czemuście lud z rąk puścili?« Winę wielką ponosi duchowieństwo, które się zadowalniało uczuciową, kobiecą pobożnością, efektownemi nabożeństwami, nie pamiętało o maluczkich, zamykało się na plebanii, nie była mu też obca polityka, a i na grosz nie było nieczułe... Jeśli nie chcemy sprowadzić podobnych stosunków do siebie, czuwajmy nad ludem, oświecajmy go w wierze, podnośmy moralnie...

Kardynał Puzyna jedno miał lekarstwo, jedną receptę najskuteczniejszą, najważniejszą na wszystkie dzisiejsze choroby ludzkości: żyć wedle nauki Chrystusa Pana, jak ją podaje Kościół św., — żyć według katechizmu... Daremne wszelkie inne zabiegi, suszenie sobie głowy nad wynalezieniem innych lekarstw... Bo i cóż jest powodem obecnej choroby społecznej? Zanik ducha religijnego, odwrócenie się od Chrystusa i Jego Kościoła na całej linii, kompletne utonięcie w doczesności, w używaniu... Zniknie choroba, społeczeństwo wróci do zdrowia, jeśli się usunie właściwą przyczynę choroby. — Niech przykazanie miłości Boga i bliźniego panuje w życiu jednostek i rodzin, — niech wszystkkie stosunki ludzkie przeniknie duch Boży, — niech każdy żyje według nauki Pana Jezusa, według katechizmu, a ludzkość będzie tak zdrowa i szczęśliwa, jak zdrowi i szczęśliwi byli pierwsi chrześcijanie, o których Pismo św. mówi, iż »była w nich jedna myśl i jedno serce, ani żaden z nich to, co miał, swem nazywał, ani żadnego między nimi nie było niedostatecznego« (Dzieje Ap. IV).

Toć jest jedynie skuteczne lekarstwo, ono tylko radykalnie, gruntownie ludzkość wyleczy, wszystko inne jest prostą »łataniną«...

Takie było społeczne »credo« Kardynała Puzyny. Dlatego i Jego dewizą w życiu i pracy kapłańskiej, biskupiej było: »odnawiać wszystko w Chrystusie«. Postawił ją sobie w Przemyślu, Lwowie, — bardziej jeszcze w Krakowie, gdzie niczem nie był krępowany.

Ale owo »credo« społeczne Eminencyi miało jeszcze drugą część, ważniejszą od dopiero co naszkicowanej...

...»By ludzkość zawróciła na całej linii do Chrystusa, by Jego naukę pojęła i według niej swe życie i stosunki urządziła na wzór pierwszych chrześcijan, potrzeba kapłanów, ale kapłanów w całem tego słowa znaczeniu, którzyby sami według katechizmu żyli, — pełnych ducha Bożego, szczerze oderwanych od doczesności, płonących prawdziwą gorliwością o chwałę Bożą, o tryumf Kościoła na ziemi... »Mawiał któryś ze świętych Biskupów: dajcie mi dziesięciu świętych kapłanów, a cały świat nawrócę« — to prawda, to święta prawda«, — powtarzał Eminencya. »O tak! wielkich i tęgich duchem i sercem potrzeba dziś kapłanów, — uczonych, wykształconych, przedewszystkiem jednak świętych, mądrości Bożej pełnych... Dziś tylko taki kapłan dużo dobrego zrobić może i dusze do stóp Chrystusa rzucić, który tak żyje, iż śmiało do swych wiernych, jak niegdyś Pan Jezus do rzesz i Faryzeuszów, powiedzieć może: »któż z was dowiedzie na mnie grzechu, krzywdy, wyzysku, zgorszenia?« Inaczej na nic wszystko... zwłaszcza dzisiaj żądają od kapłana Chrystusowego życia bez skazy, cnoty niezwykłej, całkowitego, bezgranicznego poświęcenia się dla idei Chrystusowej...«

Wychować dobrych kapłanów, by z ich pomocą podnieść ducha religijnego w społeczeństwie świeckiem — to program główny, to cel życia, pracy i cierpień Kardynała Puzyny. Cokolwiek projektował, mówił, czynił, czy tu w swojej dyecezyi, czy w Rzymie, czy w Wiedniu, we wszystkiem, jak zobaczymy, miał na oku podniesienie ducha wiary w społeczeństwie przez księży, wychowanych w duchu Bożym i kościelnym. Na tem zasadzał swoje zadanie życiowe, swoją miłość ku Panu Bogu, Kościołowi św., swój patryotyzm.

Tak! Miłość do swego kraju i narodu była także pobudką Jego działania, choć odważono się odmówić mu takowej. Przyszłość narodu czynił zależną od utrzymania się wśród rodzin polskich ducha religijnego, od naszego stosunku do Kościoła św. i Namiestnika Chrystusowego. »Świadczą dzieje porozbiorowe, iż ostoją narodu przeciw wszelkim zapędom Rosyi i Prus, by nas wynarodowić, była zawsze i jedynie religia katolicka... Moskalom łatwiej dziś przychodzi odrzeć z polskości Maryawi-

tów... Dlatego największe niebezpieczeństwo upatruję dla narodu w działalności pozytywistów warszawskich, którzy w ostatnich latach rzucili się i na Galicyę i pod osłoną naukowości i postępu przeszczepiają w duszę polską zachodnią zgniliznę niewiary, indyferentyzmu i nienawiści do wszystkiego, co katolickie... I znowu jedyny ratunek przynieść mogą kapłani wedle serca Bożego, którzyby swą pracą, życiem świętem i poświęceniem paraliżowali działanie wrogów Kościoła i ojczyzny zarazem«.

Zebrałem ważniejsze myśli Eminencyi wypowiedziane nieraz w prywatnych rozmowach celem wykazania, dlaczego seminaryum duch. uważał za źrenicę swego oka, dlaczego wychowanie księży poczytywał za sprawę najważniejszą, swemu sercu biskupiemu najdroższą. — Miał jeszcze inny powód.

Mawiał często: »Kraków nazywają sercem Polski, małym Rzymem... powinniśmy zatem przyświecać księżom tak licznie przejeżdżającym przez Kraków życiem świątobliwem, pracowitością i gorliwością o chwałę Bożą; dyecezya krakowska powinna być modelem, wzorem dla innych dyecezyi polskich. Poczuwajmy się wszyscy do tego obowiązku; podtrzymujmy w sobie tę świętą ambicyę«.

Z takimi poglądami i z takim programem stawał Kardynał Puzyna do pracy!

Z powyższych Jego uwag łatwo pojąć można, nie tylko dlaczego największą wagę przywiązywał do wychowania dzielnych kapłanów, — ale dlaczego nie mieszał się do polityki, ani do żadnych innych kwestyi się nie zapalał, — nie dał się nawet wciągnąć do akcyi społecznej na większą skalę. Odpowiadał kategorycznie: »Ludzi odpowiednich niema, — trzeba nasamprzód wychować ludzi, pełnych miłości Boga i bliźniego, żyjących w bojaźni Bożej, przedewszystkiem trzeba wychować na dzisiejsze czasy księży, — wtedy dopiero będzie można mówić o jakiejkolwiek większej akcyi... »z próżnego przecież nie nalejesz«, — lada kto tak ważną akcyą pokierować nie może...«

»Gdzie mamy dziś dobrych katolików w naszem społeczeństwie?... Po co drukować i rozlepiać po ulicach obszerne programy i odezwy, — po co trąbić na wszystkie strony świata, jeśli się ludzi niema, — chyba po to, żeby się dalej ośmieszać i nowe fiaska sprowadzać... Taki naiwny nie jestem, żebym

miał sądzić, iż sam wszystkiego dokonam... Ja chcę swoim następcom zostawić jeden schód, oni od siebie niech dodadzą drugi, trzeci i t. d. Długa to praca, każe długo na owoce czekać, ale zdaje mi się, że owoce będą i to zdrowe, — że tylko taka praca jest gruntowną i jedynie skuteczną, praca od podstaw, od przygotowania odpowiednich ludzi, — wszystko inne jest »łataniną«, marnowaniem czasu i bezcelową szarpaniną... Ile to energii życiowej idzie na marne!«...

Cóż owym poglądom zarzucić można, — cóż w nich jest błędnego? — Prawda, tego rodzaju praca wystawia naszą cierpliwość na wielką próbę, — nie schlebia też miłości własnej, która koniecznie chce oglądać skutki i owoce pracy »na poczekaniu«, — ma się jednak to przekonanie i tę pewną satysfakcyę, że się istotnie pracuje dla przyszłości, że się rzeczywiście pracuje nad tem, co jest fundamentalne, podstawowe.

Po tych ogólnych uwagach, odsłaniających nam niemało głębię duszy Kardynała Puzyny, przejdźmy teraz do seminaryum duchownego.

Wzmiankowałem wyżej o budowie nowego gmachu. Nie poszło to tak łatwo, jakby się zdawać mogło. Zaufanie u monarchy, wpływy u rządu i osobista energia Eminencyi usunęły wszystkie przeszkody. Kardynał Puzyna wiedział, czego ma się domagać od rządu i jak się ma domagać, — co nie każdy potrafił. Wspominał raz Eminencya, że i kardynał - arcybiskup praski Skrbensky pokusił się również o wyduszenie funduszów w Wiedniu na ten sam cel, — ale się spotkał ze stanowczą odmową. Trudności były i co do wyboru miejsca pod budowę.

»Rada miasta nie chciała się z początku zgodzić na odstąpienie mi kawałka plant od strony Wawelu i Podzamcza, podając za powód obawę, by gmach seminaryum nie zeszpecił plantacyi, — odpowiedziałem im: Już o to niech będą spokojni, ja się postaram, by plantacyi nie zeszpecić. Zdaje mi się, że mi nic nie mogą zarzucić«.

Stanął wspaniały gmach o dwóch skrzydłach u stóp Wawelu, obok domu Długosza, który odrestaurowano, pozostawiając wszakże dawną pamiątkową cechę i przeznaczono na mieszkanie dla S. S. Miłosierdzia, zajmujących się kuchnią i pralnią. — Obsługę wewnątrz seminaryum powierzono Braciom III

Zak. św. Franciszka, zwanym powszechnie Albertynami. Sam Eminencya wpadł na ten idealny pomysł, a jak szczęśliwy, ten należycie oceni, kto ma do czynienia wogóle ze służbą świecką, w szczególności ze służbą świecką w zakładach duchownych. »Prawdziwie sam Duch Boży podsunął mi tę myśl«... mawiał nieraz Eminencya, — i »z tej strony macie wielkie ułatwienie w pracy. Byłem w seminaryum w Przemyślu, we Lwowie; wiem z własnego doświadczenia, jakim ciężarem raczej, a nie pomocą jest służba świecka... i tu się pokazuje brak ludzi, t. j. dobrych katolików o prawdziwie katolickiem sumieniu«... »Mając Siostry Miłosierdzia w kuchni, a Braci tercyarzy do posługi w seminaryum, macie wszystko dostrojone harmonijnie do wspólnego, jednego celu, jakim jest chwała Boża i wychowanie dobrych kapłanów«.

W urządzeniu wewnętrznem seminaryum uwzględniono wszelkie wymogi hygieniczne i zdrowotne; ogrzewanie centralne, oświetlenie elektryczne, łaźnia domowa, pokoje wysokie, sprzęty masywne, dębowe. W głębi podwórza znajduje się prześliczna kaplica. — Słyszy się powszechnie, że takiego seminaryum — tak wspaniałego gmachu i urządzenia nie spotyka się nigdzie za granicą.

W roku 1901, t. j. w chwili otwarcia nowego seminaryum, było na etacie rządowym sześćdziesięciu wychowanków. Dzięki zabiegom Eminencyi podniesiono w r. 1902 liczbę do siedmdziesięciu, — w r. 1907 do ośmdziesięciu, a w r. 1910 przyznano Eminencyi etat na dziewięćdziesięciu alumnów. — Naczelne kierownictwo seminaryum duch. objął Ks. Biskup-sufragan Nowak, któremu Eminencya i pod tym względem zaufał tak, że do spraw seminarzyckich się nie mieszał. Nieraz też chlubił się z tego: »Powiedz ojcze, czy się wam mieszam do seminaryum, choć mógłbym to czynić, bo sam byłem rektorem we Lwowie i mam pewne doświadczenie. Nie czynię jednak tego, gdyż nie chcę, by dziesięciu rządziło. Znam na tyle Ks. Biskupa i ojca, tudzież innych X. X. Przełożonych, iż mogę z całem zaufaniem powierzyć Wam wychowanie kleryków«... Nie mieszał się istotnie: wiedział jednak o wszystkiem, co się w seminaryum dzieje, bo i sam często tam zaglądał i o wszystkiem najdokładniej Go Ks. Biskup informował. Nie mieszał się do szczegółów; nie szczędził jednak ogólnych uwag, kiedy chodziło o kierunek wycho-

wania w seminaryum, — o wytwarzanie zdrowej tradycyi na przyszłość. Często n. p. zwykł był przypominać: »Nie kierujcie się w seminaryum ilością, lecz jakością«... »stwórzcie w zakładzie tak ciepłą atmosferę, żeby w niej nie mogli wytrzymać niepowołani do kapłaństwa, — co innego, a nie chwałę Bożą mający na celu«... »trzymaj ojciec krótko siebie, ale i krótko trzymaj drugich — trudno, tego wymaga natura ludzka, nie każdy to lubi, ale to konieczne... wierzymy przecież w grzech pierworodny i jego skutki«... »alumni niech rozwijają umysł, ale równocześnie i serce, pierwsze bez drugiego i kapłanowi i wiernym szkodę przynosi«... »Pamiętajcie, że Bóg złożył w ręce wasze, jako wychowawców kleru, przyszłość Kościoła i społeczeństwa«... »w alumnach wyrabiajcie ducha prawdziwej, szczerej pobożności, tudzież ducha posłuszeństwa i zaparcia«... »niech się zaprawiają nie ładnie mówić o cnotach i obowiązkach, ale rzeczywiste cnoty niech się starają posiąść i wyrobić w sobie gruntowne poczucie obowiązkowości, czego tak bardzo brak dzisiaj wszędzie«...

Do wielkich przyjemności Arcypasterza należało brać udział w egzaminach alumnów — w Uniwersytecie. Jak mówił, — pomagało Mu to wielce do poznania ich. Bolał w ostatnich latach, że z powodu choroby na egzaminach obecnym być nie mógł.

W pierwszych latach po otwarciu nowego seminaryum zaglądał doń niemal codzień czy wracając po południu ze spaceru, czy też przychodził umyślnie z pałacu w różnych porach. Brał udział w rekreacyach, w ćwiczeniach duch. i nabożeństwach lub jeśli było silentium t. j. czas nauki, chodził od pokoju do pokoju. Dla każdego alumna zawsze miał jakieś dobre słowo, obrazek, czasem jabłko lub pomarańczę, które za nim służący przynosił. — Wpadał i w porze obiadowej, podobnie jak to czynił kiedyś na Stradomiu. Wchodząc do jadalni dawał znak, by się Jego obecnością nie krępowano; obszedł wszystkie stoły, przysłuchał się lekturze, szeptem rzucił jakie słowo do X. X. Przełożonych, którzy zawsze razem z alumnami spożywają obiad i kolacyę, poczem wysuwał się pocichutku, zostawiając zawsze to mile wrażenie, iż tak się troska i pamięta o nas. Niktby nie uwierzył, jak radzi skupiali się alumni koło Eminencyi, ilekroć stanął wśród nich, — jak byli swobodni

i szczerzy. To ich usposobienie podejrzywali ci, co dopiero przestąpili seminarzyckie progi, — co przynieśli ze świata moc uprzedzeń do osoby Eminencyi. Prawda jednak i rzeczywistość rozbrajały ich po jakimś czasie jak pod innym względem, tak i pod tym, — wszelkie uprzedzenia powoli znikały.

W latach ostatnich przychodził do nas rzadziej i to zawsze ze służącym z obawy, by Go atak nie chwycił na plantacyach. Pamięć już nie dopisywała; już nie pamiętał nazwisk, rozmowa większą trudność Mu sprawiała. Chciał przynajmniej przypatrzeć się życiu swoich alumnów.

Nie zapomniał Arcypasterz o klerykach i na czas wakacyi. Zaraz po roku istnienia nowego seminaryum urządził w Tyńcu w tak zwanej »Opatówce« letnią rezydencyę dla 30 z nich na przeciąg sześciu tygodni od 1 sierpnia do 15 września.

»Pomyślałem — są Jego własne słowa — o waszych klerykach na czas wakacyi... Wiem, jak niejeden z nich walczyć musi z różnemi trudnościami i niewygodami w domu rodzicielskim, na jakie narażony jest niebezpieczeństwa w nowem otoczeniu... Czasem kawałka mięsa nie widzi przez cały tydzień, albo spać nie ma gdzie, towarzystwa odpowiedniego brak, nudzi się, a z nudów w niepotrzebne znajomości się wdaje... By temu zapobiedz uskładałem parę tysięcy koron ze swojej pensyi, wystarczy tyle na utrzymanie trzydziestu przez sześć tygodni... Fundusze moje, a Tyniec uważam za rzecz kościelną... Przekonasz się ojciec, jak ci to ułatwi pracę duchowną nad nimi. W Tyńcu zbliżą się wzajemnie, zakwitnie między nimi koleżeństwo, braterstwo prawdziwe, uchroni się niejednego od upadku«...

Odtąd stale co roku przeznaczał Eminencya nie parę, lecz kilka tysięcy koron ze swej pensyi »na Tyniec«. — Z pomocą Bożą doszło do tego, że alumni uważają dziś Tyniec za swój. Każdy z nich przynajmniej przez dni kilka pragnie tam pozostać, jeśli z powodu napływu innych dłużej być nie może. Mają tam wszystko, co potrzebne do wypoczynku i nabrania świeżych sił. — Wśród wycieczek w okolicę tradycyjna była wycieczka alumnów w Tyńcu na Bielany do Arcypasterza... Witał ich wtedy, gorącem sercem przyjmował. W ciągu owych sześciu tygodni raz lub dwa, najwięcej trzy razy przyjeżdżał powozem z Bielan do Tyńca, by odwiedzić swą młodzież du-

chowną, — nie częściej, — nie zawsze bowiem był pewny, czy ich zastanie.

Jak wielką, zbawienną była myśl Eminencyi w przeznaczeniu Tyńca na pobyt letni dla alumnów, jak ich »Tyniec« rzeczywiście podpiera, umacnia, dźwiga na duszy i na ciele, — każdy z nich doskonale odczuwa.

...»Nigdy nie mówcie, że mamy za wiele ludzi... można mieć za wiele flaszek w piwnicy lub za wiele ubrań, ale nigdy ludzi«... Miał na myśli ludzi zdolnych, wykształconych, wyrobionych. »Pamiętam, kiedy byłem wice - rektorem seminaryum w Przemyślu, rozpocząłem wysyłkę zdolniejszych kleryków na dalsze studya do Rzymu i do Innsbruka. Rektor ś. p. Ks. Skwierczyński bardzo świątobliwy kapłan, ale mający pod tym względem inne poglądy, dąsał się na mnie. »Po co to, mawiał, mnożyć tych uczonych; będzie potem z nimi kłopot, bo wikaryuszami nie zechcą być«... A ja wam powiadam i jakoby w testamencie zostawiam: nie mówcie, że macie za wiele tęgich ludzi«...

»Dadzą się oni zawsze użyć, jeśli nie przezemnie, to przez mego następcę... Kiedym przybył do Krakowa, nie zastałem odpowiednio przygotowanych ludzi... Nikogo za to nie winuję, — tak się okoliczności złożyły... mojemu jednak następcy chciałbym zaoszczędzić tego największego dla biskupa ambarasu... Dziś trzeba obsadzić nowymi siłami najważniejsze stanowiska w dyecezyi, jak: katedry uniwersyteckie, katechetury w szkołach średnich, dziekanie... bo i cóżby w tem było dziwnego, gdyby kapłani z ukończonymi studyami wyższymi otrzymywali godność proboszczów, dziekanów? Potrzeba, żeby w każdym dekanacie był przynajmniej jeden kapłan o szerszych poglądach, o wyższem wykształceniu i gorętszem sercu, któryby innych kapłanów skupiał koło siebie i zbawienny wpływ na nich wywierał«...

Są rozmaite gusta. Jedni kochają się w koniach, inni w gospodarstwie, jeszcze inni w sportach i t. d. — Kardynał Puzyna kochał się w ludziach o wybitnym umyśle i sercu. Czuł słabość do ludzi zdolnych, wykształconych, uczonych, jeśli jednak, — co z naciskiem podnieść należy, — ta uczoność i wiedza oparte były na wierze i bojaźni Bożej. Polował formalnie na

takich ludzi — zwłaszcza kapłanów. Skoro takiego człowieka dostał w swoje ręce, ponosił wszelkie ofiary, nie zaniechał niczego, byle go w jakiejś zbożnej pracy wyzyskać, a wyzyskać szlachetnie, — wycisnąć zeń jak z cytryny, cokolwiek wycisnąć się dało nie dla siebie — broń Boże — lecz jedynie i wyłącznie dla Kościoła, dla dobra drugich.

Po odsłonięciu powyższego rysu charakteru Eminencyi łatwo teraz pojmiemy, dlaczego do małego seminaryum lub do bursy im. św. Jana Kantego — o czem niebawem wspomnę — wybierał chłopców najzdolniejszych, — dlaczego dalej wybierać kazał z pośród kleryków utalentowanych i wyrobionych i wysyłał za granicę na wyższe studya, — dlaczego wreszcie skupiał ich przez wakacye koło siebie na Bielanach i za swoją rodzinę uważał...

»Nie rozumiem ludzi bogatych — mawiał bardzo często — którzy tyle grosza marnują na konie wyścigowe, na podróże, na psy i piwnice a skąpią na cel najważniejszy, jakim jest wychowanie i przygotowanie dzielnych ludzi... Gdybym miał pieniądze, wiem, cobym z niemi zrobił«... poczem dodawał z uśmiechem — »mam cztery losy rodzinne tureckie, ale żaden z nich wyjść nie chce«...

Za pasterzowania swego w Krakowie wysyłał regularnie do Rzymu i do Innsbruka zdolniejszych alumnów swego seminaryum. W ten sposób podał rękę szesnastu zdolniejszym i wyprowadził ich na ludzi. Mam tu na myśli tylko tych, którzy wysłani przez Eminencyę za Jego życia jeszcze ukończyli studya i zajmują dziś pełne odpowiedzialności stanowiska. Śmierć nie przerwała tej pracy... »Posyłajcie, posyłajcie, nigdy nie żałujcie... wyrobiłem miejsca w Innsbruku i Rzymie tak, że stale może być trzech w Innsbruku i trzech w Rzymie. Do Rzymu musi biskup dopłacać... Gdzieindziej nie wysyłam i wy nie wysyłajcie, bo nie mam przekonania — do innych uniwersytetów. Innsbruk potrzebny ze względu na posady rządowe. Rząd uznaje uniwersytet w Innsbruku, — co do mnie, wolę Rzym. Rzym daje coś, czego żadne miejsce na świecie dać nie może... daje ciepło, zapał, ducha kościelnego«...

Niech mi wolno będzie wspomnieć tu o stosunku, jaki zachodził między Eminencyą a Jego wychowankami, odbywającymi studya za granicą. Ktoś, nie znający tego stosunku

zbliska, mógłby łatwo sądzić, że — jak to niestety bardzo często w podobnych wypadkach bywa, — oparty on był na podchlebianiu, nieszczerości, obłudzie, nadskakiwaniu, dworactwie z jednej strony, — a z drugiej na pozowaniu, na udawaniu, pysze, tyranii, lub że może nawet pewien odcień czułostkowości, pieszczotliwości, odgrywał w nim rolę... Otóż szczerze wyznaję, iż nigdy, nigdzie w życiu, w żadnych stosunkach nie widziałem takiej poprawności, ortodoksyi, wprost idealizmu, jak w stosunku, o którym mowa. Mógł ktoś z wychowanków nie wczuć się, mógł nie zrozumieć Eminencyi w tem lub owem na razie, ale każdy bez wyjątku był formalnie przygnieciony olbrzymim a zawsze tylko dodatnim Jego wpływem i urokiem, — zawsze stawał się coraz lepszym, ilekroć stanął przy boku Eminencyi i choćby przez chwilę z Nim porozmawiał, albo Jego życiu się tylko przypatrzył. O dworactwie, o nieszczerości, o nadskakiwaniu ani mowy być nie może, ani w myśli nikomu nie postało. Eminencya miał oko... a Jego charakter i niezwykła znajomość natury ludzkiej wprost a limine odrzucały precz wszelką nieszczerość i zmuszały do kierowania się prawdą. Między Kardynałem Puzyną a Jego wychowankami był naprawdę stosunek ojca do synów i naodwrót, — tem głębszy, wyższy i trwalszy, że na wierze, miłości Boga i Kościoła oparty. Ks. Kardynał jako wysoki dostojnik zniżał się do nas, zajmował się nami, bo patrzał na nas w duchu wiary, — bo kochając Boga, Kościół św. i naród chciał nas dla nich wychować, wypielęgnować jak drzewka, wyrobić, jak sługi robocze... Nie na godności nas sposobił, nie na błyszczenie, nie na wygody... »Wychowanie odpowiednich ludzi wiele mnie kosztuje, jak ojciec widzi, — praca to bardzo powolna, ale cóż robić, zdaje mi się, że jedynie skuteczna, fundamentalna. Nie będę oglądał jej owoców, będzie je jednak zbierał mój następca i wy sobie na stare lata lżej odetchniecie... Teraz jednak musicie iść na ogień pierwsi, jeśli kochacie choć trochę Pana Boga i Kościół św.... Ze dwie generacye muszą się poświęcić... Zaspaliśmy, — od Was Bóg żąda, byście odrobili. — »Komu więcej dano, od tego więcej żądać będą«... »Kto otrzymał pięć talentów, niech zarobi drugie pięć... koniecznie!«...

W takim duchu do nas przemawiał i słowy i życiem! Tak podsycał w nas szlachetną ambicyę! Czuło się, widziało się, że

tak sam czyni, jak radzi czynić. Cały, cały oddany Bogu i Kościołowi — modlitwie, pracy bez wytchnienia, wszystkiego sobie odmawiając, w niczem siebie nie szukając. To nie przesada, — to prawda, stwierdzona przez Jego wrogów nawet! Zaprawdę wielka to łaska i szczęście, ale zarazem wielka odpowiedzialność ciąży na tych, którzy w takiej atmosferze i przy boku takiego pedagoga się wychowywali!

Kardynał Puzyna kochał nie tylko młodzież duchowną, ale wogóle młodzież. Bolał bardzo nad położeniem jej dzisiejszem. Winę składał na całe społeczeństwo, na sfery rządzące... »Nie rozumiem panów, którzy mają nóż przyłożony do gardła, że nic nie czynią dla młodzieży, choć tyle środków mają... Jabym zaraz zakładał internat przy każdej szkole... Sejm uchwala sumy na szpitale i domy dla obłąkanych, — budują sądy i więzienia, — czemu nie zapobiegają, by wśród społeczeństwa mniej było obłąkanych, nieuleczalnie chorych, kalek, zbrodniarzy, — czemu łatę przyczepiają do łaty, — czemu nie zajmą się wychowaniem młodzieży?!« To był jeden z największych bólów Eminencyi. On, co patrzył ciągle w przyszłość i dla niej pracował, — On, który opierał wszystko nie na programach, frazesach, fantazyi, lecz na ludziach, — On, który w dobrem wychowaniu młodzieży widział największy kapitał kościelny i narodowy, — gryzł się po prostu, patrząc na zastraszające objawy zepsucia wśród młodego pokolenia. Lecz nie poprzestawał na bólu i współczuciu, co mógł, to ratował, co miał, to łożył na młodzież nietylko duchowną, ale i świecką.

Wspomniałem wyżej i wspomnę jeszcze o małem seminaryum, któremu w swoim pałacu własnych pokoji odstąpił. Nie ograniczył się jednak na tem. Obok seminaryum duchownego od ulicy Kanoniczej założył internat im. św. Jana Kantego dla dwunastu studentów gimnazyalnych. »Potrzeba nam dzisiaj nie tylko dobrych katechetów, ale i dobrych profesorów gimnazyalnych, — z tą myślą założyłem internat«... Dwunastu biednych, najlepszych uczniów znajduje tam pomieszczenie i utrzymanie całkowite. — Zbierał grosz, chciał dom podnieść o jedno piętro, by tym sposobem zapewnić przyjęcie większej liczbie uczniów; z powodu jednak wzmagającej się choroby odstąpił od powyższego zamiaru mówiąc: »nie chciałbym zostawić memu następcy żadnych ciężarów, — mógłbym budowy nie dokończyć.

Mój następca, jeśli zechce, może łatwo rzecz doprowadzić do skutku«.

Myśl swą o internatach dla uczącej się młodzieży podsuwał, komu mógł. — Pamiętam wychodzi raz Eminencya ze salonu uśmiechnięty i zadowolony, jakoby wielkiego dzieła dokonał. — »Wiesz ojciec co? Właśnie rozmawiałem w tej chwili z p. marszałkiem... Mówiłem mu, by Wydział krajowy zamiast udzielać stypendya uczniom osobno, które nieraz mogą być i źle użyte, by się postarał o ich złączenie i zakładanie internatów przy szkołach średnich... Podobała się ta myśl p. marszałkowi, — czy ją wykona, nie wiem«.

Bursę im. św. Jana Kantego przeznaczył dla studentów, pragnących się poświęcić zawodowi nauczycielskiemu. Istnieje od września 1904 roku.

Wcześniej, bo zaraz po objęciu rządów dyecezyi krakowskiej, otworzył małe seminaryum. Jaki cel?

Kardynał Puzyna znał doskonale moralne i materyalne położenie uczącej się młodzieży. Nie były mu również obce zgubne prądy, nurtujące po szkołach. W takich warunkach najlepszy zginąć może, — zatracić łaskę powołania do stanu duchownego. — Pewnej przynajmniej cząstce młodzieży spieszy z pomocą. W pałacu swoim, w drugiem skrzydle od ul. Wiślnej przeznacza kilka sal z początku dla dwudziestu kilku, ostatnimi laty dla trzydziestu sześciu studentów gimnazyalnych począwszy od kl. III. Kuchnię dla wychowanków m. seminaryum prowadził kucharz Eminencyi; opieka i kierownictwo złożone w ręku Ks. Katechety gimn. św. Anny, do którego to gimnazyum wszyscy wychowankowie uczęszczają. Dodawać nie potrzeba, że są to uczniowie lepsi, zdolniejsi. Zaniedbujący się w nauce lub naganni w zachowaniu muszą opuszczać zakład, ustępując miejsca pilniejszym, lepszym.

W prowadzeniu małego seminaryum ma się na oku ewentualne przejście do seminaryum duchownego po ukończeniu gimnazyum. To cel główny co prawda, ale dalszy — cel bliższy: nauczyć ich żyć prawdziwie po katolicku, uczynić z nich wzór i przykład dla kolegów w gimnazyum pod każdym względem. Do wstąpienia do seminaryum duch. nikogo się nie zmusza. Zdarza się też nie rzadko, że ten lub ów wychowanek

m. seminaryum obiera sobie inny stan, nie kapłański. Pobyt jednak w Zakładzie nie pozostanie bez dodatniego wpływu, gdyż wszędzie potrzeba ludzi zdolnych, myślących, czujących i żyjących prawdziwie po katolicku. — Ściśle jednak rzecz biorąc, seminaryum małe jest przeznaczone w myśl Założyciela dla młodzieży, która od dzieciństwa już ma pociąg do poświęcenia się na służbę Bożą, — która prawdopodobnie posiada łaskę powołania do stanu duchownego.

Do założenia zakładu, o którym mowa, skłoniła Eminencyę i ta okoliczność, że w owych latach 1890—1900 stosunkowo mało podań wpływało do seminaryum — wszędzie. Zdawało się, że nadeszły czasy, kiedy wogóle braknie powołań, — kiedy seminarya duch. świecić będą pustkami ze względu na zepsucie i powszechny upadek wiary u młodzieży. Prawdopodobnie były to jednak lata przejściowe pod tym względem, bo oto od szeregu lat napływają do seminaryów duch. liczne zgłoszenia tak, że jest w czem wybierać.

Jaki był stosunek Eminencyi do wychowanków małego seminaryum mogą zaświadczyć oni sami, — a wyszły ich dotąd całe szeregi.

Oczywiście częściej ich odwiedzał Eminencya, niż alumnów seminaryum duchownego. Nachodził ich w każdej porze dnia, — bywało i parę razy na dzień, — nieraz i w godzinach wieczornych. Wchodził nawet w drobne potrzeby. Jeśli zauważył co niewłaściwego, nie dziwił się, upomniał jednak na miejscu, albo i skarcił w razie potrzeby. W rozmowach żartował, »nabierał«, lubił swobodę i wesołość obok ścisłej obowiązkowości. Umiał zachęcić do modlitwy, częstej komunii św., do pracy, — umiał przemówić do szlachetnej ambicyi młodzieńca, podnieść wzrok jego duszy w górę, zapalić serca do wyższych ideałów. Bardzo był delikatny w stosunku do abituryentów. Żadnego nie wywierał nacisku, nie namawiał, by ten lub ów podał się na teologię. Widocznem było, że pragnął, że spodziewał się, ale zresztą pozostawiał zupełną wolność wyboru stanu. Często ociąganie się tego lub owego przypisywał zbałamuceniu przez kolegów.

Pamiętał o wychowankach małego seminaryum również i w czasie wakacyi. Tego lub owego ze słabszych na zdrowiu

brał na jakiś czas do siebie na Bielany, albo umieszczał u księży proboszczów.

Dziś rozrzuceni po świecie, na różnych posterunkach postawieni, poczuwają się niewątpliwie wszyscy do wielkiej wdzięczności względem Tego, który był im w młodości prawdziwym ojcem i przyjacielem.

ROZDZIAŁ VI.

Praca pasterska dalsza. – Podnoszenie ducha religijnego po wsiach i miasteczkach. — Kwestya społeczna. — Kwestya żydowska.

Któż nie domyśla się, jak trudne jest położenie biskupa, który obejmuje zarząd dyecezyi — w dodatku nieznanej sobie zupełnie. Jakiej tu rozwagi, spokoju, ale i bystrości i zmysłu oryentacyjnego potrzeba, by w sytuacyi prędko się zoryentować, czasu nie tracić, odrazu ludzi do pracy zaprządz nąć, jasny, określony kierunek tej pracy nadać. Tego oczekują od nowego pasterza i duchowieństwo i wierni, tego się po nim spodziewają.

Szczęśliwy biskup, jeśli obejmując rządy po swoim poprzedniku, zastaje wszystko należycie przygotowane. Wchodzi wtedy jakby do gotowego i zabiera się bezzwłocznie do wznoszenia dalszej budowy na fundamentach, przez poprzednika założonych, do stawiania nowego »schodu«, jak się wyrażał Eminencya.

Kardynał Puzyna przybywając do Krakowa nie był w takiem szczęśliwem położeniu. »Nie winuję nikogo«, znane są nam Jego własne słowa, »konstatuję tylko fakt, że zastałem pole nieuprawione — przedewszystkiem zastałem wielki brak ludzi, prawdziwie zdolnych do pracy dzisiejszej... w życiu religijnem pewien zastój i martwotę...«

Trzeba było Jego bystrego oka, głębokiej intuicyi i wprost geniuszu administracyjnego, by mało zastać, a tyle zostawić,— by w latach kilkunastu zmienić postać dyecezyi krakowskiej i na pierwsze miejsce ją wysunąć (co z uznaniem podniósł Oj-

ciec św. Pius X na audyencyi deputacyi dyecezyi krakowskiej dnia 19 grudnia 1912 r., nazywając dyecezyę krakowską »un modello«). Tak! Z tą myślą przewodnią, z tem gorącem pragnieniem, by prastarą dyecezyę św. Stanisława, leżącą w sercu Polski, uczynić wzorem dla innych dyecezyi polskich, stanął Ks. Kard. Puzyna na ziemi krakowskiej. Widzieliśmy już, jak się zaraz z początku zabrał do zrealizowania powyższych pragnień swego serca, śledźmy bacznie Jego dalszą działalność w tym kierunku.

By lud podnieść religijnie, dźwignąć go z ciemnoty, wiarę jego uczynić rozumniejszą, bardziej odporną na złe wpływy, które tak obficie rozsiewali po wsiach różni niepowołani opiekunowie ludu, zarządzał misye ludowe, których skutki okazały się wprost zdumiewające. Wizytacye kanoniczne poszczególnych dekanatów odbywał regularnie co roku mimo nadwątlonego zdrowia, tak, iż na każdą parafię przypadały misye i wizyta biskupia co dziesięć lat. Rzecz niebywała dotąd. Były bowiem parafie, gdzie o misyach nie słyszano wcale.

Nic przeto dziwnego, że w dyecezyi wszczął się ruch; życie religijne zaczęło się budzić i ożywiać, wpływy agitatorów-burzycieli poczęły słabnąć. Zapał i energia udzieliły się i duchowieństwu, które zajęło się więcej ludem i szkołami. I w tej dziedzinie Swej pracy pasterskiej zwrócił Eminencya szczególniejszą uwagę na młodzież wiejską, na dzieci. Katechizacya dzieci była Jego najmilszem, najważniejszem zajęciem w czasie wizyt kanonicznych. Godzinami całemi sam przepytywał dzieci na cmentarzu koło kościoła lub w kościele, rzucając pytania nadzwyczaj praktyczne, do pojęć dzieci zastosowane. Lepiej odpowiadające dziatki darzył podarunkami. Tam się wizyta powiodła, gdzie dzieci najlepiej odpowiadały katechizm. Wszystko inne prócz Sakramentu Bierzmowania było drugorzędne. Wiedziano o tem i dlatego staranniej i sumienniej poczęto się zajmować dziećmi w szkole i katechizacyą młodzieży i starszych po kościołach. Polecił w niedziele lub święta wyjeżdżać kapłanom parafialnym do dalej położonych wiosek i tam odbywać katechizacye ludu. Karcił surowo niedbalstwo lub niesumienność w nauczaniu religii po szkołach parafialnych, w odbywaniu katechizacyi z ludem.

W pracy nad ludem nie poprzestawał Eminencya na mi-

syach udzielanych co dziesięć lat. Misyonarze poruszą rolę dusz, zasieją ziarno nauki Bożej i — wyjadą. Na kapłanach miejscowych cięży obowiązek dalszej pracy i czuwania nad ziarnem rzuconem w czasie misyi, by nie zgniło, nie zmarniało. Ten obowiązek chce przypomnieć, wskazówek odpowiednich jako Pasterz udzielić. Nie mogąc wszakże zetknąć się bezpośrednio z całem duchowieństwem, zaprasza zaraz w pierwszym roku wszystkich XX. Dziekanów do siebie, urządza z nimi konferencyę dziekańską, poruszając najżywotniejsze kwestye, dotyczące pasterzowania po wsiach i miastach. Odtąd co roku w jesieni urządzał tego rodzaju konferencye dziekańskie, których rezolucye komunikowali potem XX. Dziekani podwładnemu sobie duchowieństwu.

W Krakowie samym zwrócił Eminencya swoją uwagę w pierwszym rzędzie również na szkoły. Dotyczącym XX. katechetom polecił przysłać sobie rozkład godzin. W wolnych od zajęć chwilach chodził na naukę religii do szkół średnich i niższych, rozpoczynając tę osobistą inspekcyę zaraz od pierwszego roku swoich rządów. Do nauki religii przywiązywał największą wagę. Nie każdego kapłana uważał za należycie ukwalifikowanego do udzielania religii — zwłaszcza w szkołach średnich. To też owe wizyty szkolne pociągnęły za sobą pewne zmiany wśród XX. katechetów.

Bliższe stykanie się XX. katechetów ze sobą i z Pasterzem uważał za bardzo pożądane, konieczne.

Czem na wsi misye, tem w mieście mają być rekolekcye. Zachęcał Ks. Kardynał Puzyna zakony do udzielania u siebie rekolekcyi dla różnych stanów — zwłaszcza w Poście. Zarządził także misye formalne w Krakowie we wszystkich kościołach parafialnych pod przewodnictwem OO. Jezuitów, OO. Redemptorystów i XX. Misyonarzy św. Wincentego à Paulo.

Jednej rzeczy nie mógł sobie Eminencya przy końcu życia darować, t. j. że nie odbył wizytacyi kanonicznej poszczególnych parafii krakowskich. Leżał Mu na sercu los inteligencyi miejskiej. Często wyrzucał sobie owo przeoczenie w ostatnich latach życia, kiedy stan zdrowia był zły i na żadną akcyę w tym kierunku Eminencya zdobyć się już nie mógł. »Jednej rzeczy bardzo mi żal, że nie urządziłem wizyty pasterskiej w krakowskich parafiach... Ze wsiami łatwiej idzie — z mia-

stami — zwłaszcza Krakowem, trudniejsza sprawa... nie wiadomo od czego zacząć, jak do inteligencyi tutejszej trafić, takie to bezduszne, uprzedzone, liberalne... Ach! Jakby mi się przydali teraz dobrzy kaznodzieje, którzyby zdołali wlać religijne życie w tę apatyczną masę... Tu również wielkie pole do pracy dla wydziału teologicznego... I znowu odczuwa się wielki brak ludzi... gdzie się obrócić, żniwo wielkie, a robotników odpowiednich mało...«

Czy odbycie wizytacyi w Krakowie — co sobie Eminencya tak wyrzucał — byłoby zaradziło smutnemu stanowi po miastach, wątpić można. W każdym razie okazuje się, iż Eminencya i o Krakowie myślał i nad położeniem inteligencyi bolał, nie mógł jednak niczego przedsięwziąć celem usunięcia złego tak z powodu lichego stanu zdrowia, jak głównie z powodu braku ludzi — jak sam się wyrażał. Lata zaś pierwsze swego pasterzowania poświęcił — jak widzieliśmy — parafiom wiejskim, gdzie wzniecali pożar przeróżni agitatorzy. Właściwie nic więcej w danych warunkach zrobić w Krakowie nie mógł nad to, co zrobił. Jeżeli gdzie, to szczególnie do pracy w mieście, jak Kraków, i to do obudzenia z letargu i martwoty duchowej inteligencyi potrzeba rzeczywiście ludzi tęgich tak duchownych, jak świeckich... Nie każdy ma dane po temu — wiemy o tem dobrze.

»Nie mam jeszcze ludzi, muszę ich dopiero urabiać, a praca to dluga i żmudna, bo człowiek rośnie tak powoli, jak dąb — nie da się przygotować tak prędko. Zacząłem jednak od tego — od fundamentów...«

Mniej więcej cztery lata przed śmiercią nosił się Eminencya z myślą zwołania synodu dyecezyalnego. »Byłoby to przypieczętowanie pracy w dyecezyi i silniejsze ugruntowanie tego, co się dotąd zrobiło... Módl się ojciec — i ja się modlę, bym poznał w tym względzie Wolę Bożą«. Rozczytywał się w aktach synodów dyecezyalnych włoskich. Z wielkim wszakże bólem serca musiał odstąpić od powyższego zamiaru, bo ataki były częstsze, pamięć nie dopisywała, omdlenia częstsze — zbliżał się paraliż... Również myślał i o wiecu katolickim na wzór tego, który się odbył w Krakowie w 1894 roku. Lecz i do tego nie przyszło z powodu lichego zdrowia.

Regularnie co drugą środę przewodniczył t. zw. sesyom konsystorskim, na których zapadają bardzo ważne uchwały, tyczące się zarządu dyecezyi. Nie brał w nich udziału dopiero w ostatnim roku życia, t. j. kiedy był sparaliżowany. Bywało nie raz, nie dwa... Sesya miała się zacząć o godz. dziesiątej z rana... O godz. dziewiątej lub nieco później rzuca Eminencyę atak na sofę... Zdawałoby się, że sesya będzie odłożona... Gdzie tam!... »Sesya odbyć się musi, bo chodzi o ważne sprawy...« O godz. dziesiątej odmawia przed posiedzeniem modlitwy, choć ledwo trzyma się na nogach...

Rzućmy teraz okiem na daty statystyczne nowo utworzonych posad za rządów Kardynała Puzyny w dyecezyi krakowskiej.

Probostw nowych utworzono sześć: (Brzeszcze, Bukowina, Izdebnik, Łękawica, Wiśniowa, Zakrzów).

Ekspozytur jedenaście: (Buczkowice, Kamień, Miętustwo, Porębka, Skomielna biała, Stryszawa, Węglówka, Zabierzów, Hecznarowice, Łopuszna, Bronowice).

Wikaryatów systemizowanych siedm.

Wikaryatów (ad personam) XX. Proboszczów bądź to z powodu ich stanu zdrowia, bądź z powodu nawału pracy — czternaście.

Katechetur w szkołach średnich pięć — w szkołach ludowych sześćdziesiąt.

Razem sto trzy posady — cyfra, przyzna każdy, mówiąca bardzo wiele.

* * *

Zdarzyło mi się słyszeć i czytać, że Kardynał Puzyna zapoznawał kwestyę społeczną, że pod tym względem był krótkowidzący... — Czy tak było w istocie?

Starać się będę zebrać jak najdokładniej wszystko, czego sam byłem świadkiem w tej materyi — naprzód, jakie wypowiadał poglądy o pracy społecznej, a następnie, co sam w tym kierunku zdziałał.

»..Dziś dużo piszą i mówią o kwestyi społecznej. Nie jestem oczytany w tej sprawie, choć czytam dosyć, ale zdaje mi się, że sami ludzie bałamucą i czynią ją trudną i zawikłaną. Mojem zdaniem kwestya społeczna istniała zawsze i zawsze

istnieć będzie — do końca świata. To jest uderzające, że się ją dziś wysuwa powszechnie na pierwsze miejsce w pochodzie ludzkości do swoich przeznaczeń. Przebija w tem pewna tendencya, podejrzana jednak. Bo oto odrywa się umysł ludzki i serce od rzeczy wiecznych, od zagadnień wyższych, jak: wieczność, zbawienie duszy, religijność — a zwraca się je li tylko w stronę doczesności, do ubiegania się za dobrobytem tu na ziemi. Z teoryą nowoczesnego postępu liberalnego i materyalistycznego jest taka tendencya zgodna, ale jak ją pogodzić z nauką Kościoła św.? I to mi się wydaje podejrzane, że tak namiętnie i gwałtownie prą duchowieństwo do pracy społecznej i krzyczą, że księża nic nie robią, że przynajmniej tem powinni się zająć, a nie być ciężarem społeczeństwa... W tem są również logiczni, bo według nich niczem jest administrowanie Sakramentów św., obsługa wiernych w potrzebach duszy.

»Te głośne nawoływania i krzyki na księży, by »opuścili zakrystyę« a zajęli się pracą społeczną, dają mi wiele do myślenia i wydają mi się bardzo podejrzane... Powinniśmy być bardzo ostrożni — my księża!

»Jeśli dziś kwestya społeczna przedstawia pewne trudności, jak twierdzą, to przyczyną jest ustrój państwowo-społeczny wadliwy, bo nie na kodeksie Chrystusowym oparty. Stąd powstały i powstają trudności — nie byłoby ich, kwestya społeczna byłaby jasną i łatwą do rozwiązania, gdyby państwa opierały swoje prawodawstwo na tych dwóch przykazaniach: miłości Boga nadewszystko i bliźniego jako samego siebie. Tu jest błąd zasadniczy w ustroju dzisiejszego społeczeństwa; póki ten błąd nie będzie usunięty, kwestya społeczna pomyślnie załatwioną być nie może, bo nie pozwolą na to żydzi i różni wyzyskiwacze, uprzywilejowani przez liberalne, nie na chrześcijańskiej etyce i sprawiedliwości oparte ustawodawstwo dzisiejsze. Któż wywołuje krachy, bankructwa, drożyznę, matactwa giełdowe, jeżeli nie kilkunastu żydów miliarderów, którzy trzęsą całym światem i rządami, którzy nie pozwolą, by państwa chrześcijańskie spokojnie rozwijać się mogły?! Oni zawsze mącą wodę i mącić będą...

»Mojem zdaniem największym wrogiem ludzkości jest żyd, odwieczny wróg duszy chrześcijańskiej, bo odwieczny wróg Chrystusa. Ja to, co się dziś na świecie dzieje, wszystko, lite-

ralnie wszystko przypisuję żydom... Oni wszędzie dziś weszli, oni dyrygują wszystkiem...

»Choćby przez bardzo rozległą akcyę społeczną załatano jedną dziurę, pokaże się wnet na innem miejscu druga i tak bez końca — dzięki żydom, którzy aż nadto widocznie dążą do wywołania ogólno-światowej rewolucyi. Czy na tem się nie sparzą sami — to inna rzecz, ale faktem jest na dziś jasnym i niezbitym, że kwestya społeczna jest dziś jedną z najbardziej żywotnych, bo ją chciano taką zrobić, by ludzkości wzrok przykuć wyłącznie do ziemi, jest zarazem najtrudniejszą, twierdzę, nierozwiązalną, bo ci sami, co nawolują do jej rozwiązywania, sami rozwiązać nie dają, a niestety, oni są dziś panami świata!

»Nie wynika z tego, jakobyśmy mieli ręce założyć i patrzeć, jak ludzkość stacza się do przepaści. Należy rzucić się do pracy, bo tyle dusz ginie... ale rzucić się roztropnie, z łaską Bożą i wedle Woli Bożej, — inaczej nie będzie błogosławieństwa i sami zginiemy w tych powszechnych zapasach społecznych!

»Ja widzę tylko jeden środek skuteczny, jedno lekarstwo: katechizm za sześć centów... Tak! Nic więcej. To najlepsza recepta, wszystko inne uważam za półśrodki... Może to śmieszne. To pewnie razi dzisiejszych ludzi postępowych, co gonią za wyszukanymi frazesami i silą się na wynalezienie cudownego lekarstwa na dzisiejsze choroby społeczne, — co katechizm uważają za rzecz zaśniedziałą i ogłupiającą — ja jednak z tem najmocniejszem przekonaniem pójdę do grobu... bo wierzę w Pana Jezusa, wierzę w boskość Jego nauki św., wierzę, że nauka Pana Jezusa ma w sobie siłę i zdolność ukształtowania także stosunków doczesnych i społecznych pomyślnie ku ogólnemu zadowoleniu, że zdolna doprowadzić narody i ludzkość całą do względnego na tej ziemi dobrobytu — byle ludzie według tej nauki żyli, byle państwa według niej się rządziły i kształtowały...

»Sięgnijmy do czasów pierwszych chrześcijan... Jak praktycznie i całkowicie rozwiązywała się sama kwestya społeczna: »Była jedna myśl i jedno serce« — wszystko wspólne — święty komunizm... a dlaczego? bo jeden duch ożywiał wszystkich: duch żywej, gorącej wiary, duch Pana Jezusa! — Czemuż nie miałoby być możliwe to samo i dzisiaj, choćby na mniejszą skalę?! Ale, niestety, ludzie nie chcą żyć według katechizmu; chcianoby inną drogą dojść do dobrobytu i stworzyć raj na

ziemi, byle się obejść bez Boga, bez Kościoła. Mimo wszakże wszelkich wysiłków uskutecznić się to nie da — Bóg nie da urągać ze Siebie. Idzie ludzkość nie do raju, ale do przepaści rewolucyi, jakiej świat nie widział...«

Takie miał zasadnicze poglądy na kwestyę społeczną Ks. Kardynał Puzyna.

Jeśli chodzi o pracę Jego w tym kierunku, to z opisu dotychczasowej Jego działalności w dyecezyi wynika niezbicie, iż pracował najskuteczniej, najpraktyczniej — społecznie, starając się o wychowanie dobrych księży, podając pomocną rękę uczącej się młodzieży przez zakładanie internatów; podnosząc przez misye i wizytacye życie religijne wśród ludu. Uczył żyć według katechizmu, wpajał cnoty społeczne, bez których choćby największy dobrobyt materyalny na nic się nie zda! Misye ludowe, wizyty kanoniczne, wzrastająca gorliwość kapłanów ile pijaństwa, pieniactwa powyrzucały z wiosek i rodzin, — z ilu serc wypędziły zazdrość, nienawiść, zemstę, — ile rąk do pracy spokojnej zaprzęgły — jednem słowem jak dźwignęły społecznie całe wioski i rodziny! — Niestety, taką pracę społeczną uważają za żadną — ale kto? Ci, którzy co najmniej są obojętni w rzeczach wiary, ci, co chcieliby zedrzeć charakter nadprzyrodzony z Kościoła św., z duchowieństwa i ściągnąć księży na pole pracy doczesnej, społecznej takiej, jak oni ją pojmują, mającej na celu raj na ziemi, nie zaś w niebie!

Ks. Kardynał Puzyna nie zapoznawał bynajmniej środków drugorzędnych, jakimi są: stowarzyszenia, organizacye zawodowe, zarobkowe, dziennikarstwo. Stawał jednak zawsze wobec największej przeszkody, t. j. wobec braku ludzi... Rozumiał to i z naciskiem podnosił, że praca społeczna wymaga ludzi odpowiednio uzdolnionych, wyrobionych, zrównoważonych, ludzi o zasadach i życiu nawskroś katolickich, silnego charakteru. Takich ludzi nie widział Eminencya około siebie ani wśród duchownych, ani wśród świeckich.

»Z czemże będę zaczynał tworzenie stowarzyszeń, organizacyi, spółek, jeśli nie mam ludzi? Myślę o tem, żeby takich sobie przysposobić, ale ja już nie doczekam tego... Do tych, co obecnie się ruszają i w tym kierunku niby pracują, zaufania nie mam, gdyż nie widzę w nich warunków odpowiednich, dlatego też nie widzę w ich pracy błogosławieństwa Bożego. Jest

to łatanina — w dodatku bardzo licha. Ich rzekoma praca jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że do każdej pracy potrzeba odpowiednich ludzi — nie lada kogo...«

Zwrócił Eminencya swój wzrok na jednego alumna, odbywającego studya w Innsbruku (późniejszy autor dzieła: »Zagadnienia społeczno-moralne«, cz. I, prawo własności, 1911). Po ukończeniu studyów teologicznych zamierzał go wysłać do Niemiec, Belgii i Włoch, by się tam zapoznał z akcyą społeczną katolicką, — gdy tymczasem kreowano katedrę socyologii na Uniw. Jagiellońskim przy wydziale teologicznym i wkrótce ją obsadzono.

W ostatnim okresie, t. j. w ostatnim dziesiątku swego życia, brał się Eminencya i do »łataniny...« próbował... Na czyjeś przedstawienie wysłał kapłana, którego Mu polecono jako fachowego w tym kierunku, do Wielkopolski, do Poznania, — jeszcze za życia ś. p. ks. Wawrzyniaka. Po powrocie wyznaczył mu obowiązki przy jednym z krakowskich kościołów bardzo małe, by mu tym sposobem dać środki do utrzymania, — a z drugiej strony, by miał więcej czasu do redagowania pisemka dla sfer robotniczych i zajmował się pracą w stowarzyszeniach robotników.

Lecz niestety z biegiem czasu miał Eminencya sposobność przekonać się jeszcze dowodniej o słuszności swoich poglądów na pracę społeczną. Sprawa bowiem nie tylko nie posuwała się naprzód, ale owszem, stało się coś wręcz przeciwnego.

»Co ja mam kłopotu z ks. N. N. Jak to niedobrze, jeśli się powierza ważną sprawę komuś, kogo się nie zna... Chciałem coś zrobić dla robotników... przedstawiono mi go jako uzdolnionego w tym kierunku... Opierając się na rekomendacyi posłałem do Wielkopolski, tutaj ułatwiam wszystko... tymczasem do ładu dojść z nim nie można... Przed kilku dniami zwracałem mu uwagę, że takie artykuły, jakie niedawno w swojem pisemku umieścił, nadają się raczej do piśmideł socyalistycznych, a nie chrześcijańskich; dziś znowu będę miał z nim przeprawę, bo oto pewna osoba chce redakcyi wytoczyć proces za osobistą napaść w gazecie, — ledwiem tę osobę udobruchał, — czy mam zawsze tak się z nim udzierać?... Ach! Biedny biskup, który nie ma odpowiednich ludzi!...«

Ks. Kardynał Puzyna był wielkim przeciwnikiem akcyi

społecznej na większą skalę, na wzór zagranicznej. Do takiej akcyi nie dał się wciągnąć. Wychodził z zasady, że warunki u nas są inne, — że oto praca społeczna na mniejszą nawet skalę prowadzona nie udaje się, że należy nasamprzód przygotować odpowiedni grunt, t. j. podnieść religijnie i moralnie nasze społeczeństwo, zaszczepić cnoty obywatelskie, społeczne — to praca pierwszorzędna; obok tego można równocześnie organizować — bardzo jednak ostrożnie — nie ilościowo — lecz jakościowo, przyczem największą uwagę należy zwracać wszędzie i zawsze na stronę wychowawczą — na samym ostatku dopiero na zarobkową.

Nie lubił również rozlepiania szumnych odezw, układania długich programów, trąbienia na wszystkie strony... »bez hałasu, bez trąb, bez frazesów... poco drażnić, poco się naprzód chwalić, jeszcze nic nie zdziaławszy. Rzecz sama chwalić się będzie, skoro dojdzie do skutku i owoce wydawać zacznie... Dużo leży na stołach i w biurkach społecznych działaczy takich szumnych odezw i programów — a owoce gdzie? Jeśli robić coś, to dobrze robić. Nie ośmieszać się, wrogom nie dawać broni do ręki, a taką bronią jest każde nowe fiasco... Chciano mnie wciągnąć do akcyi społecznej, któraby obejmowała całą dyecezyę i cały kraj, alem się wciągnąć nie dał, bo nie wierzę w powodzenie takiej akcyi w dzisiejszych warunkach i przy tak wielkim braku odpowiednich ludzi tak wśród duchowieństwa, jakoteż wśród świeckich«.

»Łataninę« w Krakowie popierał nie tylko moralnie, jak widzieliśmy wyżej, ale i materyalnie. W ostatnich zwłaszcza latach swego żywota rozczytywał się w różnych miesięcznikach, broszurach i dziełach społecznych.

Praca społeczna była przedmiotem niejednokrotnej dyskusyi na sesyach jesiennych XX. Dziekanów w biskupim pałacu, tudzież tematem do wypracowań na kongregacyach dekanalnych. XX. Dziekani przysyłali sprawozdania z kas Raiffeisena i kółek rolniczych.

Eminencya był zwolennikiem zakładania jak największej liczby ochronek, rozszerzania Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, organizowania stowarzyszeń dla terminatorów, — czem tak gorliwie i z takiem poświęceniem zajmuje się obecnie ks. Biskup Nowak.

Z kwestyą społeczną wiąże się ściśle kwestya żydowska...

Jak się na nią zapatrywał Kardynał Puzyna?

Antysemityzm w dzisiejszej formie uważał Kardynał Puzyna za anachronizm, pokpiwał sobie zeń mocno...

»Antysemitą dzisiejszym może być śmiało każdy żyd i filosemita... Żydzi śmieją się z takich przeciwników... Antysemityzm dzisiejszy oddał i oddaje żydostwu bardzo wielką przysługę z tej prostej przyczyny, iż mają pretekst do organizowania samoobrony, wymuszania na rządzie centralnym i krajowym coraz to nowych koncesyi i praw obronnych przeciw rzekomym napaściom antysemityzmu. Tymczasem, owe napaści ograniczają się w gruncie rzeczy na prostem nawoływaniu: »brońmy się przed wyzyskiem żydów«; literalnie nic innego dzisiejszy antysemityzm nie produkuje i produkować nie może z braku ludzi o pojęciach i życiu nawskróś chrześcijańskich, katolickich. Antysemityzm w dzisiejszej formie przyczynił się w wysokim stopniu do rozpanoszenia się żydów — zwłaszcza w naszym kraju, gdyż my szczególnie odznaczamy się tą wadą, iż potrafimy wiele i pięknie mówić, lecz mało albo nic nie czynić. Nasze społeczeństwo ma przytem dziwną słabość do żydów, którą oni wyzyskują i ssą kraj i naród jak pijawki — ssą kieszenie, a co gorsza ssą i dusze. Niby uciśnionych i zagrożonych rząd bierze dziś w obronę i opiekę taką, jak nigdy przedtem. Wolno dziś szkalować rzeczy najświętsze, wolno bezcześcić w książkach i piśmidłach Ojca św., biskupów, Kościół katolicki, cenzura takie rzeczy przepuszcza, — prawdy o nadużyciach i szacherkach żydowskich pisać nie wolno! — To są owoce w znacznej części t. zw. antysemityzmu!«

Kardynał Puzyna był raczej zwolennikiem asemityzmu, polegającego na tem, by zgoła nie mieć nic do czynienia z żydem, trzymać go o dziesięć mil od siebie, czyli zajmować względem żydostwa stanowisko czysto negatywne, nie agresywne, gdyż to drugie jest i niechrześcijańskie i niepraktyczne — owszem w skutkach sprowadza większe zło, oddając żydom raczej przysługę. Z żydami nigdy nie należy walczyć z bębnem, trąbą i nagonką — nie płoszyć ich, raczej powoli, cichutko usuwać im grunt z pod nóg — izolować ich...

W swoim czasie mówiono i pisano wiele, bardzo wiele o Drze Luegerze, o jego geniuszu socyalno-społecznym, o szalonym wpływie, jaki wywierał na Wiedeńczyków... Przepowia-

dano ruinę masom żydowskim, ukrócenie, jeśli nie obalenie zupełne wpływów żydowskich w Austryi, a przynajmniej w Wiedniu. Ruch antysemicki, pchnięty z taką siłą przez Luegera, objął wszystkie kraje, większe miasta... Poczęto zewsząd nawoływać do pracy społecznej, do antysemityzmu.

Nawoływano i Eminencyę, podsuwano Mu rozmaite plany, programy, szeptano do ucha, by coś zacząć, by się ruszać, by coś robić... jak Lueger w Wiedniu!

Eminencya słuchał, patrzył, śledził, żadnej jednak akcyi na większą skalę nie wszczynał, programów nie wywieszał. Posłuchajmy, jak oceniał ruch antysemicki w Wiedniu i całą działalność Dra Luegera.

»Lueger to bardzo zdolny człowiek; ma wielki zmysł administracyjny i organizatorski; doskonały z niego burmistrz miasta. Uznaję w nim wielką odwagę cywilną, spryt i zdolność skupiania koło siebie ludzi. Mimo wszystko, jakoś nie mam przekonania do partyi chrześcijańsko-społecznej, którą on stworzył, t. zn. nie wierzę w jej trwałość i nie spodziewam się po niej owoców takich, jakich powszechnie się spodziewają. Dziwi mnie mianowicie, jak może Wiedeń, owiany przez dziesiątki lat duchem nawskróś liberalnym, wydać nagle tak liczne grono posłów o duchu prawdziwie chrześcijańskim.

»Według mego zdania jest to zlepek sztuczny, czasowy, stworzony urokiem, jaki naokoło siebie roztacza osoba Luegera. On jest właściwie kitem; skoro jego nie stanie, inaczej wyglądać będzie stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, do którego — przypuszczam — należą najzwyklejsi ludzie, t. zn. dobrze pomni na swoje interesa...«

Historya lat ostatnich, — losy, jakie przechodziło i przechodzi stronnictwo chrześcijańsko-społeczne po śmierci Luegera, świadczą aż nadto dobrze o trafności uwag i spostrzeżeń Kardynała Puzyny. Bez odpowiednio wyrobionych, wyszkolonych i prawdziwie ideowych ludzi niepodobna marzyć o jakiejś wydatnej i poważnej pracy!

Możemy zatem zakończyć niniejszy rozdział zapewnieniem, że ruch społeczny nie tylko nie był Eminencyi obcy, że go nie tylko Eminencya nie zapoznawał, — ale owszem tak genialnie i źródłowo go osądzał i w swej pasterskiej działalności o ile mógł uwzględniał.

ROZDZIAŁ VII.

Stosunek do oświaty. — Wpływ na inne dyecezye polskie. — Stosunek do ks. Biskupa-Sufragana — do Duchowieństwa dyecezyi krakowskiej.

Niewątpliwie zaciekawi niejednego z czytelników, jakie były poglądy Kardynała Puzyny na naukę i oświatę, o której się dziś tyle mówi, za którą rzekomo tylu ludzi się ugania. Czy rozwinął ze swej strony jaką działalność w tym kierunku?

Sądzę, że już na podstawie tego, co się powiedziało dotąd, stwierdzić można, iż Kardynał Puzyna był wielkim przyjacielem i zwolennikiem nauki i szerzenia oświaty; łatwo również wyrozumieć, jakiej nauki i jakiej oświaty, — prawdziwej, zdrowej, czystej na wierze i mądrości Bożej opartej. Eminencya był szczery z Bogiem, ludźmi i ze sobą, czyli wierny swym wierzeniom, zasadom swego zdrowego rozsądku. Rozsądek zaś i wiara przekonywały Go, że poza Panem Bogiem niema i być nie może prawdy, piękna i dobra.

Cokolwiek w świecie jest prawdą, pięknem i dobrem o tyle jest prawdą, pięknem i dobrem prawdziwem, o ile wypłynęło z Pana Boga jako źródła, o ile dalej płynie ku Bogu, głosząc po ziemi Jego chwałę. Prawda istotna, piękno i dobro prawdziwe nigdy nie mogą przeciwić się Bogu, a więc i religii św. katolickiej; między prawdziwą nauką a religią katolicką, między zasadami zdrowego rozsądku a zasadami, — żeby się tak wyrazić, — rozumu Bożego rozdźwięku, rzeczywistego przeciwieństwa być nie może. Nie zasługuje zatem na miano prawdziwie naukowego czy jakiś system, czy teorya, czy niby pewnik skonstruowany przeciwko wierze i pewnikom Bożym.

Tak pojmował Kardynał Puzyna naukę i stosunek jej do wiary, — takiej tylko nauki i oświaty był przyjacielem.

Sam wybitnych zdolności nie miał tak, jak nie miał wymowy. Przeważał u Niego rozum praktyczny, trafiający zawsze w sedno rzeczy, — obejmujący szybko całość, począwszy od samych źródeł, fundamentów a skończywszy na ostatnich wnioskach i ewentualnych następstwach.

Niezmiernie czcił zdolności u ludzi. Całkiem słusznie wyraziłem się poprzednio, że czuł pewną słabość do ludzi zdolnych, utalentowanych. Lubił się nimi otaczać, w ich towarzystwie przebywać. Jeszcze we Lwowie będąc, urządzał u siebie zebrania towarzyskie »herbaty czwartkowe«, na które zapraszał ludzi wykształconych, uczonych. Chwalebny ten zwyczaj przeniósł do Krakowa. Póki mógł t. zn. póki zdrowie dopisywało, skupiał, gromadził u siebie profesorów Uniwersytetu wszystkich wydziałów, kierowników różnych instytucyi dobroczynnych, humanitarnych.

W czasie takich zebrań towarzyskich sam mówił mało, rozmową nie kierował, raczej zajęty był stroną techniczną. Niemniej jednak czuwał nad wszystkiem i jakkolwiek mało mówił, nadawał jednak ton całemu towarzystwu. Był nadzwyczaj zręczny w zapraszaniu gości i umieszczaniu ich przy stole. Bardzo był rad i ożywiał się widocznie, kiedy poruszano ważne, żywotne kwestye, nad któremi wywiązywała się zwolna ożywiona dyskusya. Na owych »herbatach« podziwiano powszechnie wielki takt, dystynkcyę, gościnność serdeczną, a przytem skromność i prostotę. Każdy z gości wychodził z pałacu biskupiego z głębszą reflesyą, z widoczną korzyścią.

Przyzna każdy, że posługiwanie się powyższym czynnikiem, jak skupianie różnych osobistości koło siebie, w pasterzowaniu nie tylko świadczy o towarzyskości Kardynała Puzyny, ale zarazem o Jego życzliwości dla nauki.

Zdradzał ją jeszcze w inny sposób. Płonął świętą zazdrością dla każdego, kto wydał jakieś dobre dzieło. »Gdybym ja tak umiał pisać!... jakoś nie umiem wyrazić tego, co czuję i myślę. A przychodzi mi bardzo dużo myśli... nie widzę jednak w sobie daru po temu, by je spisać«.

Kogo mógł, zachęcał do pisania, — zwłaszcza swoich wychowanków, którym dopomógł do ukończenia studyów za granicą. »Skończyłeś, ksiądz, chwała Bogu, kup sobie teraz dużo

piór i atramentu, — pisz, póki masz wszystko w głowie... niech księdza pióro nigdy nie rdzewieje...«

Widząc coraz bardziej zwiększające się grono wracających z zagranicy, zachęcał ich do założenia naukowego kółka, do wydawania jakiego miesięcznika...

»Gdybym tak mógł, t. j. gdyby mi zdrowie pozwoliło, gromadziłbym ich koło siebie, niechby u mnie odbywali posiedzenia, urządzali odczyty naukowe z wykluczeniem wszelkiej polityki. Jabym ich najchętniej ugościł, we wszystkiem dopomógł. Mam nadzieję w Bogu, że z czasem zmieni się i na wydziale teologicznym, że i tam zabłyśnie światło głębokiej nauki, że zbawcze promienie oświecać będą i rozgrzewać nie tylko naszą dyecezyę. Dałby to Pan Bóg! Tylko innych ludzi do tego potrzeba, — mniej myślących o sobie, — więcej ideowych!

Czy działalność Kardynała Puzyny zamykała się tylko w granicach dyecezyi krakowskiej?

Jeśli chodzi o właściwą działalność czyli pasterzowanie w ścisłem słowa znaczeniu, to wypadnie dać odpowiedź potakującą; jeśli jednak pod działalnością rozumie kto wpływ moralny, urok, jaki wywierał na innych XX. Biskupów, tudzież na duchowieństwo innych dyecezyi, — to śmiało powiedzieć można, że działalność Kardynała Puzyny sięgała do ostatnich granic Polski. W jaki sposób?

Wyraził się ktoś o Eminencyi, że »przeorał jako oracz Boży całą Galicyę...« W wyrażeniu tem niema ani cienia przesady. Że orał i jak orał w Przemyślu i Lwowie wiemy, — wie lepiej jeszcze tamtejsze duchowieństwo. Jak zaś orał w dyecezyi krakowskiej przez lat szesnaście, świeżo pamiętamy wszyscy.

Zdawałoby się, że wpływy Kardynała Puzyny nie obejmowały dyecezyi tarnowskiej... Lecz nie! Dyecezyi tarnowskiej dał Arcypasterza w osobie ks. Biskupa Wałęgi, swego wiernego współpracownika w seminaryum i dyecezyi lwowskiej, — pokrewnego sobie duchem i poglądami, — którego niezmiernie cenił i poważał, — z którym do śmierci samej pozostawał w najściślejszych stosunkach przyjacielskich i sąsiedzkich.

Kardynał Puzyna nie był bez wpływu na obsadzenie w swoim czasie stolic biskupich w Galicyi Pasterzami, na któ-

rych dziś z chlubą patrzymy. On Ich prawie wszystkich konsekrował, — ostatniego (2 lutego 1902) ks. Józefa Teodorowicza kanonika Kapituły ormiańskiej na Arcybiskupa ormiańskiego. Znali Oni doskonale Eminencyę, Jego płomiennego ducha Bożego i kościelnego, Jego doświadczenie i niesłychaną praktyczność. Toteż otaczali Go czcią głęboką, — zapatrzeni byli na Niego jako na patryarchę swego, na wzór i przykład w sprawowaniu bardzo ciężkiego dzisiaj urzędu biskupiego. Kardynał Puzyna sam nie wiedział o tem, jak daleko wpływy Jego sięgały. Ze swemi radami, wskazówkami nie narzucał się żadnemu z XX. Biskupów. Pod tym względem był bardzo delikatny; bał się nawet cienia domysłu, że się miesza do spraw cudzej dyecezyi. Natomiast proszony o radę, z widoczną radością służył najchętniej.

»Patrz ojciec, cały stół zasłany gazetami, żadnej jednak nie mam ze Lwowa, mimo, iż wszystko tam jest mi tak drogie... Tu mnie Pan Bóg postawił!«

Nadzwyczaj serdecznie przyjmował kapłanów z obcych dyecezyi, — zwłaszcza z przemyskiej i lwowskiej, — nie wypytywał się jednak o tamtejsze obecne stosunki; rozmawiał bardzo ostrożnie.

Nad Król. Polskiem i tamtejszymi stosunkami bolał i często biadał. Zauważyłem, że po ukazie tolerancyjnym 1905 r. częściej i »chciwiej« zwracał swój orli wzrok ku Królestwu Polskiemu... »Ej tam się dostać! Jakież wspaniałe pole do pracy! Jabym zaraz zaczął od reformy seminaryów i duchowieństwa... Ach biedne tam duchowieństwo! nie pod względem materyalnym, bo pod tym względem nawet za dobrze stoją, znać to po nich, kiedy się ukażą za granicą, — ale źle z nimi pod względem duchowym, moralnym... Oczywiście nie brak pięknych wzorów... Ogół jednak duchowieństwa pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Słyszę o tem z ust samych XX. Biskupów, którzy łaskawi do mnie wstępować, ilekroć jadą do Rzymu lub na kuracyę. Mało ducha kościelnego, wiele ducha świeckiego i gruby odcień szowinizmu patryotycznego. Księży tamtejszych wina, że tak nizko stoi tam życie religijne, a przecież, zdaje mi się, pod tym względem nie mają przeszkód w pracy. Niech będą kapłanami w ścisłem tego słowa znaczeniu, — niech ich ożywia prawdzi-

wie duch Boży, — kościelny, — niech się nie mieszają do polityki świeckiej, lecz niech uprawiają politykę Pana Jezusa t. j. niech pracują nad zbawieniem i uświęcaniem dusz, — a inny wiatr po całem Królestwie powieje, ojczyźnie prawdziwie się przysłużą, podniosą życie religijne, bo naprawdę bez wiary i gorsi niż poganie są obecni przybysze z Królestwa do Galicyi... Powtarzam to XX. Biskupom, oni sami to widzą, ale jakoś brak inicyatywy, energii...«

Lecz wróćmy jeszcze do dyecezyi krakowskiej. Szczegóły podane dotąd o zarządzie tej dyecezyi przez Kardynała Puzynę byłyby niedokładne, gdybym pominął fakty niezmiernej doniosłości i znaczenia tak w Jego życiu, jakoteż w dziejach samejże dyecezyi krakowskiej. Mam na myśli przywrócenie sufraganii w Krakowie.

Niegdyś — w lepszych czasach — miała dyecezya św. Stanisława dwóch biskupów-pasterzy: biskupa-ordynaryusza i biskupa-sufragana. Świetne jednak czasy one minęły, — nastały dla dyecezyi inne gorsze — takie, w których nawet biskupa-ordynaryusza nie było. (Ks. biskup Galecki, poprzednik ś. p. Kardynała Dunajewskiego był tylko administratorem apostolskim dyecezyi). — Seminaryum liczyło sześciu alumnów, a dyecezyę krakowską, niegdyś bardzo rozległą tworzył szczupły płat ziemi, dzisiejsze Księstwo Krakowskie.

Jak przyszło do tego, posłuchajmy, co o tem sam Eminencya opowiadał.

...»Nikt mi nie podsunął myśli wskrzeszenia sufraganii... W czasie udzielania święceń kapłańskich w seminaryum na Stradomiu dostałem ataku, — byłem długo nieprzytomny, — musiałem przerwać święcenia i dopiero za jakiś czas je kończyć, kiedym przyszedł do siebie. W nocy po tym wypadku długo — jak zwykle — nie mogłem zasnąć; dzień poprzedni stał mi ciągle przed oczyma... Ogarnęła mnie trwoga na samo przypuszczenie, że mogę wyświęcić kogoś w takich razach nieważnie, mogę niedopełnić Sakramentu, narażając na nieobliczalne szkody dusze ludzkie.

Wtedy to nagle zabłysła mi myśl: »postaraj się o sufragana...«

Myśl powyższa tak mną owładnęła, iż zaraz rano po Mszy św. i śniadaniu siadłem do biurka i uczyniłem pierwszy krok... Zaszła potrzeba osobistej ingerencyi; pojechałem do Wiednia

i rzecz cała została pomyślnie załatwiona. Dziś ogromnie się z tego cieszę i spokojniej zasypiać mogę.

Lecz komu ma przypaść w udziale wskrzeszona w ten sposób godność biskupa-sufragana krakowskiego? Z kim zechce Ks. Kardynał Puzyna podzielić swoją władzę i obdarzyć go swem najzupełniejszem zaufaniem?

Wybór padł na ks. Anatola Nowaka, kanclerza jeszcze za ś. p. kardynała Dunajewskiego, później kanclerza i kanonika katedralnego od r. 1896. Ks. Kardynał Puzyna cenił go bardzo. »Ja od dawna, jeszcze w Przemyślu będąc, polowałem na niego, — wreszciem go upolował... podziwiam w nim wielkie cnoty, doskonałą znajomość dyecezyi i bystry zmysł administracyjny. Szkoda tylko, że jego zdrowie coś mi się nie podoba... Zdaje mi się, że go tu zanadto obciążano pracą; wyjedzie jednak na kuracyę raz i drugi, a — ufam — będzie zdrów; — on dla dyecezyi jest niezbędny«... Rzeczywiście parokrotna kuracya pomogła, co było wielce pożądanem ze względu na wzmagający się upadek zdrowia u Eminencyi.

Jak trafny był wybór, — przyszłość okazała. Miałem tę łaskę od Pana Boga, za którą kiedyś surowo sądzon będę, iż stojąc tak blizko obydwóch Arcypasterzy, mogłem poznać dokładnie wzajemny Ich stosunek i wielką stąd czerpać dla siebie naukę i przykład.

Nie panegiryk piszę na cześć żywych i umarłych, — podaję tylko prawdę, stwierdzam fakty, których byłem naocznym świadkiem.

Obydwaj Arcypasterze stanowili wspaniałą całość, — wzajemnie się uzupełniali. Kardynał Puzyna robił zawsze wrażenie główno dowodzącego wodza, który nie spuszcza z oka całego pola walki i właśnie dlatego nie może, objąć wszystkich szczegółów, — ks. Biskup Nowak odgaduje doskonale plany Eminencyi, rozumie Go zawsze i wszędzie, ufa Mu bezgranicznie, — umie wejść w szczegóły i znakomicie zaaplikować ogólne zasady do pojedyńczych wypadków w sposób sobie właściwy, pełen delikatności, cierpliwości i miłości.

U Ks. Kardynała jako u naczelnego wodza wielki rozum, bystrość, energia niepospolita — pozory braku serca, — u ks. Biskupa Nowaka obok rozumu pojmującego i odgadującego plany i zamiary wodza wielkie przedewszystkiem serce i miłość słodka,

łaskawa, cierpliwa... Słowem — obydwaj Pasterze w przepiękny sposób wzajemnie się uzupełniali, tworzyli harmonijną całość na większą chwałę Bożą i dla większego dobra dyecezyi. Jeśli przedstawimy sobie dyecezyę jako jedną rodzinę, to Eminencyi przypada w niej rola ojca, — ks. Biskupowi rola matki... Rzeczywiście był On łącznikiem, pośrednikiem słodkim, serdecznym między ojcem a dziećmi t. j. między Eminencyą a duchowieństwem i wiernymi.

W dzisiejszych czasach zjawisko tego rodzaju bardzo rzadkie, — tem więc było droższe dla nas i silniej przemawiające.

Zapewne trudno przyjdzie niejednemu z czytelników niniejszych kartek uwierzyć, co publicznie na tem miejscu stwierdzam, iż nigdy między obydwoma Pasterzami nie było żadnego konfliktu, niesmaku, niezgody. Mogła być i była różnica zdań, poglądów na tę lub ową pojedyńczą sprawę; — nigdy nie było jej w rzeczach zasadniczych; ale i tamte różnice wkrótce znikały, bo dla miłości Boga, Kościoła i świętej sprawy umiał i chciał jeden i drugi poddać swój sąd pod sąd drugiego szczerze, z przekonania. Podziwiano powszechnie i budowano się ową jednością, zgodą i solidarnością obydwóch Arcypasterzy.

A nie sądźmy, że tak łatwo przychodziło ją utrzymać. Pominąwszy zupełnie odmienne charaktery Ks. Kardynała Puzyny i ks. Biskupa Nowaka nie brakło z zewnątrz szatańskich zapędów, by takową zgodę i harmonię zniszczyć, Arcypasterzy między sobą poróżnić. Szatan jest dziwnie bezsilny wobec jedności i łączności między wyznawcami nauki Chrystusowej, — bardziej jeszcze między duchowieństwem, Biskupami i Stolicą św., — dlatego starał się wszelkimi sposobami wzniecić nieufność i wodę zamącić.

»...Chcą mnie poróżnić z księdzem Biskupem... módl się ojciec, żeby im się to nie udało. Ja staram się ułatwić pozycyę ks. Biskupowi, bo wiem, co to znaczy być biskupem-sufraganem... dosyć przeszedłem we Lwowie... to nie słodycze...«

Usiłowania, o których mowa, miały miejsce w pierwszych latach biskupstwa ks. Biskupa Nowaka. Wszystko jednak rozbiło się o granitową cnotę i jednego i drugiego Pasterza. Po jakimś czasie ułożyły się stosunki w dyecezyi krakowskiej pomyślniej, a Eminencya w miarę upadania na zdrowiu zlewał

władzę na ks. Biskupa Nowaka tak, że w roku ostatnim oddał Mu ją w zupełności, nie mieszając się zgoła do niczego.

Pomawiano Ks. Kardynała Puzynę o autokratyzm, o bezgraniczną pychę, zarozumiałość, szaloną ambicyę i t. d. Przyznam się teraz publicznie, iż jak gdzieindziej, tak podobnie w stosunku Jego do ks. Biskupa Nowaka śledziłem bacznie objawy powyższych wad, które Mu zarzucano, jakoby się nimi kierował. Otóż nie znalazłem nic podobnego. Nie zazdrościł Ks. Biskupowi ani głosu, ani łatwości i swady w kazaniach i przemowach, ani ogólnej sympatyi i popularności, jaką się ks. Biskup w Krakowie i w całej dyecezyi cieszy. Owszem, bardzo cenił te dary. Widział dary Boże w sobie, i chciał je widzieć i widział w drugich, — cieszył się, jeśli i on i drudzy mogli tych darów używać dla Boga, dla dobra drugich. Najchętniej pomagał w tem każdemu.

Jak wyglądał, jak się cieszył każdym listem ks. Biskupa pisanym czy z miejsca kuracyi, czy wizytacyi biskupiej! Zawsze myślą i sercem towarzyszył ks. Biskupowi w objeździe dyecezyi... »Co tam nasz Ks. Biskup teraz porabia? Pewnie o tej godzinie katechizuje. Muszę Mu radzić po powrocie z wizytacyi, by wyjechał gdzie na wypoczynek«.

Otrzymawszy jaką ważną wiadomość, bierze palto lub futro, służącego ze sobą i śpieszy z pałacu do seminaryum, do Ks. Biskupa, choćby o spóźnionej porze... Z umysłu wyprawiał Go na konferencye Biskupów austryackich w Wiedniu lub polskich w Galicyi, by się z blizka wszystkiemu przypatrzył. Cieszył się, kiedy Go mógł przedstawić jakiejś osobistości.

Jak dalece Eminencya cenił i poważał ks. Biskupa Nowaka i to od samych początków swego pasterzowania w Krakowie, najlepszy dowód w tem, iż Go czyni wykonawcą swego testamentu, który jak wiemy, nosi datę już 1896 roku. Do końca życia odczuwał niezmierną dla Niego wdzięczność, iż Mu był prawdziwą pomocą i podporą, — koadjutorem w całem tego słowa znaczeniu. Ks. Biskup Nowak również odczuwał wszystko i kochał Eminencyę gorąco. Nie opuszczał Go do ostatniej chwili... On Go dysponował na śmierć... On Ks. Kardynałowi Puzynie oczy zamknął... do snu wiecznego Go ułożył, — sprawił Mu pogrzeb według Jego pragnień: tercyarski i królewski zarazem.

Z kolei wypada mi mówić o stosunku Kardynała Puzyny

jako Biskupa do podwładnego sobie duchowieństwa dyecezyi krakowskiej i naodwrót.

Stosunek ten był z początku niejasny, nieco napięty. Księcia-Biskupa Puzynę przyjmowano z pewnem uprzedzeniem i powiedzmy otwarcie — bojaźnią. Tak nastroiły duchowieństwo tutejszej dyecezyi różne wieści, nadchodzące z archidyecezyi lwowskiej. Zapowiedziana pierwsza wizytacya wzniecila popłoch nielada... Powoli, powoli jednak przychodzili wszyscy do przekonania, że nie jest tak źle, jak wieści krążyły, — że strach ma duże oczy... Nie było potrzeba długiego czasu, by się zmieniło ogólne usposobienie.

Ludzie wyżsi, zwłaszcza ludzie stałych zasad i niezłomnej woli budzą u innych postrach ale tylko z daleka, dopóki się nie dadzą bliżej poznać; z chwilą, kiedy się do nich zbliżysz, odczuć musisz cześć głęboką; możesz odczuć i bojaźń, lecz będzie to bojaźń synowska *(timor reverentialis)*, nie niewolnicza.

I Księcia-Biskupa Puzynę zwolna poznano i pokochano szczerze - nie tą miłością czułostkową, tkliwą, lecz tą, jaką się każe kochać prawdziwa cnota — zwłaszcza sprawiedliwość i życzliwość. Eminencya był sprawiedliwy...

»Pokrzyczy, pogniewa się, ale jest sprawiedliwy, — nie ma względu na osoby. Od niego dostanie się i kanonikowi i dziekanowi i proboszczowi i biednemu wikaremu... Powie jasno, otwarcie, człowiek wie, czego Eminencya chce. Jeśli zasłużę, to niech mnie i zburczy, i to się przyda i to przyjmę chętnie, bo wiem, żem zasłużył, — że mi dobrze życzy, — że ja wyjątku stanowić nie mogę...«

Oto słowa nieraz powtarzane przez księży dyecezyi krakowskiej.

Życzliwość Eminencyi dla duchowieństwa tutejszego znana była powszechnie; zaświadczam publicznie, że była ona bardzo wielka. Jak daleko sięgała, wiedzą o tem pewne czynniki, mniej może wie ogół duchowieństwa. On widział pracę i poświęcenie swego duchowieństwa, uznawał je i cenił niezmiernie. Eminencya był dumny ze swoich księży...

»Dzięki Bogu nie można narzekać, — księża nasi bardzo pracują; kiedy słyszę skargi i użalania się z ust innych XX. Biskupów, to mi ich żal, z drugiej strony rośnie mi serce, bo u nas nic podobnego niema, — przecież od kilku lat nie było skargi

na żadnego z księży. To wiele mówi. Pan Bóg błogosławi, dlatego siedźmy cicho i pracujmy z watą w uszach (obojętni na języki ludzkie), a wy wychowujcie coraz świątobliwszych i gorliwszych księży... Ja twierdzę, że nie jest tak źle, że można wiele złego usunąć, wiele dusz uratować, byle było jak najwięcej tęgich księży... Wy takich wychowujcie...«

Zdarzyło mi się słyszeć nieraz, jakoby duchowieństwo miało żal do Eminencyi za to, iż widocznie nie uznaje jego pracy, skoro tak mało rozdziela odznaczeń. Żal zupełnie niesłuszny i bezpodstawny. Prawda, nie lubił sypać pochwałami i odznaczeniami, bynajmniej jednak nie z braku uznania dla księży i ich pracy, lecz jedynie z wyższych pobudek. Eminencya był zdania, że my kapłani nie powinniśmy spodziewać się nagrody tu na ziemi, — że lepiej dla nas, jeśli odbierzemy tu jak najmniej zapłaty, — nasze położenie jest zupełnie inne, niż położenie urzędników i osób świeckich, zagrzebanych w doczesności. W rozdawaniu pochwał i odznaczeń nie był hojny, bo powtóre znając doskonale naturę ludzką, nie chciał podsycać w wielu wypadkach próżności i różnych słabostek ludzkich. Mimo to wszakże kochał, cieszył się swoimi księżmi, bronił ich, gdzie było potrzeba i jak wspomniałem — wprost był z nich dumny...

Jeszcze jedno wyjaśnienie. Księża starsi wiekiem i pracą doznawali może pewnego żalu i przykrości widząc, że Eminencya więcej skłaniał się ku księżom młodszym i okazywał im więcej sympatyi i życzliwości. Przyznam się, że i mnie to uderzyło zaraz z początku, kiedy Eminencyę poznałem. Nie śmiałem jednak pytać o przyczynę, co do której wszakże z góry byłem pewny, że jest wielką i poważną, nie krzywdzącą bynajmniej księży starszych.

Razu jednego wszczął rozmowę na ten temat sam Eminencya.

»Dziwią się niektórzy, że obsadzam ważne stanowiska, wymagające wiele pracy i poświęcenia młodymi ludźmi... Co do mnie, nie widzę w tem nic niewłaściwego, — owszem przeciwnie. Nie chcę też przez to ubliżać kapłanom starszym i odmawiać im swego uznania i życzliwości. Mojem zdaniem właśnie tak być powinno wszędzie, ale zwłaszcza w stanie kapłańskim. Młody człowiek ma zawsze więcej zapału i ognia, dlatego dalej popchnie sprawę niż człowiek starszy, schorzały i oglądający się raczej

za spoczynkiem. Trudno, to już taka natura ludzka, — nikt tu winy nie ponosi. Młody ma wprawdzie mniej doświadczenia życiowego; może tu i owdzie popełnić błąd, nietakt, lecz to drobiazg w porównaniu z tem wielkiem dobrem, jakie wniesie do sprawy, którą mu zlecono. Kapłan zresztą młody, ale dobrego ducha, żyjący prawdziwie życiem duchowem czyli łaską Bożą może nawet mniej w życiu przejść, niż starszy, a jednak prędzej i więcej się nauczy.

Zwłaszcza dzisiaj, w dzisiejszych stosunkach trudniej przychodzi oryentować się kapłanom starszym, boć stosunki obecne zmieniły się w krótkim czasie nie do poznania. Księża młodzi wyrośli, wychowują się w nowoczesnych, zmienionych warunkach, — nic przeto dziwnego, że je lepiej zrozumieć i odczuć mogą, — są im bliżsi, dlatego pomoc ofiarowana przez nich dzisiejszemu społeczeństwu musi być i rzeczywiście jest wydatniejsza i skuteczniejsza.

Od księży starszych nie można zresztą tyle i tego wymagać, co od młodszych, bo oni są dalsi i wiekiem i duchem od dzisiejszego społeczeństwa, co znowu im nie ubliża, — co przeciwnie jest naturalnem następstwem ich starszego wieku i wychowania dawnego, które się odbywało w całkiem odmiennych warunkach.

Ja od młodych księży wymagam większej pracy i poświęcenia, niż od starszych. Nie jakobym starszych mniej szanował lub zasług im odmawiał, lecz jedynie dlatego, iż młodszych prędzej wyzyskać mogę dla Boga i Kościoła. Prędzej też mnie rozumieją. Człowiek starszy ma już swoje pojęcia, poglądy, swój utarty szablon pracy, którego nie zmieni i słusznie, — tymczasem dzisiaj trzeba inaczej nieco pracować, bo inaczej wyglądają obecne warunki, bo inne potrzeby męczą dzisiejsze społeczeństwo. I w innych stanach i zawodach zaznacza się różnica między starszymi, a młodszymi, sądzę — że to objaw naturalny, z konieczności wypływający«.

Zdziwiło mnie niezmiernie, kiedy usłyszałem, jakoby nawet wśród duchowieństwa panowało przekonanie, że Eminencya ulega wpływom... Otóż przeczę temu kategorycznie. Tak twierdzić, tak przypuszczać może tylko ten, kto Kardynała Puzyny nie znał. Jego charakter niezależny a prosty i czysty jak kryształ. Jego bogactwo duchowe i niepospolite zdolności, tudzież doświad-

czenie w zawodzie pasterzowania, Jego powszechnie podziwiany zmysł praktyczny i bardzo bogata inicyatywa stawiały Go ponad wszystkich nie tylko w dyecezyi krakowskiej... Co więcej — Eminencya sam to czuł, widział w sobie ten dar Boży, talent, dlatego nie potrzebował oglądać się na czyjeś zdanie i sposób pojmowania tej lub owej sprawy. Eminencya formalnie bał się kierować czyimś sądem. »Nie będę o tem sądu wydawał, bom tam palca nie włożył...« Pytał się o zdanie, radził się zawsze w trudniejszych kwestyach ks. Biskupa Nowaka i ks. infułata Gawrońskiego, lecz bywało nieraz, iż mimo wszystko poszedł za swojem przekonaniem, — bywało nieraz, że na sesyi konsystorskiej miał zdanie odmienne od wszystkich radców i referentów. Kardynał Puzyna rządził i nadawał kierunek całej dyecezyi i dopiero wtedy powierzył pług ks. Biskupowi, kiedy sam w ręku utrzymać go nie mógł z powodu choroby. Można jednak powiedzieć z całą ścisłością, że i wtedy On rządził dyecezyą, boć ks. Biskup Nowak w tym samym duchu dyecezyą kierował, o wszystkiem Eminencyę informował — z nadzwyczajną skrupulatnością i sumiennością do tego stopnia, że inne osoby wprowadzało to w rozdrażnienie.

Wreszcie mówiąc o stosunku do duchowieństwa zaznaczę, iż Eminencya nie miał zaufania do kapłanów, którzy swojem postępowaniem zasługiwali na naganę. Nie liczył na nich, nie posługiwał się nimi; uważał ich za drzewka nadłamane, słabe...

Listy anonimowe rzucał z zasady do kosza, z góry będąc pewnym, że tego rodzaju środkiem posługuje się najczęściej osobista zemsta.

Że w stosunku do podwładnego sobie duchowieństwa kierował się Eminencya tylko dobrem Kościoła i dusz, a nie jakimiś osobistymi względami, niech świadczy następujący wypadek, który mi w tej chwili przyszedł na myśl.

Razu jednego dał mi Eminencya do przeczytania list od jednego z XX. proboszczów. Czytam, — ogarnia mnie wielkie zdumienie... List długi, pełen impertynencyi, wymówek czynionych Arcypasterzowi za rzecz co najmniej ks. proboszczowi obojętną... Eminencya uśmiechnął się mówiąc: »Nieprawdaż ładny list — proboszcza do swego biskupa! Ale i to ścierpię, nic mu nie powiem, nie odpiszę, — jakby nic nie zaszło. Znam go, wiem, że czasem zapada na śledzionę, — (z tego okresu pochodzi za-

pewne ten list, — zresztą jest bardzo gorliwy kapłan. Jeśli mu to ulgę przynosi, niechże mnie impertynencye pisze, byle dobrze pracował...«

Wreszcie niech mi będzie wolno dorzucić przy końcu tej pierwszej części kilka szczegółów, — które będą uzupełnieniem stosunku, w jakim Kardynał Puzyna raczył pozostawać do mnie. Wyznaję szczerze, co już zaznaczyłem we wstępie, iż przychodzi mi z wielką trudnością mówić o nich. Stosunek bowiem cały, życzliwość i zaufanie, jakiem mnie raczył darzyć, poczytywałem sobie zawsze za jednę z największych łask Bożych po łasce stworzenia, odkupienia i powołania do kapłaństwa...

Czem sobie na takowe zasłużyłem? Niczem zgoła! Dlatego też nigdy nie doznawałem dzięki Bogu pokusy, by się z tego chlubić i wynosić... A czy nie czynię tego w niniejszych wspomnieniach, mówiąc tak wiele o sobie? Ufam mocno, żę będę dobrze zrozumiany, bo tylko od tego zależy chwała Boża, bliższe poznanie wielkiej duszy Kardynała Puzyny i co za tem idzie lepsze zrozumienie i przejęcie się Jego zasadami i przykładem życia. Bóg widzi, że tylko tego jedynie i wyłącznie pragnę, ten jedyny cel przyświeca mi w zbieraniu niniejszych tak drogich sercu memu wspomnień. Jeżeli wzmiankuję o sobie, to czynię tylko z musu, z konieczności, bo obok innych kapłanów i ja miałem szczęście być owem medium, w stosunku do którego okazała się wielką dusza Kardynała Puzyny, Jego tajemniczy sposób pociągania do siebie ludzi, wpływania na nich i przysposabiania ich do służby Bogu i Kościołowi.

Nie jest to wprawdzie przyjęte o sobie pisać i mówić, — czytelnik łaskawy wybaczy mi jednak i należycie wyrozumie moją szczerość, — a serce, intencye i pobudki tego mego kroku zostawi do oceny Panu Bogu.

Nie raz, nie dwa zastanawiało mnie to, czemu Eminencya obrał sobie za spowiednika i kierownika swej duszy mnie młodego i niedoświadczonego. Czemu nie kapłana starszego z jakiegoś zakonu znanego ze świątobliwości i nauki? Przecież mniejby się wobec niego krępował, więcejby dla duszy skorzystał?

Powoli przyszedłem do następującego przekonania. Eminencya ukochał całem sercem młodzież duchowną. Seminaryum duchowne było źrenicą Jego oka, jak widzieliśmy. Pragnieniem Jego gorącem było przelać w młode pokolenia swego ducha,

zmusić ich nie czem innem, lecz jedynie przykładem swego życia do pójścia Jego śladami, do poświęcenia się bezgranicznego na służbę Bogu i Kościołowi. Eminencya chciał sam bezpośrednio wychować sobie kapłanów na dzisiejsze czasy... Chciał, lecz nie mógł niemożnością fizyczną. Otóż ojca duchownego alumnów obiera sobie za spowiednika, odkrywa przed nim wszystkie tajniki swej duszy, przelewa w niego swego ducha, by tenże przeszczepiał to wszystko w świeże naczynie dusz młodych lewitów... Eminencya użył mnie w ten sposób jako medium do pośredniego przynajmniej wpływania na alumnów i zaprawiania ich do służby Bożej na wzór swój.

Do takiego to przekonania przyszedłem i pewny jestem, że była to jedyna i najpoważniejsza racya. Przemawia za tem i ta okoliczność, iż powierzył mi swą duszę od r. 1901 t. j. od dnia otwarcia nowego seminaryum.

Czy nigdy nie cofnął swego zaufania?

Czy jako ojca duchownego seminaryum i swego spowiednika nigdy nie wystawił mnie na próbę?

Zaufanie cofnął, — na próbę wystawił... Rzecz miała się tak.

Upłynął rok istnienia nowego seminaryum duchownego. Był to rok, mówiąc nawiasem, bardzo ciężki... Zależało nam bowiem na tem, by maszyna seminarzycka zaraz z początku należycie funkcyonowała, by wszystkie kółka wykonywały w porządku swoje obroty. Rozumieliśmy to dobrze, że od lat pierwszych zależą dalsze lata, że tradycyę zdrową i czystą należy wyrabiać zaraz od pierwszego dnia. Świadomi tego, staraliśmy się wszyscy pod kierownictwem ks. Biskupa Nowaka jako rektora dołożyć wszelkich starań, by rzeczywiście położyć pod przyszłość seminaryum krakowskiego fundamenta zdrowe i mocne.

Sprawa nie szła tak gładko... Największe przeszkody stawiali niektórzy alumni starsi, którzy przyszedłszy ze seminaryum dawnego chcieli tu przeszczepić swoje nawyczki i zwyczaje, z przygotowaniem się do kapłaństwa zupełnie niezgodne. Nie dosyć na tem. Jednostki te zaczęły oddziaływać ujemnie na drugich, zwłaszcza na najmłodszych... Napominani z miłością i cierpliwością nie zmienili swego postępowania; nie pomogły i dalsze środki t. j. zwracanie uwagi wobec innych, nie pomogły i groźby usunięcia ze seminaryum... Wobec tego należało użyć środka

jedynego w takich razach t. j. owe członki niezdrowe odciąć, by nie zatruwały całego organizmu.

Ks. Biskup Nowak jako rektor wiedział o tem wszystkiem, patrzył na wszystko własnemi oczyma. Toteż kiedy po wyczerpaniu wszelkich środków podyktowanych przez dobrze zrozumianą miłość przedstawiłem Mu przy końcu roku prośbę, by raczył usunąć pięciu takich alumnów jako niepoprawnych i źle oddziaływających na ogół kleryków, odpowiedział ks. Biskup, że właśnie miał im po egzaminach końcowych oddać papiery, ponieważ zauważył w ciągu całego roku, iż dalszy ich pobyt w tutejszem seminaryum jest niemożliwy. Obok owych pięciu otrzymał papiery jeden ze starszych alumnów za to, że nie chciał składać egzaminu, tudzież trzech z roku pierwszego, nie nadających się zgoła do kapłaństwa. Całą sprawę przedłożył Eminencyi na Bielanach ks. Biskup Nowak i otrzymał zatwierdzenie usunięcia owych dziewięciu alumnów.

Cięcie tego rodzaju było konieczne a dziś po latach dziesięciu widzimy, że było prócz tego bardzo szczęśliwe i zbawienne. Było jednak niezwykle, śmiałe, nigdzie dotąd niepraktykowane! Nic przeto dziwnego, że zaczął się niem interesować ogół, że na tem tle poczęto szerzyć najdziwaczniejsze, najkłamliwsze wieści — w pierwszym rzędzie czynili to oczywiście wydaleni alumni. Doszło do tego, że ktoś w swej gorliwości komunikował owe plotki gazetom zagranicznym... niemieckim, by i w ten sposób ukłuć Kardynała Puzynę. Dla osób zaś rozsądnych i nieuprzedzonych rękojmią sprawiedliwości, ładu i porządku w seminaryum była obecność ks. Biskupa Nowaka, — znanego powszechnie ze swej świątobliwości, roztropności i doświadczenia.

Przypuszczano atak i na Bielany — do Eminencyi; pracowano nad Nim wiele, by nadał seminaryum inny kierunek, by zmienił przełożonych i t. d.

Kiedy wróciłem z wakacyi do Krakowa przy końcu września 1902 roku, Eminencya posyła po mnie.

— »Mam ważną sprawę do omówienia z ojcem... Przez wakacye słyszałem wiele rzeczy... Tak się nie robi... dziewięciu alumnów nigdy nie wydala się naraz ze seminaryum...«

— Wasza Eminencya i Ks. Biskup tak zarządzili...

— »Prawda, ale trza było inaczej się urządzić, wyprawić ich po jednemu w ciągu roku...«

— Wasza Eminencya wybaczy, — lecz nie mógłbym tego uczynić ze spokojnem sumieniem, gdyż nie wyczerpałem wszystkich środków celem zwrócenia ich na inną drogę... Przez rok ubiegły całe seminaryum było dla mnie rokiem pierwszym, musiałem powoli zapoznawać się ze wszystkimi alumnami...

— »Wogóle mówią o ojcu — zwłaszcza jedna osobistość z mego otoczenia, iż ojciec mógłbyś produkować więcej, produkujesz tylko 25%, a mógłbyś śmiało produkować 100%, — że ojciec za prędko chcesz dokonać wszystkiego...«

— Wasza Eminencya pamięta, jak Go prosiłem gorąco, by nie nakładał na moje słabe barki obowiązków ojca duchownego w seminaryum... I teraz ze łzami proszę i żebrzę Waszą Eminencyę o zwolnienie mnie z tych obowiązków, których inaczej nie pojmuję i inaczej wykonywać ich nie mogę, jak je wykonywałem w ubiegłym roku... Obejmując obowiązki ojca duchownego w seminaryum, przedstawiłem Waszej Eminencyi program, zasady, których się trzymać zamierzyłem; pragnąłem nauczyć alumnów tych trzech rzeczy: modlić się, pracować, słuchać. Wasza Eminencya pochwalił ten program...

— »O opuszczeniu stanowiska, jakie księdzu wyznaczyłem, mowy być nie może — masz ojciec zostać w seminaryum, przyjąć moje uwagi do wiadomości i starać się zamiast 25% wydawać ze siebie 100%... Proszę do mnie już nie przychodzić, na spowiednika wyszukam sobie kogo innego... Przemawiam teraz do księdza jako biskup... Skończyłem...«

Z wielkim spokojem, dzięki łasce Bożej, wysłuchałem powyższych uwag, pożegnałem Eminencyę, wróciłem do seminaryum — bez cienia urazy do kogokolwiek...

Odtąd płynął dzień za dniem, tydzień za tygodniem, — do pałacu nie chodziłem. Eminencya po ostatniej rozmowie ze mną zapędzał się do seminaryum prawie co dzień, bywało i dwa razy na dzień, w różnych godzinach... Wpadał niespodzianie to do kaplicy w czasie ćwiczeń duchownych lub konferencyi, to do refektarza, do mieszkań alumnów rano, wieczorem, w południe...

Trwało to przez dwa miesiące. Z końcem listopada tegoż roku 1902 przysyła bilecik, bym się zjawił w pałacu.

Przycisnął do serca, ucałował w głowę i rzekł: »Wybacz mi ojciec, że ci taką krzywdę wyrządziłem. Wystawiłem cię na

ciężką próbę, — zrobiłem to jedynie pod wpływem różnych zdań, jakie o ojcu słyszałem — zwłaszcza z ust jednej osobistości tutejszej. Obecnie przekonałem się naocznie, iż nie jest prawdą, o czem mówiono, — przypatrzyłem się wszystkiemu z blizka, — proszę, nakazuję, byś ojciec kierował alumnami w tym samym duchu i w ten sam sposób, inaczej być nie może, — alumni winni wynosić ze seminaryum zamiłowanie modlitwy, pracy i posłuszeństwa. Idźcie nadal razem ręka w rękę z ks. Biskupem; mojem życzeniem jest, byś ojciec w tych pierwszych latach wglądał w należyty sposób we wszystko, ponieważ ks. Biskup obarczony jest innymi obowiązkami, — by wszystkie szczegóły dostrojone były do całości, by w jednym kierunku szło wszystko. Potem będzie to zbyteczne, gdyż pouczać będzie alumnów wyrobiona w ten sposób tradycya, tudzież starsi będą wpływać dodatnio na młodszych. Wyrób sobie ojciec dobrą tradycyę, a będzie lżej...

Proszę też, byś ojciec zajął się napowrót — moją duszą i spowiadał mnie, jak przedtem, dwa razy w tygodniu...«

Potem nieraz wspominał z uśmiechem o powyższem zajściu, — przyczem zachęcał do wytrwałości i niezrażania się ludzkimi językami.



CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ I.

Credo polityczne Kardynała Puzyny. — Jaką politykę uprawiał. — Stosunek do rządu austryackiego — do Monarchy.

Czy Kardynał Puzyna był politykiem? Pytanie bardzo ważne. Odpowiedź na nie odsłoni jeszcze bardziej Jego wielką duszę przed nami, — a wrogom wytrąci broń z ręki, którą za Jego życia tak zaciekle wojowali, — u wielu zaś osób usunie mnóstwo podejrzeń i domysłów, jakie wogóle otaczały osobę Eminencyi, a dotyczyły głównie Jego stosunku do rządu, monarchy, państwa.

Otóż Kardynał Puzyna zgoła politykiem nie był. To, co dziś powszechnie i ściśle nazywają polityką, poczytywał za obłudę, wzajemne okłamywanie się, za coś nienormalnego, niechrześcijańskiego. Taki pogląd wynikał z Jego charakteru i żywej wiary. Sam szczery nawskróś, prosty, konsekwentny, miał z natury i wiary wstręt do wszelkich wykrętów, do jakichś ukrytych, na nieszczerości opartych machinacyi, podejść, machiawelizmu. A przecież na takich podstawach opiera się dzisiejsza polityka! Ten uchodzi za zdolnego polityka, kto zręczniej potrafi drugiego podejść, oszukać, w pole wywieść. Dzisiejsza polityka jest wprost niezgodna z duchem chrześcijańskim. Wiedział o tem Kardynał Puzyna, dlatego nie mógł jej uprawiać, gdyż przez całe życie był przedewszystkiem katolikiem!

Owszem lękał się polityki ze względu na Kościół i na duchowieństwo.

»Wiem, ile złego wyrządziła Kościołowi św. polityka da-

wnych papieży i biskupów w poszczególnych państwach... To nie nasze pole działania! Pan Jezus nie politykować nam każe, lecz królestwo Boże budować, słowem Bożem, prawdą, a nie kłamstwem i obłudą! Pracujmy, wychowujmy dobrych katolików, tęgich obywateli, a tem samem — dodam — najskuteczniej pracować będziemy dla polityki, boć politykę robią ludzie, a jeśli ludzie będą uczciwi, duchem Bożym owiani, to i polityka takąż będzie.

»Uważam, że polityka jest jedną z najniebezpieczniejszych rzeczy dla księży. Iluż to księży zmarniało, skrzywiło się, ześwieczczało, rozpróżniaczyło się przez politykę?... Jakim pasterzem może być taki ksiądz-polityk, jakie są owoce jego pracy?... Pycha, lenistwo, ambicya rzucają ludzi na pole polityki.

»Nasza polityka, t. j. polityka nas kapłanów, powinna być Jezusową polityką... „Szukajcie najpierw królestwa Bożego... a tać jest Wola Boża uświęcenie wasze...“

»Moja polityka jest w tem, żebym własną duszę zbawił, jak najlepszych księży w dyecezyi dla Kościoła i narodu wychował, bym przez nich jak najwięcej dusz do królestwa Bożego wprowadził... to moja ambicya, moja polityka!

»Przeciwny jestem temu, by księża posłowali, by jakieś stronnictwa i partye polityczne tworzyli lub do nich należeli. Jestem za tem, by w parlamencie i sejmie było dwóch, najwięcej trzech księży z całego kraju; trzeba, żeby ktoś powołany informował świeckich posłów o sprawach Kościoła, religii św., by czuwał, bronił spraw Kościoła i wiary. Na to wszakże wystarczy dwóch lub trzech księży, byle mieli odpowiednie kwalifikacye. Winni to być mianowicie księża starsi, poważni, zrównoważeni, prawdziwie ożywieni duchem Bożym i kościelnym, bardzo wyrobieni i świątobliwi, pojmujący swoje posłowanie jako specyalną misyę apostolską, nałożoną sobie przez Boga, Kościół św. i swoje społeczeństwo katolickie.

»Dziś zaś ci z księży przeważnie chcą posłować, którym się robić nie chce w parafii, których ambicya pcha do Wiednia lub przynajmniej Lwowa na szerszą widownię, bo im na parafii wśród paru tysięcy dusz za ciasno, za duszno... I cóż tacy kapłani-posłowie robią? Parafianie pozbawieni opieki, a oni próżnują w Wiedniu, a swoim nietaktem, przerzucaniem się z partyi do partyi ośmieszają i siebie i cały stan duchowny

i ostatecznie dają ze siebie dowód, że nie każdy kapłan kwalifikuje się na posła, tem mniej ten, który sam przypisuje sobie te kwalifikacye.

»XX. Biskupi powinni korzystać z przysługujących sobie praw i brać udział w Sejmie, gdzie tyle ważnych spraw należy wyświetlać i bronić«.

Sam też, dopóki stan zdrowia sprzyjał, jeździł na Sejm i brał żywy udział w obradach, zwłaszcza na polu szkolnictwa.

Do jakiego stronnictwa w kraju należał Kardynał Puzyna? Po wyświęceniu, a więc jako kapłan, biskup i kardynał do żadnego. Wypowiadał to głośno. Miał też za złe kapłanom, jeśli który zgłosił się do tej lub owej partyi politycznej.

»My kapłani nie jesteśmy dla jednego stronnictwa, nie dla pewnej grupy ludzi, lecz dla wszystkich bez wyjątku, dlatego winniśmy z urzędu swego i godności stać ponad wszelkiemi partyami i stronnictwami. Należenie do jakiejś partyi utrudnia kapłanowi pracę nad wiernymi, którzy się zaliczają do partyi innych. Strzeżmy się i nie wprowadzajmy między siebie stosunków ruskich...«

A jednak Kardynał Puzyna był arystokratą... Odpowiadam: W takiem znaczeniu, jakie temu pojęciu powszechnie dziś nadają, absolutnie nie był. Możnaby z pozoru sądzić inaczej, wszakże w gruncie rzeczy nie był ani dzisiejszym arystokratą, ani dzisiejszym demokratą. Był przedewszystkiem i jedynie katolikiem, kapłanem, biskupem, — jeśli kto chce był i arystokratą i demokratą katolikiem! Łączył w sobie i cenił to, co arysto kracya i demokracya mają dobrego. Przypuszczam, że za czasów Chrystusa Pana istniały również te dwie grupy najogólniejsze: arystokracyi i demokracyi. Pan Jezus nie należał ani do jednej ani do drugiej. Eminencya i pod tym względem brał sobie wzór i przykład z Pana Jezusa.

Tu Kardynała Puzyny nie rozumiano zgoła, nie znano Go, dlatego wyrządzano Mu wiele, wiele krzywdy. Uważano Go za polityka przebiegłego, za jakiegoś stronnika tego lub owego państwa (nawet Prus!), — za arystokratę namiętnego, za wroga zaciętego demokracyi.

Czy tak było w istocie, niech łaskawy czytelnik sam sobie odpowie po uważnem odczytaniu tego, co następuje.

»Nie rozumiem panów dzisiejszych... Trzy czwarte majątków ziemskich w Galicyi przeszło z rąk ich w ręce obce... Czemu oni nie żyją, nie pracują jak się należy? Żyją ponad stan, a nie z ołówkiem w ręku... Drakońskie jest prawo wywłaszczenia uchwalone świeżo w Niemczech, lecz, co gorsza,— my sami świadomie i dobrowolnie się wywłaszczamy... Czy to potrzebne marnować tyle milionów na konie, wyścigi, karty, podróże, — a jakie pogańskie życie, jak opłakane stosunki małżeńskie, rodzinne!...

»Nie rozumiem, dlaczego wyrobiono order papieski dla N. N. — czy dlatego, że setki tysięcy przegrywa w karty i urządza u siebie wielkie bale i polowania? Jak można takiemu wyrabiać order papieski?!

»Panowie mają nóż przyłożony do gardła, a mimo to jeszcze zaślepieni... Są między nimi wyjątki, co pięknie pracują, w bojaźni Bożej żyją, grosza nie trwonią, ale to za mało tych wyjątków w dzisiejszych czasach; raczej przeciwne okazy winny być wyjątkami. Oni mają jeszcze grube pieniądze, — ile dobrego mogliby nimi zrobić dla kraju i społeczeństwa, gdyby chcieli! Jabym im zaraz wskazał, na co tych sum użyć mają«.

»Narobiłem sobie nieprzyjaciół wśród arystokracyi, bo żadnego z ich kandydatów nie zaproponowałem na wakujące stolice biskupie w Galicyi... Arystokraci będą się na mnie gniewać, a demokraci chwalić, a ja się śmieję z jednych i drugich i robię „swoje“, co mi Pan Bóg każe i sumienie dyktuje.

»Niektórzy z panów dąsają się na mnie za to, że ich trzymam zdaleka od siebie, że nie żyję z nimi tak blisko, jak z kilkoma innymi... Niech oni żyją inaczej, tak, jak Bóg przykazał, jak Kościół św. naucza, wtedy dopiero zbliżę się do nich... Nie ród, nie grosz, nie wygląd cenię w człowieku, lecz jego idee, zalety i cnoty«...

Że Kardynał Puzyna stał ponad stronnictwami, świadczy o tem i ta okoliczność, iż żaden z dzienników polskich nie odpowiadał Jego poglądom i zasadom. Według niego każdy dziennik był wyrazem zewnętrznym tej lub owej partyi, całkowicie na jej usługi oddany, dlatego stronniczy i przedstawiający rzeczy w nieprawdziwem świetle. Przez kilka pierwszych lat zwracał uwagę najpoważniejszemu dziennikowi w Krakowie na to lub owo, wytykał artykuły z prawdą, z duchem katolickim nie-

zgodne. Później i tego zaniechał, gdyż widział, że to daremne usiłowania.

Czy Kardynał Puzyna był wrogiem t. zw. demokracyi? Sądzę, że szczegóły, podane dotąd z Jego życia dają jasną i dostateczną odpowiedź. Widzieliśmy, jak Eminencya otaczał się młodzieżą, rekrutującą się ze sfer nieraz najniższych, najuboższych. Mógł kto być synem rolnika, rzemieślnika, robotnika, fornala — byle na to zasługiwał — zajął się nim, rękę podał, na człowieka wyprowadził. Wprost zdumiewające, nigdzie niewidziane zjawisko, by biskup, kardynał tak się bratał ze studentami, z klerykami, nimi się otaczał, za swoją rodzinę uważał!

Ogromnie cenił lud wiejski — nazywał go prawdziwym skarbem.

»Chłopomanem nie jestem, lecz kiedy się pozna stosunki za granicą, wtedy się widzi, jakim skarbem jest nasz lud. Trzeba się tylko nim zająć — zwłaszcza my księża — inaczej zajmie się nim kto inny i już się zajmują. Sprawy zasypiać nie wolno, bo nie wiemy, jakie czasy przyjść mogą i na jakie pokusy ten lud będzie wystawiony. Jest to materyał surowy jeszcze, ma swoje ujemne strony, ale wart, wart pracy i poświęcenia. Kościół św. z ludu ma najwięcej pociechy...

»U nas dzięki Bogu nie jest jeszcze tak źle, jak za granicą, np. we Francyi, gdzie lud wysunął się z rąk kapłanom... Jakże ja się cieszę, że mogę ludowi naszemu pomódz, dźwignąć go przez misye, dobrych księży, że pięćdziesięciu ubogim studentom mogę dać utrzymanie i wyprowadzić ich na ludzi — (małe seminaryum, bursa).

»W Tyńcu zająłem się i doczesnemi potrzebami ludu. Zniosłem dzierżawy folwarczne, ziemię rozparcelowałem i wydzierżawiłem tamtejszym gospodarzom, — może mniej będą gonić do Prus za zarobkiem. Karczmę skasowałem, zakonnice sprowadziłem, ochronkę założyłem, szkołę w jednym ze swoich budynków umieściłem... Ja wiem, cobym jeszcze zrobił, gdybym miał więcej pieniędzy... Trzeba odnowić w Tyńcu kościół parafialny, ale nie mam na to funduszów. Swoim groszem, bez konkurencyi parafian pokryłem dachówką i odnowiłem fasadę kościoła, — wnętrze trzeba zostawić na później, — bo moje cztery losy tureckie jakoś nie chcą wychodzić...«

Niewątpliwie ciekawą będzie rzeczą przyjrzeć się, jakie stanowisko zajmował Kardynał Puzyna wobec powszechnego głosowania.

Był przeciwny. Dlaczego? Nie dlatego, że był arystokratą, jak twierdzono, że był wrogiem demokracyi. Był przeciwny, bo miał bardzo ważne powody rozumowe i życiowe, których niedaleka przyszłość nie tylko nie osłabiła, lecz owszem je wzmocniła.

»Mojem zdaniem pod powszechne głosowanie niema gruntu odpowiedniego, niema ludzi. Ludzie dzisiejsi nie dorośli do takiego prawa, nie są należycie przysposobieni i wyrobieni, dlatego nie będą umieli należycie z niego korzystać. Sytuacyę stworzoną przez ustawę o powszechnem głosowaniu wyzyskają natomiast znakomicie krzykacze, warchoły, szarlatani... Kto dziś agituje za powszechnem głosowaniem, — komu na tem najwięcej zależy, by takie prawo przeszło? Na czyj młyn popłynie ta woda? Są to wilcy w owczej skórze. Pragną niby wywalczyć prawa wolności dla ludu, robotników, w gruncie rzeczy chcą ich wyzyskać, przez ich głowy, przez głosy tłumów ciemnych, roznamiętnionych wejść do parlamentu, rozsadzić parlament i państwo. Ten w obecnych warunkach chce powszechnego głosowania, kto dąży do zdemoralizowania społeczeństwa, — do rewolucyi. Smutne są dziś stosunki społeczne, które utworzył parlamentaryzm liberalny, gorsze stokroć będą te, jakie wytworzy liberalizmu dziecię — socyalizm!

»To tylko w teoryi ładnie brzmi: wolność ludu, prawo powszechnego, tajnego głosowania... Praktyka jest inną zgoła. Co innego, gdyby obywatele państwa byli należycie uświadomieni, posiadali odpowiednie kwalifikacye, t. j. cnoty obywatelskie, — wtedy nie daliby się wyzyskać, — mądrze, roztropnie i z korzyścią dla kraju i państwa korzystaliby z prawa powszechnego głosowania. Dać takie prawo tłumom nieoświeconym, masom społecznie dzikim — to znaczy dać dziecku do ręki ostry nóż... Zobaczycie, jakie będą następstwa tego prawa w niedalekiej przyszłości.

»Dziwna rzecz, jak rząd może być do tego stopnia ograniczony, iż z jednej strony pozwala na demoralizacyę ludu przez wichrzycieli, anarchistów, rewolucyonistów, bezbożników, pozwala poruszać w klasie robotniczej namiętności, instynkta zwierzęce, a z drugiej strony daje do ręki taką broń, jak po-

wszechne głosowanie! — Tem gorszych doczeka się państwo owoców, że chcą nadać to prawo w warunkach, które wprost trwogą ogarniają każdego. Bar. Gautsch doświadczy jeszcze na swojej skórze skutków tego prawa... (spełniły się powyższe słowa w roku ubiegłym). Jak ludzie rządzący do tego stopnia mogą nie znać natury ludzkiej i nie zoryentować się, dokąd właściwie socyaliści przez powszechne głosowanie dążą!... Ale taka już jest polityka tego świata... oportunizm... egoizm, bylem ja się utrzymał na stanowisku... byle dziś było jako tako!...«

Kiedy mowa o polityce Kardynała Puzyny, to nie od rzeczy będzie wspomnieć o Jego stosunku do rządu i monarchy, tembardziej, że na tle wspomnianego stosunku powstawały również wszelkiego rodzaju domysły i przypuszczenia.

Nasamprzód wypada podnieść na tem miejscu, zanim przejdziemy do ogólnej charakterystyki, jeden wybitny rys Kardynała Puzyny, a mianowicie, że miał zawsze wielkie poszanowanie dla władzy. To było i wrodzone i zaczerpnięte z wiary. W żyłach Eminencyi płynęła krew żołnierska tak po ojcu, jak po matce, — stąd zamiłowanie subordynacyi, karności i porządku. Jeszcze bardziej wyrobiło w Nim to poczucie nadzwyczaj staranne i na znajomości psychologii dziecka oparte wychowanie ze strony matki.

Nie czego innego nauczyła Go w tym względzie i wiara. Listy św. Pawła męskie i jędrne, obfitujące w lapidarne wyrażenia, odpowiadały w zupełności męskiemu i tęgiemu charakterowi Eminencyi. Nic przeto dziwnego, że i nauki św. Pawła o poszanowaniu władzy, o stosunku do niej, znalazły tak piękne urzeczywistnienie w życiu Kardynała Puzyny. On umiał szanować władzę, umiał ją właśnie dlatego należycie sprawować. Brał władzę jako władzę. Mógł tę władzę posiadać człowiek bez odpowiednich kwalifikacyi, może nawet sam bez wartości moralnej, — o ile jednak władzę piastuje, należy mu się szacunek i subordynacya. W przeciwnym razie nie może być mowy o jakimkolwiek porządku społecznym, o prawdziwym rozwoju.

Jasna to rzecz i prosta. Dyktuje ją rozum i wiara. Zapewne, dziś wobec ogólnego rozprzężenia, wobec rzucanego celowo i tendencyjnie w duszę ludzką uprzedzenia i nieufności do wszelkiej władzy, takie poszanowanie i taki pogląd razić mogą i de facto rażą, lecz bynajmniej nie zmienia to istoty rze-

czy. Przez to prawda nie przestaje być prawdą, dlatego jedynie, że się komuś nie podoba, lub że komuś nie dogadza.

Druga uwaga. — Dlaczego odnosił się Kardynał Puzyna z szacunkiem do rządu austryackiego, dlaczego szczególnem poważaniem otaczał osobę monarchy i całą dynastyę? Bo uznawał wyższość i rządu i monarchy przed rządem i dynastyą państw ościennych.

»Ostatecznie jest to rząd katolicki. Może mieć i ma swoje ujemne strony, — może błądzić i błądzi, — zdradza dużo nieporadności, do czego się przyczyniają częste zmiany ministrów i brak jednej myśli przewodniej w kierowaniu nawą państwową, ostatecznie jednak da się z tutejszym rządem o czemś pomówić, coś od niego uzyskać nie tak, jak w Rosyi lub Niemczech, — ostatecznie jesteśmy od tego rządu zależni i każdy rozsądny człowiek musi się z tem liczyć. Niemądry to i wprost zgubny patryotyzm zajmować wobec rządu czysto negatywne, rewolucyjne stanowisko jedynie dlatego, że jest rządem. To jest i niechrześcijańskie i ze strony praktycznej zgubne«.

Takowy pogląd na władzę, — w szczególności na rząd austryacki, umiał pogodzić z poczuciem własnej godności. W stosunku Jego do rządu nie było ani cienia dworactwa, jakiegoś płaszczenia się. Mogą poświadczyć urzędnicy w ministerstwach wiedeńskich — tudzież sami ministrowie. — Kardynał Puzyna miał wielki mir w Wiedniu. Skoro się zjawił w tem lub owem ministerstwie, nie słuchano Jego próśb, lecz czekano Jego »rozkazów«. Nie było nic, czegoby Mu nie załatwiono tak, jak On sobie życzył. — Skąd to pochodziło? Wiedziano o Jego wpływach i znaczeniu u cesarza. Nadto Kardynał Puzyna umiał jakoś »rozmawiać z rządem«. Jego życzenia były zawsze słuszne, prawne, należycie umotywowane. On wiedział dobrze, czego ma się domagać od rządu i — co ważniejsza jeszcze — jak się domagać. Pod tym względem odznaczał się wielką zręcznością... Po powrocie z Wiednia uśmiechał się, zacierał ręce...

»Byłem w Wiedniu, wykołatałem dla biskupstwa, dla seminaryum, albo dla dyecezyi to i to... Wszystko się da zrobić z tutejszym rządem; trzeba tylko umieć zabrać się do rzeczy, lecz co ważniejsze — trzeba tak żyć i pracować, jak Bóg i sumienie nakazują, — swoje robić, nikomu w drogę nie wchodzić. Rząd nic mi nie może zarzucić, gdyż się w politykę nie bawię,

a moja praca w dyecezyi i państwu korzyść przynosi, boć dobrzy katolicy będą zawsze dobrymi obywatelami zarazem«.

Że Ks. Kardynał nie płaszczył się przed rządem, że ministrom nisko się nie kłaniał, za dowód niech posłuży następujące zdarzenie, jakie miało miejsce w roku... nie pamiętam dokładnie, czy w 1904 czy piątym.

Prezydent ministrów Dr Körber zwiedzał Galicyę. Zgotowano mu wspaniałe przyjęcie, nadskakiwano bardzo. Zjechał do Krakowa. Wypada, by jakaś z osobistości miejscowych urządziła na jego cześć przyjęcie u siebie. W kole dotyczących panów zapadła uchwała, że prezydenta ministrów ma przyjąć Kardynał, książę-biskup krakowski! Ponieważ Eminencya bawił wtedy na Bielanach, wysyłają przeto na Bielany z powyższą uchwałą hr. D. Przy rozmowie nie byłem obecny... Podano na werandę podwieczorek dla gościa. Eminencya siedział, nie pił kawy (podwieczorków nigdy nie używał); rozmawiał bardzo mało; zauważyłem, że był czemś wzburzony. Prędzej wstaliśmy od stołu, niż usiedli, – hr. D. pożegnał się i zmieszany odjechał. Kiedy opuścił werandę, Eminencya w te odezwał się słowa: »Poszaleli na punkcie owacyi dla p. Körbera... Chcą, żebym przyjechał do Krakowa i przyjął u siebie prezydenta ministrów... Co za pretensya? Któż to jest p. Körber? Co p. Körber zrobił dobrego dla Kościoła, dla kraju? Szanuję go, jako przedstawiciela władzy, ale, bym komu owacyę robił i przyjęcie u siebie urządzał, — na to wymagam czegoś więcej, większej wartości moralnej...«

Zbyteczna dodawać, jakie wrażenie zrobił na mnie ten krok Eminencyi, jak dalece dał mi wniknąć w Jego duszę.

Powyższe zajście mówi, tłómaczy wiele!...

Dlaczego naodwrót rząd tak bardzo poważał Kardynała Puzynę, a w ministerstwach wprost się Go bano? Niewątpliwie dla Jego osobistych, własnych zasług, że był biskupem »na miejscu«, że nie był malowaną władzą — a to przecież imponuje każdemu.

Powtóre dlatego, że Ks. Kardynał miał wielkie znaczenie na dworze monarchy. Zdarzyło się w początkach parę razy, że w ministerstwie ociągano się z pomyślnem załatwieniem tej lub owej sprawy. Kardynał Puzyna już jest u cesarza, za chwilę przychodzi rozkaz z kancelaryi cesarskiej do ministerstwa. Parę

takich wypadków starczyło, by Eminencya stawał w ministerstwie nie jako proszący, ale raczej jako rozkazujący.

W istocie wielkie było znaczenie Kardynała Puzyny na dworze monarchy. Monarchę czcił i wielce poważał. Ilekroć był w Wiedniu, nie opuścił audyencyi — u cesarza, tudzież u następcy tronu.

»Wypada, żebym był i tu i tam. Jest to dobrze widziane, mnie nic nie zaszkodzi, owszem przeciwnie do wielu rzeczy przydać mi się może dla dobra Kościoła i dyecezyi. Gdyby nie te wpływy, nie mielibyście niejednej rzeczy. Monarchę poważam bardzo, bo na to zasługuje. Jest wiernym synem Kościoła, godnym potomkiem Habsburgów pod tym względem. On wiele ciosów odwrócił od Kościoła w Austryi w ciągu swego panowania, — dziś jest prawie jedynym panującym katolickim, który coś znaczy. Należy się cesarzowi cześć za jego serdeczny, synowski stosunek do Stolicy św., za głęboką wiarę, którą bądźcobądź ma — i to bardzo żywą. Wiele, wiele ucierpiał w życiu, a jednak złamać się nie dał — dzięki wierze św.

»W stosunku do naszego społeczeństwa wyznać musimy, że jest naszym szczerym przyjacielem — czego mieliśmy i mamy liczne dowody. Mybyśmy przy swoich wadach, wobec dzisiejszych stosunków politycznych i ogólnej niechęci innych narodów do nas, inaczej w Galicyi wyglądali — mybyśmy w Austryi nigdy tak wpływowego stanowiska nie zajmowali, gdyby nie osoba Franciszka Józefa, jego życzliwość i sympatya szczera do nas Polaków.

»Monarcha łaskaw dla mnie, bo mnie zna, iż się trzymam słów Pana Jezusa: „Oddajcie Bogu, co jest boskiego, a cesarzowi, co cesarskiego“.

»Rząd liczy się ze mną z powyższych względów. Otwierają mu się zresztą oczy; zaczyna przychodzić do przekonania, że o tyle sam silnym będzie, o ile pozwoli Kościołowi swobodnie się rządzić i rozwijać. Przynajmniej to mamy od rządu w Austryi, że nie przeszkadza Kościołowi w Jego pracy, a to już jest bardzo wiele; gdzieindziej i tego nie mają. Słuszność przyznać każe, że nawet pomaga materyalnie, utrzymując seminarya i wydzielając pensye duszpasterzom. Powinniśmy dlatego cicho siedzieć, korzystać z tego i pracować dla Kościoła i społeczeństwa.

»Wiem, że takie moje przekonanie i postępowanie z monarchą i rządem nie podoba się patryotom-szowinistom, że mnie odsądzają od patryotyzmu, a nawet pomawiają mnie o zdradę, każdy wszakże trzeźwo i rozsądnie myślący człowiek przyzna mi racyę. Nie oglądam się zresztą na sąd ludzki, — nawykłem kierować się w życiu nie opinią ludzką, lecz własnem sumieniem...«

Wspomniałem na pierwszych kartkach, że O. Jackowski, pod którego kierownictwem odbywał Kardynał Puzyna rekolekcye w Starej wsi jeszcze jako osoba świecka, — wywarł wielki wpływ na późniejsze Jego życie i prace. Sam to nieraz podnosił. Otóż drugą osobistością, a właściwie trzecią po matce, która wycisnęła wybitne piętno na życiu Eminencyi, był ś. p. kardynał Ledóchowski. Z jego rąk, jak widzieliśmy, przyjął w Rzymie sakrę biskupią, — Jego postawił sobie za wzór w biskupstwie. »Za wzór i przykład w biskupstwie obrałem sobie ks. kardynała Ledóchowskiego. Znałem go dobrze, odróżniałem od innych.. Uderzała mnie w nim potężna wiara, jakiej dał tyle dowodów w czasie kulturkampfu, — tudzież niezwykłe przywiązanie do Stolicy św. i troska o Jej los w czasie zaboru Rzymu. On również zaczął pracę w dyecezyi od podniesienia kleru i misyi ludowych«.

Do powyższej enuncyacyi brakuje tylko tych słów: »Z ks. kardynała Ledóchowskiego wziąłem zarazem przykład, jaki winien być mój stosunek do rządu i do osoby panującego«. Tych słów Eminencya nigdy wprawdzie nie dodał, lecz śmiało my możemy je dopowiedzieć. I ks. Arcybiskupa Ledóchowskiego nie rozumiano z początku i jemu zarzucano publicznie zdradę, kiedy stroskany o los Piusa IX 1870 roku puszcza się w daleką i niebezpieczną podróż do Wersalu, by tam prosić króla pruskiego i Bismarcka o pomoc dla Stolicy św. Stosunek osobisty ks. kard. Ledóchowskiego do osoby panującego i rządu były solą w oku dla wielu i ściągnęły wiele, wiele podejrzeń i przykrości na jego osobę. A przecież osoba króla pruskiego i rząd niemiecki nie może iść w porównanie z osobą Franciszka Józefa i rządem austryackim!

Gdyby jednak stosunki się zmieniły, jak się zmieniły wówczas w Prusiech, — gdyby i w Austryi kuszono się o walkę z Kościołem, — kardynał Puzyna zachowałby się niewątpliwie

tak, jak się zachował w podobnych warunkach kard. Ledóchowski, — owszem, jeszcze mężniej, ogniściej, o ile sam był ognistszego temperamentu. Chyba o tem nikt ani na chwilę nie wątpi. Jeśli się tak obszedł z prezydentem ministrów (Dr. Körberem) jedynie dlatego, że był »liberałem i nic nie zrobił dla Kościoła i kraju«, — to jakby się obszedł z tymże prezydendem, gdyby tenże poważył się pozytywnie zwalczać Kościół i Jego naukę?!

ROZDZIAŁ II.

Conclave w r. 1903. — »Veto«.

Z Wiednia przejdźmy do Rzymu... W innem miejscu podniosę wielką miłość i przywiązanie Kardynała Puzyny do Rzymu,— do Stolicy św. Tu chodzi o inną rzecz: o stosunek Jego do prądów, do kierunku, wreszcie do osób, biorących najżywszy udział w rządach i kierujących nawą Kościoła św., — zamierzam mówić o słynnem »conclave« i »veto« z roku 1903.

Pamiętam dobrze, Eminencya w tym roku, w letnich tygodniach czerwca i lipca był chory, wskutek czego nie wyjeżdżał nawet na Bielany. Leżał w łóżku, — gorączkował.

Z Rzymu nadchodziły coraz bardziej niepokojące wieści o stanie zdrowia Leona XIII. Papież jeszcze żył; sztucznie podtrzymywano Go przy życiu, gdy tymczasem czyniono w Watykanie przygotowania do najbliższego conclave. Przygotowaniami kierował kardynał-dziekan Oreglia...

Wreszcie nadeszła wiadomość o śmierci Leona XIII. Kardynała Puzynę wezwano na conclave...

Był jeszcze niezupełnie zdrów.

Pamiętam rozmowę w przeddzień wyjazdu do Rzymu.

— »Jadę do Rzymu, jutro...«

— Wasza Eminencya chory jeszcze...

— »Nie wolno mi chorować w tym wypadku. Czuję, że mam jeszcze gorączkę, jednak muszę, muszę jechać... Czy ojciec wie, co to znaczy wybierać Papieża... dziś... w takiem położeniu Kościoła?!...«

Podczas tej rozmowy chodził po salonie przyspieszonym

krokiem, twarz miał rozpaloną, oczy łzą zaszłe... Jego wzruszenie udzieliło się i mnie, słowa: »czy ojciec wiesz, co to znaczy wybierać papieża... dziś...« przejęły mnie samego świętem drżeniem...

Po długiej chwili milczenia rzekł Eminencya: »Muszę wstąpić jeszcze do Wiednia...« Nie zrozumiałem tych słów wtedy, — zrozumiałem je później... Już wówczas stała widocznie przed oczyma Jego duszy cała sprawa wyborcza w conclave, — wszystkie możliwości, zwłaszcza jedna: wybór kardynała Rampolli... Tego się właśnie obawiał ks. Kardynał... Dlaczego? Co było powodem tych obaw? Jeden jedyny powód: troska o przyszłość Kościoła i stosunki panujące w kuryi rzymskiej. To wyrozumiałem z rozmów, jakie Eminencya miał ze mną po powrocie z conclave.

Kierunek, jaki w rządach Kościołem ujawniał się za Leona XIII, a którego sprężyną i przedstawicielem był kardynał Rampolla, sekretarz stanu, nie podobał się Kardynałowi Puzynie, — podobno nie Jemu jednemu... Posuwanie nawy Kościoła drogami polityki światowej, — chęć brania udziału w zmiennych konstelacyach politycznych były dobrze znane Kardynałowi Puzynie, nie przypadały do Jego gustu tak, jak nie przypadały do gustu wielu innym dygnitarzom kościelnym, którzy jednak nie mieli odwagi dać się z tem głośno słyszeć.

Eminencya bardzo, bardzo czcił Leona XIII; w duchu wszakże nie pochwalał Jego polityki, o której zresztą wiedział, że była dziełem kardynała Rampolli. W Kościele chciał widzieć ducha bardziej kościelnego... W Kollegium Kardynałów widział osobistości, nie w zupełności dobro Kościoła mające na celu w tem znaczeniu, jak On je pojmował. Wypowiadał się z tem głośno, ilekroć bywał w Rzymie jeszcze jako Książe-Biskup, — tem bardziej później jako Kardynał.

Ten był powód, dla którego niektórzy z kardynałów nie chcieli Księcia-Biskupa krakowskiego Puzyny przyjąć do swego grona. Wśród nich był i kardynał Rampolla.

W takich okolicznościach wypadło conclave po śmierci Leona XIII.

Eminencya, jak widzimy był świadom położenia Kościoła, świadom też swego obowiązku jako kardynał... Jechał do Rzymu w poczuciu swej godności, z troską w sercu o dobro Kościoła, —

lecz zarazem i z niezłomnem postanowieniem, by, o ile Jego wpływy na to pozwolą, usunąć wadliwości, wpłynąć na zmianę kierunku myśli przewodniej w rządzeniu Kościołem Chrystusowym. Nic osobistego Nim nie kierowało. Dowodem najlepszym są ostatnie Jego słowa wyrzeczone do mnie przed odjazdem do Rzymu:

»Jeśli kardynał Rampolla zostanie wybrany papieżem, ja pierwszy z kardynałów ucałuję jego pierścień rybacki i stopy, — dołożę jednak wszelkich starań, by do jego wyboru nie dopuścić... Nam potrzeba papieża-biskupa, nie papieża-polityka!...«

O conclave, o przebiegu wyborów, o założeniu »veto« zapamiętałem sobie następujące szczegóły z opowiadań Eminencyi, które to opowiadania miały miejsce przy różnych okolicznościach, nie naraz, — nie mogły też być wyczerpujące z powodu przysięgi, jaką każdy kardynał składał przed conclave.

»...Wstąpiłem do Wiednia; otrzymałem u cesarza upełnomocnienie do wniesienia »veto« w razie skłaniania się wyboru na stronę kardynała Rampolli. Wnoszenie takiego sprzeciwu przysługuje cesarzowi austryackiemu z prawa czy przywileju wykonywanego już nieraz w przeszłości.

Przybywszy do Rzymu zmiarkowałem, że kardynał Rampolla ma wśród Kollegium Kardynałów przeciwników z tych samych racyi, co ja.

W conclave siedziałem z początku cicho, nie zabierając głosu, — byłem też i niezupełnie zdrów. Patrzyłem na wszystko, badałem konklawistów... Skoro zauważyłem agitacyę za kardynałem Rampollą, uwiadomiłem poufnie Kardynała-dziekana Oreglię i samego kardynała Rampollę, iż mam ze sobą upełnomocnienie od cesarza austryackiego w sprawie wniesienia »veto« przeciw jego wyborowi. Grałem w otwarte karty... Obydwaj wysłuchali spokojnie i nie uczynili mi żadnej uwagi.

Nie mogłem patrzeć dłużej spokojnie na coraz większą agitacyę, zwłaszcza niektórych z pośród kardynałów francuzkich... Wypowiedziałem im prawdę w oczy... Po tem mojem wystąpieniu zaczęli się skupiać koło mnie kardynałowie pokrewni myślą ze mną. Wszyscy zgadzaliśmy się w tem, iż potrzeba dziś 1⁰ papieża-biskupa, a nie polityka; 2⁰ papieża nie tylko dla dwóch narodowości (Francya i Rosya); 3⁰ papieża, któryby nakazywał brać w szczególniejszą opiekę maluczkich.

Skierowaliśmy oczy na kardynała Gotti'ego Karmelitę, za którym był osobiście i kardynał-dziekan Oreglia. Przy najbliższem scrutinium otrzymał 17 głosów. Zwrócono mi jednak uwagę, że on jako zakonnik ostrej reguły może nie byłby dostatecznie *affabilis*, co przecież zwłaszcza papieżowi jest niezbędne.

Tymczasem agitacya z tamtej strony rosła... Wtedy to widząc niebezpieczeństwo odczytałem deklaracyę, że jest życzeniem cesarza austryackiego, aby nie wybrano na papieża kardynała Rampolli. Deklaracya ta brzmiała według formuły, której użyto w r. 1823 z okazyi wyboru papieża po śmierci Piusa VII«. (Wówczas na conclave, z którego wyszedł papieżem Leon XII wniósł imieniem Austryi kardynał Albani tak zwane »veto« przeciw kardynałowi Severoli, który był poprzednio nuncyuszem w Wiedniu).

»Nie poprzestałem na tem.

Uznając słuszną uwagę co do osoby kardynała Gotti'ego zwróciłem wzrok na kardynała Sarto, patryarchę weneckiego, którego nie znałem, ale o którym mówili mi wiele dobrego inni kardynałowie, co stali po mojej stronie.

Na najbliższem wspólnem posiedzeniu na niego padły nasze głosy... Miał przemowę, — wypraszał się. Uważałem, że się boi... Otóż kiedyśmy wychodzili ze sali wyborczej, gdzie się odbyło głosowanie, wszakże jeszcze bez rezultatu, spotkałem się z nim we drzwiach... chwyciłem go silnie za rękę mówiąc: *prenez vous!...*«

Po powrocie z Rzymu do Krakowa wyczekiwał Eminencya, jak i czem zaznaczy Pius X pierwsze kroki swego pontyfikatu. Pierwsze *motu proprio* — dewiza, jaką obrał za godło swoich rządów *instaurare omnia in Christo* napełniło Eminencyę wielką, niedającą się opisać radością i otuchą, boć i Eminencya to samo motto obrał sobie niegdyś przy święceniach kapłańskich i konsekracyi biskupiej...

»Tak powinien przemawiać papież, — znać, że to papież-biskup mówi...« *Instaurare omnia in Christo* odnowić wszystko w Chrystusie, — wprowadzić wszędzie ducha Chrystusowego, — nauczyć ludzi żyć według katechizmu czyli nauki Pana Jezusa — wskrzesić ducha pierwszych chrześcijan, — to nasza polityka nasze zadanie dzisiaj...

Niech Pan Bóg błogosławi tak trafnym i świętym zamia

rom Piusa X!... żeby tylko miał odpowiednich ludzi... inaczej wszystko zostanie na papierze i w zamiarach tylko... żeby zmienił otoczenie, skupił około siebie ludzi tylko chwały Bożej i dobra Kościoła szukających, duchem Bożym prawdziwie owianych... to także bardzo ważna rzecz — zwłaszcza dla papieża...«

W jaki sposób osądzał Kardynał Puzyna sprawę swego »veto«, sprawę, która tyle wrzawy narobiła w całym świecie, a na Jego osobę tyle razów i pocisków moralnych sprowadziła?

Wiernie powtórzę to, co znowu słyszałem od Niego samego, z Jego własnych ust.

...Było to w jakiś czas, w kilka miesięcy po powrocie z conclave. Pamiętamy wszyscy, jak nielitościwie szarpano Eminencyę, jak Go szkalowano, jak się nań miotano. Nie było zebrania, kółka towarzyskiego, gdzieby tej sprawy nie omawiano, sądu ostrego nie wydawano. A cóż mówić o dziennikach obydwóch półkuli?!...

Zarzucano wprost Eminencyę listami najczęściej poleconymi, pełnymi inwektyw, grubiaństw, impertynencyi... Z Ameryki nadesłała redakcya pewnego pisma, — gorliwa rzekomo o chwałę Bożą, — cały pakiet paszkwilów, zjadliwych artykułów, umieszczanych po różnych dziennikach amerykańskich. Eminencya odebrał ów pakiet za rewersem... Uśmiechnął się i złożył spokojnie w szafie, mówiąc:

»Biją mnie bez litości... niech biją za życia, byle po śmierci pokój dali... Mam już obite plecy, szkoda papieru, pisania i kosztów przesyłki...

Gdyby ci ludzie wiedzieli o wszystkiem, ufam, żeby mnie nie potępiali... Trudno jednak, — przecież nie będę się tłomaczył, do gazet pisywał... Człowiek uczciwy nigdy nie wyda sądu o drugim, zwłaszcza ujemnego, dopóki nie zbada dokładnie całej sprawy... Ale dziś ludzie chorują na krytycyzm, — nie lubią, jeśli im się ktoś po dziennikach lub na wiecach nie usprawiedliwia...«

Tymczasem wyszedł dekret Piusa X dotyczący »veta«.

Niedługo potem, — kiedyśmy pewnego dnia chodzili po salonie już po odbytym akcie Spow. św., — Eminencya spokojny i bardzo rzewnie usposobiony taką wszczął rozmowę:

»...Dziwi mnie, że ludzie tak się mojem »veto« interesują, — że mnie tak niemiłosiernie za nie szarpią i potępiają. Bardziej

jeszcze dziwi mię ten fakt, że szczególniejszą gorliwością w tym względzie odznaczają się ludzie i stronnictwa — co najmniej — obojętne dla Kościoła i religii katolickiej. Widocznie wietrzą w tem coś politycznego, może niepatryotycznego...

Tymczasem powiedz ojciec, co złego uczyniłem? Grzechem to nie jest... Dziś po dekrecie Piusa X, dotyczącym sprawy »veta« — nie uczyniłbym coś podobnego, ale w czasie ostatniego conclave taki przywilej jeszcze istniał i, jak historya uczy, korzystano zeń nieraz. Nie tylko zatem nie popełniłem grzechu, gdyż nie przekroczyłem żadnego przykazania Boskiego lub kościelnego, ale też nie wykroczyłem przeciw prawu. Środek, którego użyłem, był zupełnie legalny. Jak mi mówiono, wypadek ten omawiano zaraz w Rzymie po szkołach wyższych, prawniczych i wszędzie uznano legalność mego wystąpienia. Kardynałowie Oreglia i Rampolla nie protestowali, nie odmawiali mi prawa wnoszenia »veto«, kiedy takowy zamiar zakomunikowałem im na samym początku conclave. Sam Pius X byłby mi coś natrącił o tem, gdybym był co zawinił. Miałem po wyborze dwie audyencye u Niego, — był bardzo serdeczny i łaskaw dla mnie.

Posądzają mnie o motywy polityczne, — żem zaprzedany Austryi — według innych i Prusom, — według innych jeszcze miałem być narzędziem masonów... Poważam i szanuję cesarza, jak ojcu wiadomo, — nigdy jednak nie dałbym się użyć za narzędzie do celów politycznych, bo moja polityka jedyna jest: służyć Panu Bogu i Kościołowi!

Wpływów swoich u cesarza i u rządu austryackiego używam wyłącznie dla Kościoła i dyecezyi, nie dla siebie, nie dla polityki. Tak było i w tym wypadku. Sumienie mi dyktowało, że nie należy dopuścić do wyboru kardynała Rampolli, — użyłem przeto przywileju »veta« jako ostatniego, legalnego i prawnego środka celem udaremnienia wyboru. Mnie chodziło tylko o przyszłość Kościoła, o prądy i kierunek w Kościele... Raczej ja wyzyskałem Austryę, a nie ona mnie!

Czy to był czyn niepatryotyczny, — przyszłość, historya dopowie. Ja tylko tyle powiedzieć dziś mogę, że byłem przeciwny wyborowi kardynała Rampolli nie tylko ze względu na Kościół cały, ale też ze względu na Kościół w Polsce, — na Pol-

skę całą... więcej mówić nie mogę... dosyć miałem dowodów w ręku!

»...Kto bierze sam fakt »veta« oderwany, widzi w nim coś niewłaściwego, jakkolwiek nie może go uważać za coś złego lub za coś nielegalnego, — ale inny sąd wypadnie, jeśli ten fakt zestawia się z pobudkami i motywami, które mną kierowały, — z okolicznościami, które postawieniu »veta« towarzyszyły...

Dziś wszyscy zadowoleni, — ufam w Bogu, — Pius X odpowie zaufaniu, jakie w nim położyliśmy, — pokieruje Kościołem inaczej, nie drogą polityki. Dałby mu Pan Bóg zdrowia i życia dłuższego — światła i wytrwałości...«

Po tej rozmowie nigdy już nie wracał Eminencya do powyższego tematu. Przypuszczam, że w taki sposób chciał się przed kimś wywnętrzyć, wypowiedzieć i dowieść, jak niesłusznie się gorszą i potępiają Go. Nigdy jednak tego kroku nie żałował! Uczynił go bowiem z całkowitą świadomością, i rozwagą, — postąpił ściśle według własnego sumienia.

Lecz jak w innych wypadkach, tak podobnie i w tym nie chciano uszanować Jego sumienia, gmatwano z rozmysłu całą sprawę, która dla Eminencyi i Jego sumienia wydała się tak jasną, prostą i legalną. Nie chciano wierzyć, by poza motywami politycznymi i osobistymi mogły być jakieś pobudki wyższe czystsze, cele szlachetniejsze.

Zwłaszcza Kardynałowi Puzynie odmawiano ich stale, bo Go nie znano, bo patrzano nań tylko pod pewnym kątem widzenia, dlatego z góry potępiano i ganiono, cokolwiekby uczynił. Ludzie nie nawykli dziś szanować cudzych przekonań, — sumienie gra dziś w życiu publicznem i społecznem lichą albo żadną rolę, — natomiast króluje wszechwładnie opinia urabiana tam, gdzie chodzi o wiarę, Kościół i Duchowieństwo przeważnie przez trzeciorzędne gazety i ludzi już z góry uprzedzonych i niechęć żywiących. Cóż dziwnego, że taką miarę stosował ogół do osoby Kardynała Puzyny i według niej osądzał Jego czyny. A Kardynał Puzyna nie miał zwyczaju tłomaczyć się i rzeczy publicznie wyjaśniać... Stąd właściwie płynęły wszelkie nieporozumienia, niechęci... Kardynał Puzyna powinien był nie takie mieć sumienie, jakie miał, — nie powinien był tak ściśle się go trzymać, jak się trzymał, — powinien był kapitulować, odstępować od swoich przekonań, — stosować się do przekonań i za-

chceń tej lub owej redakcyi albo różnych stronnictw politycznych, nie powinien był potęgą swego ducha i niezłomnością swej woli wybijać się ponad tłum, — wtedy dopiero byłby dobry, wtedy dałoby się z Nim żyć w zgodzie!

Tem, nie czem innem należy sobie tłomaczyć wszelkie przykre zajścia, jakie miały miejsce za rządów Eminencyi, — zwłaszcza w ostatniem dziesięcioleciu, — do których dalszego zestawienia teraz przystępuję. Zbiorę najważniejsze, głośniejsze.

ROZDZIAŁ III.

Kardynał Puzyna a wydział teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zamierzam omówić nasamprzód sprawę bardzo delikatnej natury, — sprawę, która się ciągnęła przez cały ciąg rządów Kardynała Puzyny i tyle trosk i bólu Mu sprawiła.

Mam na myśli nieporozumienia z wydziałem teologicznym na Uniw. Jagiell. — ściślej mówiąc z niektórymi z XX. Profesorów i trudności, jakie napotykał przy obsadzaniu katedr uniwersyteckich teologicznych.

Długo się zastanawiałem, — wyznaję szczerze — czy nie byłoby bardziej wskazaną rzeczą pominąć tę sprawę właśnie ze względu na jej delikatność, tudzież ze względu na tę okoliczność, iż mogę być źle zrozumiany...

Ostatecznie jednak zdecydowałem się po długim namyśle i modlitwie wstrzymać się od własnego, osobistego mego poglądu i zdania o nieporozumieniach, jakie zachodziły między Eminencyą a niektórymi z XX. Profesorów wydziału teologicznego, — przytoczyć natomiast wyłącznie poglądy i sądy, jakie sam Eminencya o nich miał i takowe wypowiedział.

Od wypowiedzenia swego sądu o tej sprawie wstrzymam się, gdyż nie uważam się za powołanego do zabierania w niej głosu publicznie, — podać do publicznej wiadomości, co o tej sprawie myślał i jak się w niej Kardynał Puzyna zachował, sądzę, jest moim obowiązkiem jako sprawozdawcy i świadka Jego życia prywatnego i działalności publicznej.

Przypuszczam bowiem, iż wspomnienia moje niniejsze o Kar-

dynale Puzynie nosić będą cechę dokumentu historycznego, z którym każdy historyk, kreślący dzieje Kościoła w Polsce — specyalnie dzieje dyecezyi krakowskiej — będzie się musiał liczyć. Wobec tego nie wolno mi pomijać milczeniem sprawy z jednej strony wprawdzie bardzo delikatnej, z drugiej jednak powszechnie znanej i tak opacznie nieraz osądzanej.

Nieporozumienia, o których mowa, pozostawił w spuściźnie po sobie ś. p. kardynał Dunajewski, który miał się wyrazić, iż »schodzi do grobu z raną zadaną mu przez wydział teologiczny«... Względem nowego Arcypasterza zajęli niektórzy XX. Profesorowie to samo stanowisko, jakie zajmowali względem Jego poprzednika — zadali ranę i Jemu i On legł z nią w grobie... Spodziewać się należy, że historya zabierze kiedyś głos w całej tej bądź co bądź bardzo przykrej sprawie i wykaże na podstawie dokumentów, jak się rzecz właściwie miała, kto tu zawinił.

Nie mając zamiaru kreślić szkicu historycznego w tej materyi nie będę wchodził w szczegóły; podam tylko to, co posłuży do zrozumienia ogólnego zasadniczego stanowiska, jakie zajmował Eminencya.

Niżej przytoczone myśli i sądy o nieporozumieniach z wydziałem teologicznym wypowiedział Eminencya w różnych czasach, odpowiednio do okoliczności i faz, w jakie stopniowo cała ta sprawa wchodziła. — Zacznę ją i skończę cudzysłowem...

...»Przedewszystkiem bolesny i wprost gorszący jest sam fakt istnienia sporu między niektórymi XX. Profesorami a biskupem dyecezyalnym, boć ostatecznie biskup, jakimby on był, jest biskupem, rządcą dyecezyi. Pod jego juryzdykcyę należą i profesorowie Uniw. Przecież oni nie są exempti, nie podlegają bezpośrednio Stolicy św. Poza tem mogą mieć jako profesorowie jednego z wydziałów Uniwersyteckich pewne przywileje, których — uznaję — powinni bronić, gdyby im ktoś takowe rzeczywiście naruszał. Wątpię jednak, by który biskup do tego się posuwał — owszem najczęściej przeciwnie się dzieje. Pod pozorem obrony swoich przywilejów profesorskich rzekomo zagrożonych stroną atakującą są profesorzy w dodatku księża, — co przecież musi dawać zgorszenie i świadczy niezbyt dobrze o samych profesorach...

Kto jest stróżem nauki wiary i obyczajów w dyecezyi, jeżeli nie biskup?

Do kogo należy nadawanie kierunku wychowania i wykształcenia teologicznego dla młodzieży duchownej, jeżeli nie do biskupa?

Czyż profesorowie mają monopol ortodoksyi?

Historya — zwłaszcza ostatnich lat — co innego mówi!

I o cóż właściwie spór wszczynają? Chcą mnie zmusić, bym dał *missionem canonicam* kandydatom na profesorów przez nich postawionym... Ależ tu właśnie obowiązkiem biskupa jest czuwać, by nikt niepowołany nie wdarł się na katedrę — szczególnie w czasach dzisiejszych!

O kwalifikacyi kandydata i biskup ma prawo decydować, bo nie tylko fachowe wykształcenie, ale i co innego jest wymagane u profesora wydziału teologicznego. Do kwalifikacyi naukowych nie wtrącam się. Rzeczą jest grona profesorów wyegzaminować kandytada i habilitować go. Biskup jednak musi wiedzieć, kto jest ów kapłan, któremu ma powierzyć swoją młodzież duchowną. Musi znać jego przeszłość, jego ducha kapłańskiego, kościelnego, jego prowadzenie się, — musi znać jego wartość moralną. Tak, jak święcić nie powinien nikogo, kogo nie zna, tak podobnie nie powinien oddawać młodzieży komuś, kogo nie zna, o kim nie ma rękojmi, że dobrze na młodzież wpływać będzie, że z katedry profesorskiej działać będzie w jedności, łączności i solidarności ze swoim biskupem...

Ja tak pojmuję stosunek profesorów do biskupa w naszym Kościele św.

Biskup winien mieć z jednej strony Kapitułę, z drugiej Profesorów teologii, nie, by go zwalczali, lecz, by go w pracy zbożnej wspierali!

Chodzi im o to, że ja nie daję *missionem canonicam* tym kandydatom, których oni przedstawiają... Nie daję dlatego jedynie, bo mi sumienie kapłańskie i biskupie nie pozwala. Według mnie nie nadaje się ten lub ów przez nich rządowi proponowany do objęcia katedry... Jeśli mowa o wartości moralnej kandydatów, to mnie przedewszystkiem przysługuje prawo osądzić.

Dlaczego naodwrót oni nie chcą dopuścić do katedry tych, których biskup proponuje i poleca?... Dlaczego upatrują w tem zamach na swoje uprzywilejowane stanowisko? Czy ci, których

ja proponuję, są moimi faworytami, moimi ulubieńcami? Patrzą tyle lat na moją pracę, widzą jak się zajmuję młodzieżą, jak zdolniejszym, bardziej wyrobionym duchowo jednostkom podaję rękę, daję wyższe wykształcenie za granicą, czuwam nad ich wychowaniem nie, by byli moimi faworytami, lecz jedynie — Bóg to widzi, — by ich wyrobić na dobrych kapłanów i powierzyć im potem odpowiedzialne stanowiska... Komu Pan Bóg dał pięć talentów, należy mu pomódz, by drugie pięć zarobił, by nie myśląc o sobie oddał się cały na usługi Kościołowi i społeczeństwu. Czy to jest Jan, czy Piotr, czy Paweł — mnie wszystko jedno — skoro tylko widzę w nim uzdolnienie, pracę, ducha Bożego, — skoro widzę, że kocha naukę i daje rękojmię, że w niej dalej pracować będzie, — takiemu chciałbym powierzyć nauczanie młodzieży duchownej.

Trudno uwierzyć, żeby z szesnastu, których tak wykierowałem na ludzi, żeby żaden nie kwalifikował się na profesora! Wszak kilku między nimi złożyło egzamina ze stopniem znakomitym!

Z całego zachowania się ich względem swego biskupa wynikałoby, że jednym z powodów, dla którego przezemnie proponowany nie nadaje się według nich na profesora, jest właśnie ta okoliczność, że go proponuje biskup... Wynikałoby... nie twierdzę, że tak jest, — boć byłoby to bardzo smutne.

Również nie chce mi się wierzyć, by posługiwali się takiemi n. p. racyami, że ten lub tamten proponowany przez biskupa, to lub owo gdzieś przed kimś na któregoś z nich powiedział, jego wykłady krytykował... a więc nie wart być profesorem... Byłoby to i smutne i śmieszne zarazem.

Kwalifikacyi naukowych tym, których ja proponuję, według sprawiedliwości odmówić nie mogą, bo może sami nie mieli lepszych, kiedy obejmowali katedry. Pamiętam przecież, co napisał, z czem na katedrę wstąpił jeden z nich, kiedym przybył do Krakowa. Nie znałem go wówczas; widziałem dobrą wolę; sądziłem, że skoro mu serce pokażę i rękę podam, to go tem dla sprawy Bożej pozyskam. Ułatwiłem mu wszystko, — dziś występuje z zarzutem, że kandydaci zalecani przezemnie są młodzi, mało znani, a on sam był przecież młody i nieznany, bo dopiero wrócił ze studyów.

Ilu to młodych ludzi jest na innych wydziałach! Owszem

młodemu, byle należycie przygotowanemu, w nauce rozmiłowanemu, zdolnemu należy takie stanowiska powierzać, bo taki ma przed sobą szereg lat, ma zapał do pracy, może swą specyalizacyę w danym kierunku bardzo daleko doprowadzić... Dzieła nie pisze się w jednym roku!...

Boją się podobno, bym pod względem naukowym nie obniżył ich wydziału.

Nie chcą widzieć, jakim przyjacielem jestem nauki, że w pasterzowaniu swojem postawiłem sobie za zadanie wychować cały zastęp kapłanów światłych, uczonych, świątobliwych zarazem.

Nikt jeszcze nie marzył o tem, a ja pierwszy z Przemyśla rozpocząłem wysyłanie za granicę zdolniejszych księży. Śmiano się ze mnie... To samo robiłem we Lwowie, — robię — w Krakowie.

Ja zresztą pojmuję, że mogą zajść jakieś nieporozumienia chwilowe i w naszych stosunkach, boć ludźmi jesteśmy, — jednak owe nieporozumienia winny być załatwiane w sposób ludzki, szlachetny, w sposób chrześcijański, kapłański... Powinni przyjść do swego biskupa, przedłożyć swoje wątpliwości lub obawy, — przedstawić mu swoje postulaty — słowem porozumieć się z biskupem, jak na kapłanów, na ludzi inteligentnych przystało, — tymczasem tak nie jest. Agitują za plecami; w Wiedniu i Rzymie fałszywie rzecz przedstawiają, wciągając w tę sprawę wiele osób niepowołanych; w błąd wprowadzają opinię w mieście i całej dyecezyi... Niewiadomo, jak z takimi ludźmi porozumiewać się, jak sprawy załatwiać...

Ja gotów jestem do wszystkich ofiar, do wszelkich upokorzeń, byle wydział teologiczny podnieść, obsadzić go ludźmi nauki, ale ożywionymi zarazem duchem prawdziwie Bożym, kościelnym. Już i tak zniosłem wiele upokorzeń... łażę... proszę...

Bez żadnego porozumienia się z biskupem zrobili rządowi propozycyę kreowania katedry socyologii... Zniosłem cierpliwie i to... a nawet dałem *missionem canonicam* kapłanowi przez nich proponowanemu, choć go zgoła nie znałem. Kosztowało mnie to bardzo wiele, ale ustąpiłem dla świętej zgody...

O katedrze kwestyi społecznej myślałem i ja — jak ojcu dobrze wiadomo. Miałem ks. Z. wysłać w tym celu do Niemiec, Belgii i Włoch... Oni urządzili to na swoją rękę, pospiesznie — jakby mnie na przekór. — Nie było też w tem błogosławień-

stwa Bożego, — okazały się zaraz początki i fakty, które zrodziły u wielu uczucie zawodu i niesympatyi do samego wydziału, — ale nie mówmy o tem!

Przykra, bardzo przykra sprawa z wydziałem... I do czego dojdzie z czasem? Jeśli jeden i drugi biskup tyle przeszkód, kłopotu i przykrości od wydziału doznawać będzie, to dojdzie do tego, że urządzi dla swej duchownej młodzieży studyum domowe, jak w Tarnowie lub Przemyślu, co połączoneby było niewątpliwie z większą korzyścią i duchową i intellektualną alumnów... Oni doprowadzą do tego!

Przyjdzie czas, kiedy historya wyświetli wszystko na podstawie dokumentów, a wtedy wyjdzie na jaw bardzo niewłaściwe postępowanie wydziału teologicznego«...

ROZDZIAŁ IV.

Michał Bałucki. — Ks. Stojałowski.

Głośną w swoim czasie była sprawa pogrzebu Michała Bałuckiego. Rzecz się tak miała.

Dnia 17 października roku 1901 rozeszła się po Krakowie ponura wiadomość, że na błoniach wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie Michał Bałucki... Powodem samobójstwa miała być niezdolność do dalszego pisania, gdyż władze umysłowe odmówiły posłuszeństwa. »Pisać nie mogę, więc pocóż mam żyć?« — jakgdyby pisanie wogóle stanowiło najwyższy cel życia ludzkiego.

Z myślą samobójstwa nosił się od dłuższego czasu t. j. odkąd zauważył u siebie osłabienie i powolne psucie się władz umysłowych. W ostatnich tygodniach puszczał się kilka razy na błonia z rewolwerem w kieszeni; doznawał jednak zawsze jakiejś przeszkody w wykonaniu swego zamiaru, — aż wreszcie go dokonał... Dokonał go z całą premedytacyą, świadomością i rozwagą...

Jak pochować Michała Bałuckiego zgasłego wśród takich okoliczności?

Może na myśl nie przyszło nikomu z jego zwolenników i przyjaciół, żeby znany powieścio- i komedyo-pisarz nie miał mieć najwspanialszego pogrzebu, — żeby mogło istnieć na świecie jakieś prawo, któreby śmiało przeciwić się wspaniałemu pogrzebowi dla tak zasłużonego w ich pojęciu człowieka...

Tymczasem Kardynał Puzyna jako Biskup dyecezyi zacy-

tował prawo, które nie tylko nie pozwalało na wspaniały obchód pogrzebowy, ale wogóle nakazywało odmówić jakiegokolwiek pogrzebu kościelnego, katolickiego — samobójcy. Kardynał Puzyna prawo zacytował i jako stróż praw Kościoła odpowiedni zakaz wydał.

Tego się nie spodziewano... Powszechne bowiem jest mniemanie, że jeżeli kto, to przedewszystkiem Kościół katolicki powinien ustępować ze swoich praw i nie drażnić ludzi... Dziś tak się wielu zapatruje na Kościół i z Nim obchodzi, jak gdyby świadczyli łaskę Bogu i Kościołowi, że jeszcze wogóle chcą mieć z Nim do czynienia, że się do Niego przyznają.

Różne, przeróżne osobistości zaczęły nachodzić Eminencyę i ks. Biskupa Nowaka, by zakaz cofnięto. Nic nie pomagało, boć i cóż mogło pomódz, skoro rzecz była jasna, zakaz uzasadniony w zupełności, — słuszny, sprawiedliwy?!

Wreszcie przypuszczono ostatni szturm, który z zewnątrz miała wzmacniać urobiona już i wzburzona przeciw Eminencyi opinia w mieście...

U Eminencyi zjawił się ś. p. hr. P. ówczesny marszałek kraju. Jakoś bezpośrednio po rozmowie z nim przybyłem do pałacu. Eminencya był spokojny, choć nieco podniecony. Odbył Spow. św. Po tym akcie odezwał się w te słowa:

»Wie ojciec, jaki mam kłopot w tych dniach... czego odemnie żądają... Koniecznie chcą wymusić na mnie pogwałcenie prawa kościelnego dla człowieka, który z zimną krwią popełnił samobójstwo, — który swego charakteru chrześcijańskiego, katolickiego niczem nie zaznaczył, owszem przeciwnie, boć o tem świadczy aż nadto wymownie to, co pisał... Po różnych próbach przysłali dziś do mnie p. Marszałka kraju. Dziwi mnie, że się takiej misyi podjął, gdyż wiem dobrze, że i on i każdy dobry katolik tak myśli o całej tej sprawie, jak ja. Ale widocznie kierował się racyą stanu. Oświadczyłem mu wprost, iż mnie taka prośba w ustach Ekscellencyi dziwi, że nigdy nie ustąpię, bo ustąpić nie dozwala mi moje kapłańskie i biskupie sumienie... Zaczął coś mówić o opinii w mieście... Odpowiedziałem na to, że ja kieruję się w swoich obowiązkach biskupich opinią Bożą i Kościoła św. a nie ulicy... Wspomniał dalej, że mi dziś wieczorem chcą wybić szyby w pałacu i narzucać kamieni do pokoju... — dobrze, odpowiedziałem — jeśli władza polityczna jest wo

bec wybryków i bezprawia ulicy bezsilną, cofnę się do tylnych ubikacyi pałacu tam, gdzie się mieści małe seminaryum, lecz nie ustąpię, bo nie mogę. Ja mogę ustąpić ze swoich praw osobistych, ale nigdy z praw Kościoła! Grożą mi kamieniami?... oto moje plecy!... Niech mnie biją, nigdy jednak nie pozwolę bić Kościoła, — nie pozwolę deptać praw kościelnych, — nie pozwolę ulicy rządzić w Kościele i decydować, jakie nabożeństwa lub jakie pogrzeby należy urządzać...«

Rozeszliśmy się w zgodzie dodał Eminencya. Widziałem i czułem, że p. Marszałek był tego samego zdania, co ja, — że jedynie stanowisko jego w kraju kazało mu o tej sprawie ze mną mówić. Jak oni mogli takiej rzeczy odemnie wymagać? Choćby — Boże uchowaj — brat mój rodzony lub kapłan tak życie zakończył, jak Bałucki, odmówiłbym kościelnego pogrzebu bez żadnego wahania«... Chyba zbyteczna dalsza uwaga...

———

Skoro mowa o zajściach, które za czasów Kardynała Puzyny tyle wywołały wrzawy, niech mi wolno będzie wspomnieć teraz o stosunku Eminencyi do ś. p. ks. Stojałowskiego.

Główne zapasy, żeby się tak wyrazić, — między temi dwoma potężnemi indywidualnościami przypadają na ostatnie lata pobytu Eminencyi we Lwowie, a pierwsze w Krakowie. W szczegóły zatem wchodzić nie mogę, gdyż obejmują one czas moich studyów zagranicznych, nie byłem przeto ich świadkiem.

W epoce, którą specyalnie w niniejszych zapiskach uwzględniam, sprawa między Eminencyą a ks. Stojałowskim była już załatwioną o tyle, że Eminencya trwał przy swoich dawnych zarządzeniach t. j. nie dopuszczał go do ołtarza w swej dyecezyi, a ks. Stojałowski wiódł dalej niespokojny żywot, poniewierając siebie i poniewierany przez drugich, patrząc własnemi oczyma na coraz jaskrawsze bankructwo swoich idei i swojej rzekomo społecznej pracy.

Pierwszy raz widziałem go w Rzymie, kiedy to przybył »do Kanossy«, prosząc o zdjęcie klątwy kościelnej. Nosił wtedy brodę. Po Rzymie głosił, że wróci do kraju, by naprawić wszystko, co zepsuł...

W duchu życzyliśmy mu i Pana Boga o to dla niego prosili, — by raczej myślał o pokucie gdzieś poza krajem, — by nie wracał na to samo pole działania, nie stawiał się w tych

samych okolicznościach, które go już o tyle upadków przyprawiły, wśród których tyle spustoszenia narobił.

Przyszłość stwierdziła, że ks. Stojałowski nie tylko złego przez się zdziałanego nie naprawił, ale owszem takowe spotęgował. Tak Bóg sprawiedliwy dopuścił... Gdyby był ks. Stojałowski, jak mu podobno ktoś radził, usunął się po zdjęciu ekskomuniki z dotychczasowego pola walki i pracy, a przeniósł się gdzieindziej i tam nauczony doświadczeniem w tym samym kierunku ale lepszym duchu pracował, — do czego był rzeczywiście wysoce uzdolniony, — byłby w istocie złe naprawił, Bogu chwały przysporzył, od poniżeń i poniewierki na stare lata się uchronił — co więcej, — byłby ustąpił z pola dotychczasowej walki z honorem, otoczony może aureolą bohatera-męczennika... Lecz do takiego kroku potrzebna była prawdziwa pokora i szczera skrucha, — a tych właśnie zalet brakowało zawsze ks. Stojałowskiemu!

Wrócił do kraju, rzucił się po ogłoszeniu paru frazesów niby odwołania i przeproszenia w dawny wir...

Pan Bóg, — jak zaznaczyłem, — to dopuścił, bo chciał okazać całkowite owoce jego pracy, bo chciał dowieść, co właściwie było głównem źródłem i motywem całej działalności ks. Stojałowskiego, bądźcobądź szalonej jego pracy, a nawet ofiar i cierpień.

Niepodobna pominąć tu zdania, które często i z ust wielu słyszeć się dało:

»Wszystkiemu winien Biskup Puzyna. Gdyby nie był autokratą bez serca, gdyby miał więcej znajomości ludzi, to mógłby był tego zdolnego księdza pozyskać i do dobrej sprawy go użyć... Mógł mu podać rękę, a nie dusić go w Kulikowie. Teraz ks. Stojałowski wyrzucony z Kulikowa, przygnieciony nadto ekskomuniką i suspenzą musi bronić się przed krzywdą... Można go było zrobić kanonikiem, — z pewnością poszedłby ks. Stojałowski inną drogą«...

Było to niemal powszechne mniemanie, — jak widzimy, — bardzo naiwne i dodajmy z zasadami zdrowej etyki całkiem niezgodne. Tak sądzić o sprawach kościelnych, — o stosunku biskupa do nagannie żyjącego kapłana może człowiek, który albo wcale sprawy nie zna, a jednak głos o niej zabiera, albo pobłażliwie traktując namiętności swoje, pragnie, by i w dzie-

dzinie życia kościelnego, religijnego czyniono ustępstwa z praw Kościoła i zasad wiary na rzecz ludzkiej pychy i zmysłowości.

Ks. Stojałowskiego nie znano. Zjawił się nagle w zachodniej Galicyi, tu osiadł, stąd się rzucał.

Gdzie przedtem był, co zaszło w Kulikowie, jakie życie wiódł, za co został usunięty z probostwa i obłożony cenzurą kościelną, w to nikt nie wchodził, a jeśli coś tam przebąkiwano o tem, — to ten lub ów machnął ręką mówiąc: »to drobiazg, po co takie rzeczy rozmazywać, to rzeczy prywatne, któż tam wie, czy tak było i t. p.«

Nie tak biskup, pasterz! Z rozkazu Boga i Kościoła, z obowiązku swego musi wchodzić we wszystko, — on musi, powinien wiedzieć, jak żyje, jak pracuje kapłan jego dyecezyi, — zwłaszcza proboszcz. Ma w tym celu nakazane wizyty kanoniczne. Ks. Biskup Puzyna jako sufragan lwowski odbył taką wizytacyę w Kulikowie, o czem parę razy wspominał w rozmowie ze mną.

...»Nie będę ojcu mówił, com tam zastał... Dokumenta złożone w konsystorzu lwowskim, niech świadczą o tem; to tylko powiem, że jego dalszy pobyt w parafii absolutnie był niemożliwy, nie tylko, ale że musiałem usunąć go od ołtarza, zabronić odprawiania Mszy św.

Kościół św. nakazuje biskupowi w podobnych razach złożenie dotyczącego kapłana z urzędu, — opinia — zwłaszcza dzisiejsza — chciałaby widzieć takiego kapłana posuniętego na wyższy urząd, wyższą godność, — by go wymiarem kary nie drażnić!... Ciekawa rzecz, coby powiedziała ta sama opinia o biskupie, o prawie kościelnem i całym Kościele, gdyby rzeczywiście biskup zamiast ukarać winnego kapłana puścił wszystko płazem, — owszem, gdyby go na wyższy urząd, lub godność posunął?!

Ciekawa rzecz dalej, czy ks. Stojałowski ze swoim temperamentem i usposobieniem byłby poszedł inną drogą...

Smutnem, bardzo smutnem zjawiskiem jest dusza kapłana, który wypadł z równowagi duchowej, — który rozminął się ze swem powołaniem, albo łaskę powołania utracił, — zwłaszcza jeśli ten kapłan obdarzony był przez Pana Boga niezwykłemi zdolnościami. Że ks. Stojałowski przedstawiał takie smutne zjawisko, — że przez swe nieokiełznane wady wypadł z kolei, którą

winno się było toczyć jego życie, — dowód w tem, iż odbywał nowicyat pod kierunkiem tak znakomitego człowieka i mistrza w życiu duchownem, jakim był ś. p. O. Jackowski T. J., że w Zakonie przebył całych lat dziewięć. Bez powołania nie byłby dopuszczony do święceń, nie byłby tak długo pozostawał w Zakonie OO. Jezuitów. Powołanie było, lecz nie było odpowiadania powołaniu, — tu źródło wszystkiego.

Kiedy ks. Stojałowski stawał do otwartej walki i jawnego buntu przeciw władzy duch. t. j. przeciw całemu Episkopatowi Galicyi, — przypomina mu to w liście otwartym dawny ojciec duchowny ks. Jackowski, do cofnięcia się z tak zgubnej drogi nawołuje, — zaklina, by jako kapłan swej duszy nie gubił... Wszystko napróżno, — ks. Stojałowski staczał się dalej po równi pochyłej...

Niewiadomo, dlaczego Pan Bóg splótł te dwa życia, — dlaczego takim węzłem złączył te dwie postacie: Kardynała Puzyny i ks. Stojałowskiego. Niewątpliwie miał Pan Bóg w tem różne zamiary.

W każdym razie ks. Stojałowski był w życiu Kardynała Puzyny cierniem, lecz i bodźcem zarazem... *Oportet haereses esse*... I źli ludzie być muszą dla dobrych t. zn., by przez ludzi złych dobrzy jeszcze bardziej się uświęcali, więcej zbierali zasług przed Bogiem, cierpieniem swojem obfitsze błogosławieństwo Boże ściągali na ziemię...

Największą boleść sprawiło Eminencyi i wielką przejęło Go bojaźnią o przyszłość zachowanie się przeważnej części społeczeństwa wobec Episkopatu. Egzamin, jaki społeczeństwo zdało wtedy z okazyi walki ks. Stojałowskiego z Kardynałem Puzyną, wypadł niepomyślnie.

Pokazało się dowodnie, jak wielką dozę trucizny przejęło już w siebie z zachodu, — jak ślepo i bezkrytycznie słucha każdego demagoga, choćby tenże wiódł je przeciw własnej matce Kościołowi św., którego najprzedniejszymi członkami są przecież Biskupi!

Ks. Stojałowskiego przeceniano... Przypisywano mu jakieś specyalne posłannictwo w epoce dzisiejszej t. j. w epoce społecznej ewolucyi. Tak go też przedstawiano w Rzymie, w Wiedniu zrobiono zeń jakiegoś męczennika społecznego, którego Kardynał Puzyna gnębi, bo się osobiście doń zraził, bo zresztą o kwestyi

społecznej pojęcia nie ma! Trzeba było dłuższego czasu, by społeczeństwo poznało, kim właściwie jest ks. Stojałowski, jakoteż że z nim inaczej postępować nie można z tej prostej przyczyny, że jako kapłan i niby działacz społeczny na inne postępowanie nie zasługuje.

Zresztą ks. Stojałowski umiał się kręcić koło swoich interesów... Wiedział do kogo się udać, w jaką strunę uderzać, — umiał swoją niewinność przedłożyć. Umiał wciągnąć w swą sprawę osoby biskupów — kardynałów włoskich, francuskich, a zawsze pod pozorem swej pracy społecznej, w której rzekomo miał mu przeszkadzać Kardynał Puzyna. Tego rodzaju zapewnieniom, tem łatwiej przychodziło uwierzyć, iż wówczas kwestya społeczna była najaktualniejszą tak w Wiedniu (dr. Lueger) jak we Włoszech, jak również we Francyi.

W gruncie rzeczy inny był powód ścigania karami kościelnemi ks. Stojałowskiego. Nauki jego, podkopujące wiarę, depczące prawo kanoniczne, podburzające tłumy przeciwko władzy i jurysdykcyi XX. Biskupów, — oto właściwe przyczyny sprawiedliwej kary — klątwy na kapłana!

Kardynał Puzyna wiedział, z kim ma do czynienia. Ks. Stojałowskiego poznał doskonale w Kulikowie... Nie wierzył, by z takiego źródła mogła zdrowa, czysta woda płynąć — bez łaski Bożej, bez poprawy. Dalsze zaś życie i postępowanie ks. Stojałowskiego nie świadczyło bynajmniej o poprawie, lecz przeciwnie o ciągłem obsuwaniu się na dół, — o wielkiej pysze i chęci mszczenia się na każdym kroku. To też tryb życia i działania ks. Stojałowskiego nie zadziwiał Eminencyi, gdyż go znał dobrze, — ogół go nie znał, oceniał go też inaczej.

Wypadki następne stwierdziły aż nadto, że Kardynał Puzyna miał słuszność. Niechrześcijańska, niekatolicka akcya ks. Stojałowskiego utorowała drogę niektórym dzisiejszym stronnictwom, które nielitościwie wyzyskują ciemny i biedny lud do swych partyjnych lub osobistych celów, lecz — co gorsza — osłabiają w nim wiarę, podkopują zaufanie do władzy duchownej, zaszczepiają nienawiść klasową, podsycają najniższe instynkta. To wszystko dzieje się pod pozorem dobra ludu, jego uświadomienia i polepszenia jego obecnej doli! Do takiej pracy społecznej i politycznej ośmielił wszystkich i nauczył jej ks. Sto-

jałowski prawdziwy mistrz w szerzeniu rewolucyi w umysłach i sercach!

Ostatecznie po długiej poniewierce, po przerzucaniu się częstem ze stronnictwa do stronnictwa zeszedł z pola walki bez idei, bez zwolenników...

Nie w takich warunkach wypuścił pług z ręki Kardynał Puzyna! Na życiu Kardynała Puzyny można i należy umieścić śmiało następujący napis: »Tak winien żyć i pracować każdy kapłan katolicki« — przeciwny zupełnie napis należy się życiu ks. Stojałowskiego: »Tak nie powinien żyć, tak nie powinien pracować żaden kapłan katolicki...«

Obydwaj pracowali, poświęcali się, cierpieli wiele, bardzo wiele... Pierwszy jednak pracował dodatnio, pozytywnie, — drugi ujemnie, negatywnie, — pierwszy poświęcał się i cierpiał dla idei czystej i zdrowej, dla chwały Bożej, dla dobra Kościoła i społeczeństwa, — drugi poświęcał się i cierpiał także dla idei, lecz niezdrowej, w owocach i w skutkach najzgubniejszej, — cierpiał, bo kto się kieruje wadami zwłaszcza pychą i nienawiścią, sam na się cierpienia ściąga.

Patrząc na życie, znoje i zapasy tych dwóch wielkich w swoim rodzaju indywidualności, które Bóg tak dziwnie splótł ze sobą, niepodobna nie mieć następujących głębokich refleksyi, narzucających się mimowoli.

Pierwsza, — największe zdolności, genialne przymioty ducha można skrzywić i ku złemu celowi wyzyskać, — nawet łaskę najszczytniejszego powołania kapłańskiego można stracić, — jeśli się nie ma ugruntowanej pokory, wyrobienia prawdziwego, — cnoty stanowi kapłańskiemu odpowiedniej...

Druga, niemniej głęboka nauka:

Tak wygląda, takie owoce przynosi praca kapłana, jeśli się poważy targnąć na majestat władzy kościelnej, — jeśli hołduje dzisiejszemu prądowi i na własną rękę, według własnego widzimisię chce pracować dla chwały Bożej, dla dobra społeczeństwa... Niema w takiej pracy błogosławieństwa Bożego!

Pracy i życiu ks. Stojałowskiego towarzyszy stale niepowodzenie, upokorzenia, jakkolwiek płonął żarliwością, poświęceniem, jakkolwiek oklaskiwały go przy jego pierwszych występach przeciw Biskupom dziesiątki albo nawet setki tysięcy,

jakkolwiek uważany był za człowieka opatrznościowego i wielu liczył sprzymierzeńców w swej wywrotowej pracy...

Żal było tego starca, który się poniewierał na stare lata, — któremu w twarz plwano, policzkowano... niestety nie za to, za co plwano i policzkowano Pana Jezusa! — Szkoda — wielka szkoda!

ROZDZIAŁ V.

Słowacki. — Grunwald.

Przystępuję teraz do przedstawienia stanowiska, jakie zajął Kardynał Puzyna w sprawie projektowanego sprowadzenia zwłok Słowackiego, — tudzież obchodu Grunwaldzkiego.

Z porządku rzeczy należałoby poprzedzić przedłożoną kwestyę rozdziałem o patryotyzmie Kardynała Puzyny, — należałoby dowieść, — że nie był zdrajcą ojczyzny, zaprzedanym Prusom lub Austryi, jak to różne pisma publicznie Mu zarzucały, — że nie gasił ducha patryotycznego, — słowem, nie był wrogiem ojczyzny...

...Należałoby dowieść, — lecz, wyznaję szczerze, dowodzić nie będę, bo się boję ubliżyć całemu społeczeństwu... Zaprawdę, — mówiąc po ludzku nie po katolicku nie pozostawałoby nic innego, jak ręce załamać i czarnej oddać się rozpaczy, gdyby społeczeństwo nasze odmawiało na seryo uczucia miłości ojczyzny takim synom tejże ojczyzny, gdyby całego życia i działania Kardynała Puzyny nie uważało obok chrześcijańskiego katolickiego za patryotyczne — i to na wskróś patryotyczne!

Przestańmy się łudzić i oszukiwać, — zrzućmy zasłonę z oczu, bierzmy rzeczy jak są, — przestańmy kłamstwo brać za prawdę, ciemność za światło! Nie dowodzi to bynajmniej naszego zdrowia, nie wróży lepszej doli, jeśli prawdziwie wielkich ludzi, wiernych, najwierniejszych synów Kościoła i ojczyzny błotem się obrzuca, odsądza się od czci i wiary, a podnosi się pod niebiosa i tłumnie się podąża za ludźmi bez bojaźni Bożej, podejrzanej wartości moralnej, używającymi patryotyzmu jako środka do osobistych

celów!... Z owoców poznaje się drzewo, — z życia i uczynków — człowieka!

Poznajmy dokładnie, bezstronnie, bez uprzedzeń i niechęci życie Kardynała Puzyny, — idźmy za Nim krok w krok od kresów wschodnich Galicyi do Wawelskiej góry i hen dalej do granic zachodnich, zanalizujmy każdy jego czyn, a niewątpliwie przyjdziemy do przekonania, że i pod względem patryotycznym był czystym jak łza, — co więcej, że mądrzej, goręcej, skuteczniej kochał ojczyznę i naród swój, niż niejeden z tych, którzy w oczach ogółu uchodzą za wielkich patryotów!

Dlaczego Kardynał Puzyna zajął znane stanowisko w sprawie sprowadzenia zwłok Słowackiego do katedry na Wawelu?

Niedawna to sprawa, — dlatego zapewne dobrze nam znany jej przebieg. Wiemy wszyscy, że z początku nie była to sprawa całego społeczeństwa. Myśl podniesiona przez kółko studentów uniwersyteckich, — podjęta następnie przez tak zwany »komitet samozwańczy«, komitet, w skład którego wchodziły jednostki, dla których »Słowacki był głupim, zbzikowanym fantastą«, a miłość ojczyzny czyli patryotyzm »bezdennem głupstwem...«

Sprawa Słowackiego zaczęła obchodzić i interesować społeczeństwo dopiero od chwili, kiedy Kardynał Puzyna wypowiedział w niej ostatnie słowo. Wtedy to wzniecono pożar po całym kraju, we wszystkich trzech zaborach, bo jednostki, o których była mowa, umieją wzniecać pożar wśród społeczeństwa, — zwłaszcza jeśli chodzi o Kościół katolicki, o osobę biskupa, — a jeszcze bardziej o osobę Kardynała Puzyny! W tego rodzaju pracy mamy wielu mistrzów w naszem społeczeństwie, — aparaty ich, przyznać trzeba, funkcyonują doskonale!

Lecz co smutniejsza — takim ludziom przyznaje się dziś prawdziwy patryotyzm, — słucha się ich bez żadnych zastrzeżeń!...

Kardynał Puzyna odmówił pozwolenia na pochowanie zwłok Słowackiego w katedrze krakowskiej... z jakich powodów?

Naprzód był nieubłaganym wrogiem patryotyzmu krzykliwego, ulicznego, demonstracyjnego...

»Ja pamiętam czasy 1863 roku... Patrzyłem na to, co się działo w Królestwie i całym kraju... Wiem, jacy to ludzie uchodzili wówczas za największych patryotów, — jakie indywidua urządzały nabożeństwa, śpiewy po kościołach, demonstracyjne

pogrzeby i patryotyczne pochody po ulicach Warszawy... Taki to patryotyzm zadał ojczyźnie jeszcze cięższą i głębszą ranę!... Czas już wielki, żeby zerwać z nim, bo to najoczywistsze kłamstwo i prawdziwe nieszczęście... Stawiamy na wyścigi pomniki, wynajdujemy coraz to nowe obchody, popisujemy się na ulicy i po gazetach ze swoją miłością ojczyzny, – a gdzie praca i jej owoce, — gdzie cnoty, gdzie poczucie obowiązkowości, — gdzie prawdziwa siła duchowa, gdzie czysta, bezinteresowna ofiarność dla kraju, gdzie wiara i przywiązanie do katolickiego Kościoła, któremu jedynie zawdzięczamy to, iż nas strawić nie mogą ani w Prusiech, ani w Rosyi?! Budujmy nie kamienne, ale żywe pomniki, zajmijmy się maluczkimi, młodzieżą i wychowujmy zdrowe pokolenia we wierze i cnotach obywatelskich... Dziś przeciwnie truje się młodzież, — skupili się wszyscy, by ją zepsuć, wiarę wykraść, rozpróżniaczyć, rozbawić... Literaturą, sztuką, widowiskami roznamiętniają młodzież, na ulicę wyprowadzają, do ulicznego patryotyzmu przyuczają... To nie dobrze, nie dobrze!...

To boli, bardzo boli, że nasze społeczeństwo tak mało nabrało rozumu i tak mało albo nic się nie nauczyło po tylu smutnych i krwawych doświadczeniach... samo siebie niszczy i gubi — dobrowolnie... Tak daleko zaszliśmy po tysiącu latach naszego chrześcijaństwa? Dokąd zajdziemy przy takiem zaślepieniu?!...«

Takie było ogólne »credo« Kardynała Puzyny w kwestyi patryotycznych obchodów. Nie potępiał w zasadzie wszystkich, — przeciwny był jednak ich mnożeniu i sztucznemu podsycaniu potrzeby takowych. Różnił się też co do sposobu obchodzenia uroczystości narodowych.

»...Nie nerwy drażnić, fantazyę rozpuszczać, czułostkowość podsycać, ludzi rozpróżniaczać, — ale przeciwnie wzmacniać prawdziwie, zagrzewać ducha do bojaźni Bożej, do zamiłowania pracy, do sumiennego wypełniania obowiązków stanu, do prawdziwej miłości Boga i bliźniego...«

Czy tylko ten był powód odmowy ze strony Kardynała Puzyny w sprawie Słowackiego? — Był również inny, bardziej szczegółowy.

»Osobiście nie mam nic przeciw osobie Słowackiego. Nie wydaję o nim sądu jako o pisarzu, bo nie znam wszystkich jego dzieł. Osądzam go jako człowieka. Umarł, jak przystało na katolika, — dlatego niema racyi odmawiania mu pogrzebu... Nie

widzę jednak tytułu sprowadzania jego zwłok teraz, w tych czasach i chowania ich w katedrze na Wawelu... Czasy obecne nie są po temu, by wymyślać obchody i bawić się w demonstracye uliczne... Praca, praca i jeszcze raz praca! Obchody nam nic nie przyniosą, a tylko naszą pychę i próżniactwo spotęgują... Dobre są, nawet potrzebne, lecz rzadko i inaczej odbywane... Patryotyzm na demonstracyach nie polega!

»Co do katedry ja jako biskup jestem jej stróżem, — ja za nią odpowiadam wobec kraju i społeczeństwa — nie tylko obecnego... Jeśli dziś pozwolę pochować Słowackiego, to jutro zechcą może, bym zezwolił na przeniesienie zwłok ludzi, spoczywających w grobach na Skałce, a w przyszłości możeby zechciał spoczywać w katedrze któryś z tych, co tworzą obecny komitet...

Jestem przekonany najmocniej, że wiele osób tak samo myśli o tej sprawie, że nie całe społeczeństwo stoi poza komitetem, który sam siebie ukonstytuował i to w sposób wprost śmieszny... Nie każdy jednak chce wystąpić ze swem przekonaniem, gdyż się boi — opinii...

Nigdy nie dam się teroryzować takim komitetom, — nigdy nie przyłożę ręki do tego, co przynosi szkodę społeczeństwu i krajowi!«

Eminencya miał zupełną słuszność, przypuszczając, że wielu takie samo miało zdanie, że jednak bali się z niem wystąpić.

Ileż to osób i gazet przyklasnęło Eminencyi i przyznało Mu zupełną słuszność, kiedy już było po wszystkiem? Między nimi były osobistości, które przedtem namiętnie przeciw Kardynałowi agitowały i oburzały się z powodu Jego »uporu i arogancyi wobec całego społeczeństwa!« Takiem to mianem nazwano zachowanie się Eminencyi w tej sprawie!...

Czy kto uwierzy temu, co powiem, że powyższy krok Kardynała Puzyny przejednał wielu dotychczasowych Jego nieprzyjaciół, — tak dalece im zaimponował?

Osobistość, — dziś już nie żyje — odgrywająca wielką rolę w życiu politycznem, — a dotąd nieprzyjaźnie usposobiona względem Eminencyi (wiele bruździła w Wiedniu), po wypadku, o którym mowa, głośno się słyszeć dała:

»Od sprawy Słowackiego powziąłem prawdziwą cześć dla Kardynała Puzyny. Mieć odwagę wypowiedzieć swoje przeciwne

przekonanie i stanąć murem przeciw wszelkiej agitacyi publicznej, na to potrzeba w dzisiejszych czasach człowieka niezwykłego ducha i charakteru! Tem bardziej należy to uznać, iż wiele osób i ja sam po cichu mieliśmy taki sam sąd o tej sprawie, jak Kardynał Puzyna, a jednak żaden z nas nie miał odwagi publicznie ze swem zdaniem wystąpić...«

Stanowcza odmowa Kardynała Puzyny miała prócz tego głębsze, donioślejsze znaczenie.

Było to bowiem w latach, kiedy osobę Słowackiego otaczał jakiś, niezdrowy, przesadny, wprost niesmaczny kult i — co charakterystyczne — właśnie z tej epoki jego życia, kiedy utracił równowagę duchową i fizyczną zarazem t. j. kiedy i duchowo i fizycznie był słabszy...

Ukazały się całe legiony naśladowców autora »Króla Ducha«, którzy rzekomo na wzór mistrza prześcigali się w wyszukiwaniu nowych wyrazów, sztucznych form, — w zaciemnianiu i ukrywaniu swoich spaczonych uczuć i myśli, — a właściwie nie — myśli... Otóż na wszystkich tych wielkich we własnem pojęciu ludzi zapewne bardzo zbawiennie wpłynęło niesprowadzenie zwłok Słowackiego.

By jednak na całą tę sprawę rzucić całkowite światło, poczuwam się do obowiązku przytoczenia jeszcze jednego niezmiernie ważnego szczegółu.

Nie wszyscy o tem wiedzą i nie wszyscy wiedzieli nawet z najbliższego otoczenia Eminencyi, że sprawę sprowadzenia zwłok Słowackiego omawiał Eminencya w rok przedtem, nim ją wyłożono na stół. Zapytywała Go mianowicie pewna bardzo poważna osobistość, jak się Kardynał Puzyna jako biskup i stróż katedry w tej sprawie zachowa. Już wtedy dał Eminencya odpowiedź odmowną.

Ciekawie jednak zachowała się owa osoba później. Poprostu zamilczała o tem, choć w późniejszej akcyi brała udział i jednem słowem mogła całą rzecz wstrzymać oświadczając kategorycznie: »Nie chodźcie, nie próbujcie, bom ja już próbował...«

Byli jednak ludzie, co mieli satysfakcyę patrzeć z za parkanu, jak tłum miota kamienie na swego Biskupa-Pasterza!...

Przejdźmy do Grunwaldu.

Kardynał odmówił pozwolenia na odprawienie Mszy św. na błoniach dla uczestników pochodu... Kierował się przytem prze-

konaniem, jakie miał w kwestyi wszelkich obchodów patryotycznych, demonstracyjnych, — co tem łatwiej Mu przychodziło, ponieważ i w społeczeństwie samem podzielone były zdania specyalnie co do obchodu Grunwaldzkiego. Skoro jednak przyszło do obchodu, nie był przeciwny nabożeństwu w kościele, — zabronił wszakże odprawiać takowe na błoniach. Racya główna: z jednej strony nie widział słusznego powodu, dlaczego na błoniach raczej, niż w kościele, — z drugiej strony nie chciał narażać tajemnic św. na profanacyę i może zbezczeszczenie, o jakie w takich warunkach nie trudno.

»...Pochwalam to, że chcą mieć nabożeństwo, — lecz nie widzę powodu, dlaczego chcą na błoniach. Kraków ma tyle kościołów, — ma kilka wśród nich bardzo obszernych... Jeśli chodzi o modły, o wysłuchanie w tym dniu Mszy św., to mojem zdaniem łatwiej i skuteczniej przyjdzie to uczynić wszystkim uczestnikom pochodu w kościele w Krakowie, niż na błoniach... Główne nabożeństwo może być w kościele Maryackim, a jeśli to za mało, to mogę polecić odprawiać Msze św. we wszystkich kościołach krakowskich od wczesnego ranka aż do południa samego, — to mogę uczynić, ale nie mogę pozwolić na odprawianie Mszy św. na błoniach... Błonia są dla krów i dla gapiących się... Ktoby wysłuchał tej Mszy św. na błoniach? Jakby się zachowały tysiące ludu, stojącego dalej od miejsca nabożeństwa?! Po kościołach w mieście naszem wiele obrazy Bożej, słyszę coraz częstsze skargi na profanowanie miejsc świętych, a cóżby mogło być na błoniach?!

Wszak na wiecu pewnego odłamu młodzieży zapadła uchwała, iż nie chcą mieć nabożeństwa... Czyż od takich szaleńców nie można się spodziewać rzeczy najgorszych tam na błoniach w czasie nabożeństwa?!

Wojsko miewa Msze polowe, — lecz jak się zachowuje choćby go były setki tysięcy? ...Wiem, że gdzieindziej pozwalają na takie nabożeństwa, — ja jednak słucham głosu własnego sumienia...

O cóż im chodzi? Wszak władza duchowna, biskup dyecezyi, jest najkompetentniejszy w orzekaniu rodzaju i miejsca nabożeństwa... Gdyby byli dobrymi katolikami, poszliby za głosem swego biskupa, ale im o co innego chodzi, nie o chwałę Bożą, — im potrzebna Msza św. i nabożeństwo na błoniach dla

dekoracyi, dla kompletu i dlatego żądają jej tam, gdzie im się podoba, gdzie dekoracya najlepiej da się rozwinąć...

Jedna rzecz leży mi jeszcze na sercu i bardzo mnie dotknęła... Otóż nie pytając się zgoła władzy duchownej, ogłosili, i ogłaszają oddawna, że się odbędzie na błoniach Msza polowa...

Co to znaczy?! Od czego jestem biskupem katolickim? Kto ma rządzić w kościele, czy biskup, czy komitety?! Ci ludzie — wydaje się — jakby umyślnie tak urządzali obchody, by swego biskupa i Pasterza w przykrem położeniu postawić i na niego całą winę i morze nienawiści zwalić...

Tak postąpili ze mną w sprawie Słowackiego, — tak postępują teraz...

Zniosę i to, obite mam już plecy, — lecz nigdy nie ustąpię ani na jotę z praw Kościoła, biskupa, — nigdy nie pójdę przeciw głosowi własnego sumienia i przekonania!«

ROZDZIAŁ VI.

Ogólny hołd po śmierci. — Przyczyna ostateczna: życie świątobliwe, czyste jak łza. — Pobożność, prostota, oszczędność, gościnność. — Stosunek do rodziny, służby. — Niecierpliwość.

Czytającego nekrologi ś. p. Kardynała Puzyny w dziennikach wszelkich odcieni i politycznego zabarwienia, uderzyć musiała zupełna zgodność w podnoszeniu następujących, wybitnych cech Jego życia i charakteru: zaparcie, świątobliwość i czystość życia prywatnego, kapłańskiego, — niezłomność zasad, nieugiętość woli, niepospolity hart ducha w działaniu na zewnątrz...

Kardynał Puzyna jest osobistością historyczną.

Historya nie będzie mogła przejść nad Nim do porządku dziennego, jakkolwiek gorąco pragną tego wrogowie Jego idei i działalności kapłańskiej i biskupiej. Prawdziwie niezniszczalnemi zgłoskami zapisało się Jego imię nie tylko w dziejach prastarej dyecezyi krakowskiej, ale wogóle w dziejach całego Kościoła katolickiego w Polsce. Taki potężny wpływ wywarł Kardynał Puzyna na swoją epokę, — tak zaważył swoją niepospolitą indywidualnością!

Przyznali Mu to sami wrogowie i to zaraz po śmierci. — Podejrzywali Jego intencye, pobudki działania za życia, silili się na wyszukiwanie rozmaitych insynuacyi, szkalowali Go bez litości, — wkońcu wszakże musieli przyznać, że był człowiekiem i biskupem ponad zwykłą miarę, — przyznali wszyscy bez wyjątku... przyznali w tak krótkim czasie!

Wobec powyższego faktu nasuwało się zapewne niejednemu pytanie, co jest właściwie powodem owego uroku, znaczenia, wpływu, jaki Kardynał Puzyna wywierał na wszystkich, nawet na swoich wrogów, — czemu zawdzięczał, że mimo bolesnych razów, jakich Mu za życia bynajmniej nie szczędzono, spotkał się zaraz po śmierci z powszechnem uznaniem i hołdem?

Niewątpliwie zawdzięczał to naturalnym przymiotom ducha, które tak pięknie rozwinęła w Nim matka. Zdolnym nie był, wiedzy głębokiej, uczoności nie posiadał, — sam to nie raz głośno powtarzał, — miał jednak bystrość umysłu, doskonale rozwinięty zmysł praktyczny, co to trafia odrazu w sedno rzeczy. O wiele wyższe miał przymioty woli i charakteru. Pod tym względem, t. j. pod względem hartu ducha, energii woli, męstwa i wytrwałości był wprost niebywałem zjawiskiem. W dzisiejszych czasach, kiedy w życiu jednostek i narodów, prywatnem i publicznem nerwy, uczucie, sentymentalizm, fantazya największą odgrywają rolę — rozumie się ze szkodą rozumu i woli — tembardziej odbijał i wszystkich uderzał taki hart, niezłomność woli, stałość i wierność zasadom i sumieniu w teoryi i w praktyce, jaką wszyscy podziwiali u Kardynała Puzyny.

Lecz jeszcze nie ta jest przyczyna ostateczna, dlaczego tak imponował, — nawet wrogom. Jest nią życie bez skazy, czyste jak kryształ, jak łza, — życie iście kapłańskie, — życie z wiary. Tak — tem imponował, tem stał się potężny, tem wytrącał wszelką broń z ręki nieprzyjaciół, świętością, nieskazitelnością swego życia!

Jakąż rozkosz odczuwaliby Jego wrogowie, gdyby byli mogli cokolwiek Mu zarzucić z życia prywatnego, kapłańskiego! Czyhali na to, podpatrywali, rozdmuchiwali drobiazgi, fałszując je i zupełnie opacznie przedstawiając, — lecz naprawdę niczego zgoła zaczepić nie mogli.

Tak niewątpliwie!

Świętość życia, zwłaszcza u kapłanów — którzy są do tego ściśle obowiązani — zgodność praktyki z głoszoną drugim teoryą czyli nauką Chrystusa Pana — przestrzeganie w całem życiu, w każdym najdrobniejszym szczególe swoich kapłańskich zobowiązań, szukanie tylko chwały Bożej, prawdziwe, szczere, bezinteresowne, — to jest, co największym nawet wrogom im-

ponować musi, co im wszelką broń z ręki wytrąca i czyni ich wprost bezsilnymi. »Któż z was dowiedzie na mnie grzechu...« pytał ongi Pan Jezus swoich wrogów. Grzechu nie dowiedli — owszem publicznie świadczyli: »Nauczycielu, my wiemy, że prawdy szukasz i nie masz względu na osoby...«

»Któż z was dowiedzie mi, że się zaniedbuję w obowiązkach kapłańskich, że nie chwały Bożej szukam, że nie dbam o dobro waszych dusz, że się oszczędzam?...« — gdybyśmy i my mogli postawić śmiało takie pytanie wiernym, pieczy naszej powierzonym, gdyby oni mogli ze swej strony odpowiedzieć, jak niegdyś rzesze Panu Jezusowi!...

Kardynałowi Puzynie można było taką dać odpowiedź bez wahania, bez zająknienia. Ta to świętość życia czyli skuteczne odpowiadanie łasce Bożej, połączona z wielką łaską stanu i niezwykłymi przymiotami naturalnymi ducha złożyła się na wykucie tak wspaniałego posągu, na utworzenie tej potężnej indywidualności, którą wszyscy podziwiali i swoi i obcy.

Nie dosyć na tem.

Kardynał Puzyna w świętości życia jednostek i rodzin upatrywał rękojmię lepszej przyszłości dla społeczeństwa, w niej widział jedyne lekarstwo na wszystkie dzisiejsze choroby społeczne, w podnoszeniu życia chrześcijańskiego, świątobliwego zamknął swój program pracy kapłańskiej i pasterskiej, wszystko inne uważając za drugorzędne, za »łataninę«, o czem mieliśmy sposobność przekonać się wyżej. Tem jedynie żył, tego pragnął, tem oddychał, temu się cały bezgranicznie poświęcał: samemu żyć święcie, drugich do takiegoż życia zachęcić i prowadzić. Oto program życia i pracy Kardynała Puzyny!

Któż go nie uzna za najpraktyczniejszy, najradykalniejszy, najlepszy na wszystkie potrzeby ludzkości po wsze czasy a więc i na dzisiejsze?!

Dotąd staraliśmy się utworzyć sobie przynajmniej w przybliżeniu pojęcie o życiu publicznem Kardynała Puzyny, o Jego działalności na zewnątrz. — Teraz spróbujmy uchylić nieco zasłonę i rzucić okiem na życie Jego prywatne — to właśnie, które Go uczyniło tak wielkim w życiu publicznem, które jest ostatecznym kluczem do rozwiązania kwestyi olbrzymiego Jego znaczenia i wpływu w całem społeczeństwie.

Jako katolik, kapłan i biskup odznaczał się wielką pobożnością, której rysem charakterystycznym była prawdziwa męskość. Nie było w niej miękkości, tkliwości, przeczulenia, jak to zwykle bywa u osób t. zw. pobożnych, u których serce i uczucie największą odgrywają rolę. Pobożność Eminencyi miała swą siedzibę raczej w rozumie i woli. Rozumem obejmował wszystkie prawdy, zasady wiary, — wolą wprowadzał je w czyn, w praktykę, według nich życie swe urządzał i to w najdrobniejszych szczegółach. Umysł Eminencyi nie był spekulatywny, do kontemplacyi skłonny; nie lubił, nie umiał się zastanawiać długo nad jakąś prawdą oderwaną. Raczej był to umysł nawskróś praktyczny, nadzwyczaj bystry, odrazu wnikał w istotę rzeczy, a zawsze ze strony praktycznej, — zawsze w odniesieniu do Pana Boga i do prawd wiecznych. Z tego stanowiska osądzał wszystko. Umysł ruchliwy, przerzucający się łatwo i prędko od jednej prawdy do drugiej, z jednego przedmiotu na inny.

Natomiast potrafił zajmować się dłużej jakąś sprawą konkretną, rozpatrywać ją ze wszystkich stron. Eminencya brał każdą rzecz na rozum — nie według fantazyi. Był przeciwnikiem nieubłaganym fantazyowania, pływania, marzycielstwa, sztucznych nastrojów, — przypisywał to wszystko lenistwu i próżniactwu.

Nie lubił odmawiać modlitw ustnych, długich — poza brewiarzem; natomiast był zwolennikiem rozmyślania, które też odbywał dwakroć dziennie, a mianowicie: rano, przed Mszą św. i po południu w czasie godzinnej adoracyi. Rozmyślania Jego były nadzwyczaj proste, jędrne, praktyczne. Nie każdy podręcznik przypadał Mu do gustu; nie sympatyzował zwłaszcza z tymi autorami, którzy silą się na piękną formę, szumne frazesy, którzy działają bardziej na serce i uczucie, niż na rozum i wolę. W modlitwie ustnej posługiwał się poza brewiarzem staremi książeczkami, drogą spuścizną po matce. Częściej zaglądał do nich w ostatnim roku życia, kiedy paraliżem tknięty przesiadywał całymi dniami w pokojowym wózeczku.

Wspomniałem, że długich modlitw ustnych nie lubił Eminencya, rozmodlony jednak był zawsze... modlił się bez przestanku sercem... Jego serce było zawsze zjednoczone z Bogiem. Wszystko odnosił do Pana Boga, wszystko osądzał, projektował,

rozpoczynał, działał oparty na prawdach wiary odwiecznych, niezmiennych, starych a zawsze świeżych. On cały, cały stał na gruncie wiary... On cały i wszędzie był sługą Bożym, wierny Panu Jezusowi, jak najwierniejszy, dlatego dla wielu — zwłaszcza osób świeckich — niezrozumiały. Chcianoby Go widzieć choć na chwilę prostym człowiekiem tylko, kierującym się jakąś słabostką, ulegającym względom ludzkim, wyrozumialszym dla poglądów światowych — nie było nic z tego. Eminencya i »na powszedni dzień« nie schodził z wysokiej góry, gdzie ustawicznie przebywał w zjednoczeniu z Bogiem, w obecności Bożej i pełnieniu najdrobniejszej czynności w duchu wiary.

Ćwiczenia duchowne, które odbywał codziennie najsumienniej, najskrupulatniej, nie weszły u Eminencyi w zwyczaj, nie były czczą formalnością, lecz prawdziwie źródłami ożywczemi, z których czerpał światło, łaski przeróżne, potrzebne do wypełnienia obowiązków stanu, do coraz większego udoskonalania własnej duszy. Rozmyślaniem rannem i kom. św. żył przez cały dzień. Często, często rozpoczynał rozmowę ze mną od słów: »Piękny miałem dziś temat na rozmyślanie...« W ostatnich latach życia rozmyślał z największą przyjemnością o Męce Pana Jezusa, o śmierci, o znikomości rzeczy doczesnych, o zjednoczeniu z Bogiem... Bywało nieraz, że jeden i ten sam temat powtarzał przez kilka dni z rzędu, — tak wielką odnosił zeń korzyść.

Życie Eminencyi całodzienne obracało się około Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, około kom. św. »Zmartwiłem się dziś we śnie... Śniło mi się, żem zażył lekarstwo po godz. 12 w nocy i że wskutek tego nie będę mógł odprawić Mszy św.. Po przebudzeniu się tem większą odczułem radość widząc, że był to tylko sen...«

Dotknięty paraliżem, przez cały ostatni rok życia przykuty był do łóżka lub do wózeczka. Oczywiście nie mógł odprawiać Mszy św. Słuchał jej jednak codziennie i przyjmował kom. św. z rąk ks. sekretarza, który odprawiał Mszę św. w sąsiednim salonie. Eminencya skarżył się pocichu od czasu do czasu: »Tyle... już tyle... tygodni... miesięcy, kiedy po raz ostatni odprawiałem Mszę św. Czy mi Pan Jezus pozwoli jeszcze kiedy stanąć przy ołtarzu...« Pozwolił Pan Jezus stanąć przy ołtarzu, ale przy innym!...

Brewiarza i koronki nie wypuszczał z rąk prawie do ostatniej chwili. Paraliż spowodował wielki upadek sił nie tylko fizycznych, lecz i władz umysłowych. Pamięć nie dopisywała, umysł nie mógł tworzyć wszystkich pojęć i sprzęgać je w zdania; głowa ciężyła, jak gdyby kto wielki ciężar na niej położył. Nawet w takich okresach odmawiał brewiarz. Męczył się przytem, przerywał, to znowu zaczynał. Zdarzyło się raz, że cały jeden dzień biedził się z odmówieniem brewiarza, co zwróciło uwagę służby. Dopiero nakaz spowiednika, któremu znać o tem dano, wyjął Mu późno wieczorem brewiarz z ręki... Odtąd trzeba było uważać na Eminencyę.

»Eminencya jest zwolniony od odmawiania brewiarza w takiej chorobie...«

— Pozwólcie mi coś robić — przynajmniej brewiarz odmawiać, skoro z wami pracować nie mogę, jakbym chciał, — mnie ciężko żyć bez pracy...

— Eminencyi cierpienia sprowadzają większe błogosławieństwo Boże na naszą pracę, użyźniają takową.

Tego rodzaju uwaga uspokajała Go zawsze.

Najżywsze nabożeństwo miał Ks. Kardynał do Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, do Najśw. Maryi P. i do św. Józefa. Św. Józefa »kłopotał« (wyrażenie Eminencyi) zwłaszcza w ostatnich latach częstemi nowennami, prosząc gorąco »o szczęśliwą — później dodawał — i rychłą śmierć, bym nie był zawadą...« Do każdej uroczystości przysposabiał się odpowiednią krótką nowenną.

Adoracyę godzinną odbywał w kaplicy pałacowej regularnie codzień, najczęściej zaraz po powrocie z przechadzki, t. j. koło godziny czwartej po południu. Czasem przychodził na adoracyę do kaplicy seminaryckiej. W ostatnim roku, ilekroć czuł się nieco silniejszym, kazał się zawozić na wózeczku do swojej kaplicy, gdzie nie opuszczając wózeczka składał kornie hołd swemu Panu. Był to widok bardzo wzruszający, rozrzewniający do łez... Pan Jezus najpokorniejszy pod postaciami chleba w tabernakulum, przed Nim na wózeczku nieruchomy Jego pokorny sługa-kaleka, co stargał siły w służbie Bożej!...

W południe i wieczorem odmawiał z wielką pobożnością i skupieniem »Anioł Pański« na odgłos dzwonu w kościele XX. Franciszkanów. Gdziekolwiek był, czemkolwiek zajęty, czy

rozmową, czy pisaniem przy biurku, — przerywał wszystko, a zwracając się w stronę wspomnianego kościoła, pozdrawiał Najśw. Maryę Pannę.

Ogromnie czuwał nad czystością sumienia. Nie wystarczała Eminencyi spowiedź tygodniowa — odprawiał ją dwa razy w tygodniu, t. j. we środy i soboty o godzinie dziewiątej zrana. Zdawaćby się mogło, że spowiedź św. przeszła u Niego w prosty zwyczaj wskutek tak częstego przystępowania do niej. Lecz nie! Gotował się do niej zawsze bardzo starannie i sumiennie. Ilekroć się zjawiłem o godzinie dziewiątej w dni oznaczone, zastawałem Eminencyę klęczącego i przygotowanego do spowiedzi św. Myślał o niej już dnia poprzedniego. W ostatnich dwóch latach odbywał spowiedź św. w łóżku lub wózeczku. Widząc parę razy, jak był osłabiony, sądziłem, że spowiadać się nie zechce. Siadałem przy Nim i rozpoczynałem rozmowę zwykłą. Eminencya rozmawiał; po jakimś czasie jednak zapytał:

— Czy ojciec wie, że dziś środa... sobota?

— Czy Eminencya przygotowany do spowiedzi św.?

— Od wczoraj myślałem o dzisiejszej spowiedzi św.

Czasem nawet częściej przystępował do Sakramentu Pokuty. W ostatnim dziesiątku lat bardzo uważał na wrodzoną sobie niecierpliwość. Zdarzyło się kilka razy, że rano odbył spowiedź św., a w południe lub po południu uległ niecierpliwości. Za chwilę już był w seminaryum, wchodzi do mego pokoju, klęka na klęczniku: »proszę mnie wyspowiadać, bom się znowu zniecierpliwił...«

Spowiedź św. była dla Eminencyi zawsze Sakramentem, t. j. źródłem światła, łask, pokrzepienia i zachęty. Często mawiał: »Ach, jak to dobrze, że człowiek może się wyspowiadać i znowu zacząć żyć na nowo! Biedni ludzie, co stronią od Trybunału Pokuty! Jakże wdzięczny jestem ojcu, że mi taką wielką oddaje przysługę — Pan Jezus zapłaci mu to — ja się za niego modlić będę zawsze, zwłaszcza jeśli się tam (w górę) dostanę...« Nieraz rozmawialiśmy o cierpieniach, o różnych przejściach wewnętrznych, o upadku ducha i t. p. »Na wszystko widzę jedno lekarstwo: wyspowiadać się, przeżegnać i zabrać się do pracy, do obowiązków, — trudno, inaczej być nie może, bojowaniem jest żywot na ziemi, — tam sobie odpoczniemy za wszystkie czasy...«

Zdarzyło się kilka razy, iż odbywał spowiedź św. z wielkiem wzruszeniem i płaczem... Mimo, iż Eminencya był dygnitarzem, nie należał bynajmniej do penitentów, którzy chcą kierować swoim spowiednikiem. Przyjmował wszystko — za naukę, za zwrócenie uwagi bardzo, bardzo był wdzięczny — prosił, dopominał się o to... »Proszę mi powiedzieć, w czem się mam poprawić... Tu i tu tak sobie postąpiłem, czy dobrze? Coby ojciec zrobił, będąc na mojem miejscu?« W razie potrzeby naprawiał, przepraszał, modyfikował. Powyższe rozmowy prowadził ze mną poza spowiedzią św., dlatego o nich wspominam.

Każdy widzi, jak dalece ułatwiał w ten sposób pracę spowiednikowi nad swą duszą, jak go coraz dalej wprowadzał w głębie swej duszy. To świadczy zarazem o głębokiej wierze i rzetelnej pokorze Kardynała Puzyny.

Z tej ustawicznej kontroli nad swojemi myślami, poruszeniami serca i aktami woli wyrodziła się u Eminencyi wielka znajomość siebie, swojej natury, swoich wad w szczególności, a znajomość natury ludzkiej wogóle. Przyczyniła się do tego wrodzona bystrość umysłu, niezwykła zdolność oryentacyi i odszukiwania przyczynowego związku w każdym akcie.

Rekolekcye odbywał Eminencya razem z duchowieństwem swej dyecezyi we wrześniu, po powrocie z Bielan do Krakowa. Ponieważ rekolekcye dla pewnej seryi księży odbywają się zwykle w seminaryum duchownem, tam przeto zamieszkiwał Eminencya przez cały ich ciąg, biorąc żywy udział we wszystkich ćwiczeniach duchownych. Mógłby był dochodzić z pałacu, boć odległość mała, — nie — On chciał je odbywać gruntownie, szczerze, szukając prawdziwego pożytku dla duszy.

Nabożeństwa nie szły Eminencyi składnie. W kościele lubił pompę i przepych, miał wspaniałą postawę, której szaty liturgiczne dodawały wiele uroku, brak jednak zupełny głosu i wymowy sprawiał, że w nabożeństwach odprawianych przez Eminencyę zawsze czegoś brakowało i to czegoś bardzo ważnego.

Prostota przebijała się u Eminencyi w trybie codziennego życia, w urządzeniu mieszkania — zwłaszcza sypialni — przy stole, w potrawach, w wypowiadaniu swoich myśli, w przyjmowaniu gości. Przepych i wystawność lubił tylko w kościele, przy nabożeństwach lub jeśli występował gdzieś »urzędownie«.

Wtedy lubił się ubrać, co wynikało z Jego wielkiego poczucia godności biskupiej i kardynalskiej. Umiał i chciał je reprezentować należycie. W tem nikt nie mógł Eminencyi dorównać, bo rzadko kto ma taką wspaniałą postawę, jaką On miał, nie każdy też potrafi nadać sobie taką pozę, jaką On przybierał, ilekroć występował publicznie. Prostota i skromność były naturalnymi przymiotami Eminencyi. Umocniła je i uszlachetniła wiara, pokora i wielka znajomość siebie.

Wracając do życia prywatnego, chcę wspomnieć o zamiłowaniu porządku. Sam Eminencya kochał porządek i innych do tego nakłaniał. Przedewszystkiem przestrzegał porządku w swym własnym, najbliższym domu, t. j. w sumieniu, w życiu wewnętrznem. Tam zawsze musiało być jasno, przejrzyście — o ile to możliwe... Eminencyę znamy wszyscy pod tym względem, iż wszędzie lubił: »tak, tak — nie, nie«; połowiczności, wahania, wątpliwości w myślach i działaniu nie znosił. Jeśli w sumieniu nie było coś jasnem, szukał wyjaśnienia albo w spowiedzi, albo poza spowiedzią św.

Porządek lubił w mieszkaniu, na biurku, wszędzie; wszystko musiało być na swojem miejscu. Miał bardzo wyrobiony zmysł estetyczny i artystyczny, ściśle zespolony z Jego żywą wiarą i niezwykłą prostotą. Znali Go dobrze i podziwiali wielką znajomość sztuki różni antykwaryusze w Rzymie, u których nabywał cenne obrazy, zdobiące dziś pokoje biskupiego pałacu. Salony umeblował i ozdobił tak artystycznie i harmonijnie, iż naprawdę nic tam dodać, ani ujmować nie można.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje porządek, jakiego przestrzegał w ułożeniu, przechowywaniu papierów, stypendyi mszalnych, różnych funduszów, listów, dokumentów. Ilekroć czuł się gorzej, lub ataki częściej się ponawiały, myślał wtedy i mówił częściej o śmierci, — brał za rękę, prowadził do biurka... »Na wypadek mej śmierci wszystko przygotowane... to oddać Ks. Biskupowi, to natychmiast spalić, to oddać do kancelaryi na dół...« Wszystko ułożone, obwinięte, napisami zaopatrzone.

Cieszył się niezmiernie i z uznaniem dla Braci Albertynów podnosił czystość i porządek w seminaryum duchownem. »Dwie rzeczy na pierwszy rzut oka świadczą o dobrym duchu, panującym w jakimś zakładzie: porządek i zachowanie milczenia. Dzięki Bogu widzę u was w seminaryum i jedno i drugie«.

Zauważyłem nadto w życiu prywatnem Eminencyi wielką prostotę i szczerość tak w stosunku do służby, domowników, jak również i do najbliższego otoczenia. Prostotę wyniósł, jak widzieliśmy, z domu; zawdzięcza ją matce. Obcy, znający kardynała Puzynę zdaleka, najczęściej z przesadnych opowiadań, aniby się domyślali, jak pod surową, nieraz i szorstką formą obejścia się może się ukrywać taka prostota i dobroduszność. Najmilej rozmawiał Eminencya z dziećmi, prostaczkami, studentami, klerykami. Czuł się wtedy w swoim żywiole, — żarty sypały się, jak z rękawa... Zauważyłem przytem jeden charakterystyczny szczegół, a mianowicie, iż mimo wielkiej wtedy swobody, wesołości i serdeczności chronił młodzież przed zbytnią poufałością, która w podobnych okolicznościach bardzo łatwo i prędko się wyradza. Wśród największego rozbawienia i wesołości, gdyby był zauważył cośkolwiek mniej odpowiedniego, natychmiast zwracał uwagę żartem, jeśli to była rzecz drobna, poważnie, jeśli coś większego.

Prostoty przestrzegał Eminencya w urządzeniu domu, — prostota w prowadzeniu domu przechodziła w oszczędność. Nie było skąpstwa, broń Boże, — ale też nie było przepychu, ani zbytku; żył — jak to mówią — z ołówkiem w ręku. Żądał rachunku, wszystko notował, wpisywał...

»Trzeba umieć dobrze gospodarować najpierw we własnym domu« — mawiał często. — »Nie jestem na tyle naiwny, bym sądził, że to mój grosz, to wszystko jest własnością Kościoła, a teraz pozostaje tylko pod moim zarządem... i za to odpowiadać będę przed Panem Bogiem. Nie chcę też zostawić ciężarów swojemu następcy. Co mogę, oszczędzam grosza i zabezpieczam przyszłość małemu seminaryum, bursie i instytucyom przezemnie założonym tak, żeby nie tylko przez rok po mojej śmierci dalej istniały, lecz, by mój następca zastał jako tako zabezpieczony dalszy ich byt«.

Nie było wskutek tego żadnego zamieszania po śmierci Eminencyi, nic się nie zachwiało w swem istnieniu, co On do życia powołał, nic nie upadło. Do tego stopnia był delikatny, i ostrożny, by żadnych ciężarów po sobie nie zostawiać, iż mimo niejednokrotnego zrywania się i największej ochoty nie rozpoczynał pracy około podniesienia o jedno piętro domu, w którym się mieści bursa dla studentów im. św. Jana Kantego, mówiąc:

»Boję się, by się do mnie nie stosowały słowa Pisma św.: *coepit aedificare et non potuit consummare...«*

Czy Kardynał Puzyna był gościnny? Przypuszczam, że wielu, opierając się na tem, co o Nim głosiły gazety lub bezkrytyczna i złośliwa opinia, — wyobrażało sobie Eminencyę jako człowieka nieprzystępnego, ponurego, który, o ile się pokazywał na zewnątrz, wywracał, lżył, rozbijal, — o ile siedział w pałacu był jakimś zaklętym księciem, do którego nikt nie miał wolnego przystępu...

To też zadziwi może niejednego fakt, że Eminencya był bardzo gościnny.

»Biskup winien mieć dom otwarty« — oto Jego zasada — »winien utrzymywać stosunki towarzyskie; jednak powinien i w tem przyświecać przykładem i budować...

»Szczególniejsze jest położenie biskupa krakowskiego pod tym względem... Tu serce Polski, — każdy przez Kraków przejechać musi, czy zdąża do Rzymu, czy za granicę na kuracyę«.

Wychodząc z tej zasady, cieszył się bardzo, ilekroć który z XX. Biskupów prosił o gościnę. »Tak być powinno«, mawiał

Pamiętam, przychodzę raz do Eminencyi przed godziną dziewiątą zrana, zastałem Go zdejmującego z siebie palto.

»Byłem w hotelu. Wyczytałem w porannym dzienniku, że ks. biskup N. N. (z Król. Pol.) przybył do Krakowa i zamieszkał w hotelu, — poszedłem, by mu ofiarować gościnę u siebie...« Gościowi swemu oddawał wszystko do dyspozycyi: służbę, konie.

Ze Lwowa przeniósł Eminencya do Krakowa piękny i chwalebny zwyczaj urządzania wieczornych herbat.

»To potrzebne. Biskup powinien mieć styczność z różnemi osobistościami, powinna być od czasu do czasu wymiana myśli... powinien skupiać koło siebie ludzi nauki lub zajmujących różne stanowiska w społeczeństwie. Praktykowałem to już we Lwowie na mniejszą skalę i widziałem wiele dobrych owoców. Tą drogą załatwiłem wiele ważnych spraw...«

Herbaty ustały w latach ostatnich z powodu choroby Eminencyi. »Żal mi, że nie mogę teraz urządzać takich zebrań; czuję dlatego pewien brak kontaktu z ludźmi«.

Gościnność Eminencyi miała swoją specyalną cechę, co łatwo wytłómaczyć charakterem i przymiotami gospodarza. Była jakąś męską, poważną, prawdziwie biskupią. Ilekroć kogo Emi-

nencya zapraszał, przyjmował, gościł, — kierował się zawsze pewną myślą wyższą oczywiście, zawsze miał na względzie stanowisko biskupa; miał też często na oku interes — nie swój — lecz tyczący się dyecezyi, szkół i t. p. Ostateczna wszakże racya jak gdzieindziej, tak i tu płynęła z wiary.

»Chcę być gościnnym, bo takim każe być biskupowi św. Paweł...«

Jakim się okazywał Eminencya względem osób obcych w czasie, t. zw. audyencyi? Były dwa rodzaje posłuchania. Pierwsze zwykle odbywały się codziennie w godzinach południowych między jedenastą a pierwszą. Drugie w niektórych tylko dniach między godziną czwartą a siódmą wieczorem. Przyjęcia te popołudniowe przeznaczone były dla osób dobrze Eminencyi znanych. Były to raczej pogadanki towarzyskie, które się kończyły przed godziną siódmą, t. j. godziną wieczornego posiłku.

Ścisłe stosunki towarzyskie łączyły Eminencyę w Krakowie ze ś. p. Julianem Dunajewskim i z rodziną Popielów. Bardzo wysoko cenił Eminencya ś. p. Andrzeja Potockiego i Stanisława Tarnowskiego. Znaną jest rzeczą, jaką czcią otaczał Zofię z Fredrów Szeptycką, ś. p. matkę Ks. Metropolity Szeptyckiego, dla jej niezwykłych zalet umysłu i serca.

Najściślejsze stosunki sąsiedzkie i przyjacielskie utrzymywał Eminencya z Ks. Biskupem tarnowskim Wałęgą. W Krakowie darzył swojem zupełnem zaufaniem i przyjaźnią Ks. Biskupa Nowaka i ks. prał. Mazanka, którego niegdyś, jeszcze w Przemyślu będąc, wysłał na studya do Rzymu, a przed kilku laty mianował kanonikiem Kapituły krakowskiej.

Kiedy mowa o życiu prywatnem Kardynała Puzyny, niepodobna pominąć Jego stosunku do służby i do rodziny. Powszechną jest dziś skarga na służbę, — jeszcze powszechniejszą na służbę osób duchownych... Eminencya miał dar przywiązywania do siebie służby, wdrażania jej do sumienności, porządku i karności. Rzadkie, niezwykłe dziś zjawisko, by służba tak prawdziwie i szczerze kochała swego chlebodawcę, jak służący kochali Eminencyę. Mieli dla Niego serce i za życia i po śmierci, co z przyjemnością i z pewnego poczucia obowiązku na tem miejscu podnoszę.

Umiał ich Eminencya wychować, bo On wszędzie od małych zaczynał, sam sobie ludzi wychowywał. Zgromił czasem, niczego nie przepuścił, po piętach stąpał, do porządku zaprawiał; służba słyszała czasem gromkie słowa, cierpką uwagę, lecz odczuwała ojcowskie, dobrze życzące serce, dlatego się nie kwasiła, nie buntowała. Wszyscy ze służby wyznać dziś mogą publicznie, jak wyznawali nieraz prywatnie, iż kochali Eminencyę jak ojca.

— Patrz ojciec — oto moja siostra miłosierdzia — odzywał się nieraz Eminencya o służącym Jakóbie Kowalczyku.

W istocie otaczała służba Eminencyę do ostatniej chwili największą, najczulszą opieką. Kowalczyk po śmierci Eminencyi długo do siebie przyjść nie mógł. Zanim opuścił Kraków t.j. do końca stycznia 1912 r. nawiedzał często grób Eminencyi w katedrze i łzami go zlewał. Szczegół to drobny na pozór, — mówi jednak bardzo wiele, i rzuca światło na duszę i serce Kardynała Puzyny.

Jaki był stosunek Eminencyi do rodziny? Poznaliśmy Ks. Kardynała już dobrze z tej strony, iż stał całkowicie na gruncie wiary. Z punktu wiary patrzył na wszystko. Na wierze też oparty był w zupełności Jego stosunek do rodziny. I w tem chciał dawać dobry przykład kapłanom.

Wielkiem nieszczęściem, — mawiał — ciężarem i przeszkodą dla niejednego kapłana jest niewłaściwy jego stosunek do rodziny...

Kocham swoją rodzinę, — jej dobro i wieczne i doczesne leży mi na sercu — modlę się codzień za nich, ale widzisz ojciec, jak daleko trzymam się od rodziny... Cieszę się, kiedy ktoś z rodziny mnie odwiedzi, nie cieszyłbym się, gdyby kto chciał dłużej tu przebywać. Gwoździec moje miejsce rodzinne tak mi jest drogi, tyle tam miłych pamiątek... Posyłam do kościoła parafialnego szaty kościelne prawie co roku, — sam jednak od kilku lat tam nie jeżdżę, choć mnie bardzo proszą; nawet w paru uroczystościach familijnych nie brałem udziału z powodu stanu zdrowia — nie widziałem w tem Woli Bożej. Pisuję do nich, oni do mnie, czasem mnie kto odwiedzi z rodziny, na tem się wszystko ogranicza.

Rodziną dla mnie wy jesteście... Najprzyjemniej mi jest, kiedy was widzę przy sobie, kiedy porozmawiam z wami swobodnie o tem, co nam wspólne, co nas najżywiej obchodzi... tego czasu nie uważam za stracony.

»Kapłan winien mieć wolną rękę w swej pracy. Rozumiem, że kapłanowi nie tylko wolno, ale nawet powinien wesprzeć ojca i matkę, nawet dać im utrzymanie skromne, jeśli zachodzi istotna potrzeba, — lecz nie powinien swej rodziny bogacić, naprzód pchać t.j. ponad stan wynosić, krewnymi się na plebanii otaczać; to balast, to kula u nogi... Ilu księżom rodzina na plebanii życie zatruła, z parafianami ich poróżniła!

Rodzina, krewni umieją księdza każdego wyzyskać. Grosz księży jest groszem kościelnym i ubogich, — groszem księży nigdy się ich rodzina nie wzbogaciła, owszem przeciwnie użyła go często na złe.

Potrzeby kapłana są tego rodzaju, iż może z dochodów przeznaczyć coś na różne cele dobroczynne; niechże to robi, zwłaszcza niech nie skąpi grosza na instytucye wychowawcze dla młodzieży. Jakąby to Bóg miał chwałę, a społeczeństwo pożytek, gdyby każdy kapłan uważał to sobie za obowiązek podać pomocną rękę temu lub owemu chłopcu lepszemu, zdolniejszemu a biednemu, pchnąć go do szkół i wyprowadzić na człowieka!... Zbożny to uczynek, bardzo zbożny i wielce patryotyczny zarazem... Cieszy mnie, że księża tej dyecezyi nie są obojętni na założone przezemnie instytucye wychowawcze i dość je wspierają«.

Jeden z wychowanków małego seminaryum przysłał po paru latach kapłaństwa siedmset koron na małe seminaryum »z wdzięczności za to, co tam otrzymałem«... Eminencya był wzruszony do łez... »Nie pieniądze mnie wzruszają, lecz fakt, że moja myśl się przyjmuje«...

Pozwolę sobie przy końcu niniejszego, może nieco przydługiego rozdziału o życiu prywatnem Kardynała Puzyny, o Jego przymiotach w pożyciu domowem zwrócić uwagę na jeden przymiot, tą razą ujemny a mianowicie na Jego szorstkość.

Słyszało się bowiem bardzo często zarzut, że Eminencya jest szorstki, nieprzystępny. To prawda, to fakt, któremu nikt zaprzeczyć nie może. Czy Go jednak za to całkowicie potępić ktoś się odważy, wątpię. Bądźmy szczerzy, sądźmy rzeczy bezstronnie. Chciejmy pamiętać, że są różne temperamenty wśród ludzi, że porywczość, gwałtowność, niecierpliwość są nieodłącznymi przymiotami a właściwie objawami temperamentu cholerycznego, jaki właściwie posiadał Eminencya.

Tak, — Kardynał Puzyna był cholerykiem w najwyższym stopniu. Wrodzone to, odziedziczone zapewno usposobienie potęgowały inne okoliczności — zwłaszcza fizyologia i choroby niszczące organizm, jak hemeroidy, ataki sercowe, powodujące często nieprzytomność. Podkreślam zwłaszcza ten ostatni moment. Sam byłem świadkiem wielu objawów niecierpliwości, irytacyi u Eminencyi, z których później sam nie zdawał sobie dobrze racyi, czy je miał i o co. Objawy niecierpliwości wywoływały i okoliczności zewnętrzne, — owo wielkie przeciwieństwo, kontrast, jaki zachodził między Jego poglądami i sposobem działania, a między poglądami i sposobem działania wielu osób, z któremi miał do czynienia. Jakkolwiek zatem nikt owego ujemnego przymiotu u Eminencyi zaprzeczyć nie może, to jednak każdy człowiek dobrej woli znajdzie wiele, wiele przyczyn usprawiedliwiających Go i sprowadzających ową wadę organiczną, gdyż taką była w gruncie rzeczy, do minimum.

Uderzającym jest fakt, że był takim względem każdego bez wyjątku; czy to była osoba z niższego stanu, czy z wyższego, czy z miasta, czy ze wsi, — każdemu »wypłacał« na poczekaniu.

Kardynał Puzyna miał swoje granitowe zasady, w swej pracy wyciągał się zawsze naprzód, — zawsze jasny przyświecał Mu cel, — odczuwał w sobie posłannictwo, zdolność do tego lub owego, — miał nadto głębokie poczucie własnej godności...

Otóż jeśli się spotkał z kimś, co się odważył Jego zasadom sprzeciwić, Jego godność choćby w najdelikatniejszy sposób naruszyć, jakimiś drobiazgami Go w pochodzie naprzód zajmować, — wtedy owego kogoś, ktoby on nie był, na bok odsuwał, gwałtownie nieraz — co prawda — ale ową gwałtownością, która raczej płynęła z Jego żołnierskiej krwi, schorzałego organizmu i potarganych nerwów, niż ze złej woli lub nienawiści albo pogardy dla czyjejś osoby.

Kardynał Puzyna był zapatrzony w przyszłość, pracował dla przyszłości, a pracował bardzo intenzywnie, namiętnie... On biegł w przyszłość jako kapłan, jako biskup, — nie cierpiał dlatego, by Go wstrzymywano po drodze i szczególikami ludzkiego, codziennego życia zajmowano. Wiemy zaś dobrze, jak ludzie potrafią odwrócić naszą uwagę od rzeczy wyższych, ważniejszych, a wciągnąć w coś, co tylko rozprasza umysł i obniża

ducha. Tego się zawsze lękał Eminencya: dlatego był ostrożny w stosunku do zakonów, zakonnic, do osób świeckich, przybywających do niego z różnemi sprawami. Nie chciał się rozdrabniać, szczególikami niepotrzebnymi obciążać, by się nie uczynić niezdolnym do przeprowadzenia tego, do czego w pierwszym rzędzie czuł się powołanym.

Któż nie widzi, jaka to zdrowa, praktyczna zasada, — jak niestety mało jest ludzi, coby się jej w życiu swojem i swoich obowiązkach trzymali! Gorączkujemy się, rzucamy na wszystkie strony, na mnóstwo rzeczy się porywamy, a w końcu niczego dobrze i sumiennie nie zrobimy, w obowiązkach stanu nieraz zupełnie się zaniedbujemy. Nie chcemy widzieć, ile w owem niby nieróżnowaniu jest prawdziwego próżnowania, — ile w tych niby szlachetnych porywach nieszlachetnych intencyi i pychy.

Stąd tyle zaniedbania wszędzie, tyle połowiczności, powierzchowności w pracy, w obowiązkach, w życiu, w charakterach! Stąd w końcu tak mało stosunkowo produkujemy choćby przez najdłuższe lata życia.

Nadmieniłem wyżej, że Kardynał Puzyna nie miał względu na osoby...

»Była przed chwilą u mnie hrabina N.N. Sądziłem, że przyszła z jakąś ważną sprawą. W rozmowie niby żartem robi uwagę, iż sądziła, że w dyecezyi to i to... będzie... Niech pani nie zapomina, że ja rządzę dyecezyą nie pani... — rzekłem oburzony, wstałem... »Pochwalony« i wyszedłem ze salonu bez pożegnania... Pewnie brała po cztery schody, schodząc na dół... To dobre!... jeszcze mi się tu kobiety będą mieszać do rządów dyecezyą!«

Inną razą przynosi służący bilet. Adwokat jakiś, były dziennikarz, prosi o parę słów rozmowy w bardzo ważnej sprawie. Eminencya wychodzi, prosi, by usiadł. Adwokat zaczyna wpadać w patos — jeszcze przy wstępie. Eminencya zwraca mu grzecznie uwagę, by bez wstępu przystąpił odrazu do rzeczy.

— Przychodzę pośredniczyć między ks. Stojałowskim a Waszą Eminencyą...

Eminencya natychmiast wstał i zniecierpliwiony rzekł:

— Nie widzę tytułu, — nie uważam pana za kompetentnego w tej sprawie... Pochwalony...

Osoba wysokiego rodu — nie z Galicyi — prosi, żeby Eminencya zechciał wejść w jej stosunki rodzinne i usunąć familijne spory.

A kto, proszę pani, będzie rządził dyecezyą? — Pochwalony!

Celem posłuchania u innej osoby z arystokracyi było uprosić Eminencyę, by przyjął na się rolę »swata« między dwoma osobami. Wywołało to serdeczny śmiech ze strony Eminencyi... ukłon i... »Pochwalony«.

Takich i tym podobnych spraw było mnóstwo, zwłaszcza w pierwszych latach, kiedy Eminencyi jeszcze nie znano pod tym względem.

Bywały i przykre wypadki, które jedynie dlatego były takimi, bo je umyślnie rozdmuchiwano, na opak, błędnie, fałszywie przedstawiano. Owszem czyhano tylko na jakiś drobiazg, by go roznieść po całym świecie, a zawsze tendencyjnie, nieprawdziwie.

Wogóle podchwycono tę wadę raczej organiczną, niż moralną, duchową i wyzyskiwano ją bez litości przeciwko Kardynałowi Puzynie, snując na tem tle najdziwaczniejsze, najnieprawdziwsze przypuszczenia i posądzenia. A tłumy wierzyły, bo »tak pisały gazety«, bo w te tłumy zdołano przez szereg lat wpoić to przekonanie, że Kardynał Puzyna jest zdrajcą Kościoła, gdyż należy do loży masońskiej (sic!), — że jest zdrajcą ojczyzny i gasicielem narodowego ducha, będąc zaprzedanym Austryi i Prusom, — że gnębi i tyranizuje kapłanów i wiernych swojej dyecezyi, bo jest pysznym, ambitnym arystokratą, autokratą...

To wielka, wielka krzywda, jaką wyrządzano Kardynałowi Puzynie!

ROZDZIAŁ VII.

Cnoty największe, zdobiące duszę Kardynała Puzyny: wiara, zaparcie siebie. — Pogodne tło duszy.

Zaznajamiając się stopniowo z poszczególnymi rysami tej niezwykłej postaci, jaką bezsprzecznie był Kardynał Puzyna, ogarniamy ją teraz wzrokiem w całości...

Lecz zatrzymajmy się jeszcze przez chwilkę i przyjrzyjmy się dokładnie, szukając, którą z cnót posiadał Kardynał Puzyna w stopniu najwyższym, najdoskonalszym...

Według mego przekonania najpotężniejszą z cnót zdobiących duszę Kardynała Puzyny, była wiara. Tak prostej, naiwnej, prawdziwie dziecięcej wiary, a zarazem tak męskiej, granitowej i wytrwałej nie spotkałem w życiu!...

Wiara Eminencyi była strojna we wszystkie przymioty i to w stopniu bardzo wysokim. Ta to wiara prosta, gorąca, czysta, żywa, objawiająca się w każdym najdrobniejszym szczególe życia, — ta harmonia między wiarą a życiem imponowała mi najwięcej i przykuwała do Jego osoby... Jestem przekonany, że tak wyglądała wiara pierwszych chrześcijan, żywa, płomienna, nie znająca żadnych kompromisów z tem wszystkiem, co wierze jest obce, tembardziej co stoi w sprzeczności z wiarą...

Tu leżał jeden z głównych powodów, dlaczego Eminencyi nie rozumiano, — dlaczego wszystko, co robił, na opak sądzono. Stosowano do Niego miarę zwykłego człowieka wierzącego, — a niestety przyznać musimy, że nawet wśród tłumów wierzących wielu jest takich, którzy innej wiary trzymają się w teoryi, a innej w praktyce. Przyuczyliśmy się załatwiać wszystko kompromisami tak w dziedzinie społecznej, ekonomicznej, poli-

tycznej, jak w dziedzinie religijnej i etycznej, — przyuczyliśmy się wchodzić w kompromisy z własnemi wadami i namiętnościami.

Kardynał Puzyna był osobistym, nieprzejednanym wrogiem wszelkich kompromisów — zwłaszcza w rzeczach wiary św. Buchała zeń wiara dawnych Ojców Kościoła... czysta, najczystsza...

Nieraz nasuwało się pytanie:

Jakby się Eminencya zachował, gdyby w Austryi wybuchło prześladowanie Kościoła, — jakiś Kulturkampf?...

Pewny jestem, że nikt zgoła, nawet nikt z wrogów Kardynała Puzyzy nie przypuściłby ani na chwilę, by Eminencya miał się zachwiać, ustąpić, stchórzyć, — owszem wszyscy, co Go znali, znali Go i z tej strony, że byłby poszedł pierwszy na krwawy bój, na razy, do więzienia, na najsroższe tortury i męczeństwo...

Nasuwała się inna jeszcze myśl: jakby wyglądał u nas Kościół św. w Polsce, jak społeczeństwo nasze, gdyby całe duchowieństwo i przynajmniej większość narodu stanęła przy Kardynale Puzynie i pod Jego kierunkiem według Jego zasad, rad i wskazówek oddawała się pracy czy religijnej, czy wychowawczej, czy oświatowej, czy społecznej?

A zasady Jego były granitowe, bo z wiary i zdrowego rozsądku płynące, a rady Jego były zbawienne, nawskroś praktyczne na wieloletniem doświadczeniu i — co z naciskiem podnieść należy — na kolosalnej znajomości ludzi i świata oparte!

Któż napisze lepszą receptę, kto wynajdzie skuteczniejsze lekarstwo celem uleczenia naszego społeczeństwa z wielu chorób, wżerających się coraz głębiej w organizm narodu, — kto ukaże naszemu społeczeństwu krótszą, prostszą, jedynie do celu wiodącą drogę nad tę, jaką mu ukazywał i ukazuje Chrystus Pan?

Kardynał Puzyna nie inną kroczył drogą, nie na inną ciągnął i gwałtownie popychał swój naród...

»Bardzośmy podupadli w ostatnich latach moralnie i materyalnie, bośmy bardzo daleko odbiegli od katechizmu w życiu... chcemy oddychać powietrzem Francyi i Portugalii? — udławimy się... nie mędrkujmy, nie ogłupiajmy się, — bez bojaźni Bożej i religii katolickiej zginiemy z kretesem...«

Miarą ducha wiary w każdym katoliku tembardziej kaplanie jest stosunek do Stolicy św.

Kardynał Puzyna był przywiązany do Niej, jak dziecko. Nie mógł bez wzruszenia mówić o Rzymie; w zupełnie innym nastroju wyjeżdżał do Rzymu, w innym np. do Wiednia, Lwowa. Nie pominął nigdy sposobności bawiąc za granicą dla poratowania zdrowia, by nie zawadzić o Rzym i nie złożyć hołdu Ojcu św. Rozporządzenia Stolicy św. przyjmował bez zastrzeżeń, bez rezonowania, — z prawdziwym pietyzmem. Swoich kleryków wyprawiał na studya do Rzymu ze łzami w oczach.

Wierzył w Boskie posłannictwo Kościoła św., w prawdę, że Duch św. kieruje Jego losami, Nim rządzi.

Najczęstszym wyrazem w ustach Eminencyi był wyraz »Kościół«, — bo też Go kochał, — kochał całą potęgą swojej wielkiej duszy chrześcijańskiej, kapłańskiej. Poza Panem Bogiem i Kościołem św. nie widział nic, nie uznawał żadnej prawdy, żadnego piękna i dobra. W Bogu i przez Kościół kochał wszystko i wszystkich, co i kogo tenże Bóg i Kościół kochać nakazują, a więc kochał swoją ojczyznę ziemską, kraj, rodzinę, — kochał sztukę, naukę, — kochał wszystkich, — nie wyłączając swoich nieprzyjaciół!...

Kardynał Puzyna żył, pracował, cierpiał dla Kościoła, bronił Jego praw i nauki, — w razie potrzeby gotów był ostatnią kroplę krwi przelać za Niego...

»Nie pozwolę bić Kościoła św., nie pozwolę lekceważyć i deptać Jego praw, — niech mnie biją, ale nie Kościół...« Jakże często dał się z tem słyszeć! I w istocie — nigdy nie pozwolił naruszyć praw Kościoła św., nie ustępował przed żadnym naciskiem, nie uległ żadnym wpływom, choćby z najwyższych sfer pochodzącym.

Dla Kościoła pracował. We dnie, w nocy przemyśliwał nad tem, czemby się Kościołowi przysłużyć, w jaki sposób możnaby Go podnieść... Żywo obchodziły Eminencyę wypadki w świecie się rozgrywające, — śledził, badał, czy wypłynie z nich jakie dobro dla Kościoła i religii katolickiej, czy przeciwnie.

Bolał nad Francyą, Portugalią; często, bardzo często wyrażał swą boleść nad położeniem Kościoła w Król. Polskiem, nad niepomyślnym stanem tamtejszych seminaryów i duchowieństwa.

Kard. Puzyna pracował dla Kościoła, uświęcając siebie i pracując nad uświęceniem duchowieństwa i wiernych, swej pieczy powierzonych. Rozumiał bowiem, że Kościół św. jest kró-

lestwem duchowem, które o tyle potęgować się i rozwijać będzie, o ile będą rość w potęgę duchową czyli w świętości pojedyńcze członki, tworzące jeden organizm Kościoła. Na drugiem dopiero miejscu kładł odnawianie katedry, świątyń Pańskich.

Wiarę niezwykłą okazywał Eminencya w cierpieniu tak fizycznem, jak i też moralnem. Ile było cierpień jednego i drugiego rodzaju, któż je zliczyć, kto zważyć potrafi?!

Wszystkie przyjmował w duchu wiary.

»Pan Bóg wie, co robi... byle się tam dostać... jeśli to potrzebne dla chwały Bożej i dobra mej duszy, zniosę wszystko z pomocą Bożą najchętniej... Wszak tu padoł płaczu, — tam sobie odpoczniemy... Żal mi ludzi, że mnie nie rozumieją, a potępiają, — trudno, ja do gazet pisywać nie będę, ani się tłomaczyć... Jeszcze się nikt nie narodził, coby wszystkim dogodził... niech mnie biją za życia, byle nie bili po śmierci...«

Któż wypowie cierpienia Eminencyi w latach ostatnich życia? Cały ostatni rok od listopada do września leżał lub siedział jak łazarz. Każda zmiana w powietrzu przyprawiała Go o dotkliwe bóle w głowie, w rękach, w nogach. Syczał z bólu, — szeptał »boli«, »bardzo boli« nie narzekał, nie skarżył się nigdy.

»Nie ma ojciec pojęcia, co ja przechodzę, co cierpię, — trudno jednak, taka wola Boża, — byle się jako tam dostać, będę pamiętał o was tu na ziemi, gdzie się jeszcze będziecie musieli borykać, — będę się modlił za wami, bo wiem, co to życie, co to walka z piekłem i światem i sobą samym...«

A z jaką wiarą przyjmował i znosił cierpienia moralne?... Jakie one były, wiemy, — lecz nie o wszystkich wiemy... Była to szczególnie wybrana dusza, skoro ją Pan tak ciernistą wiódł drogą... Sługa Boży stąpał mężnie po tej drodze, nie ociągając się, nie utyskując, nie żaląc, jakoby się bał, by Mu kto nie wydarł skarbu cierpienia.

Miarą najlepszą, najpewniejszą ducha wiary — to zachowanie się wobec śmierci.

I pod tym względem dał nam Eminencya prześliczny wzór. Ileż nowenn odbył do Serca Pana Jezusa, do Najśw. Maryi P., do św. Józefa o szczęśliwą śmierć! W ostatnich latach dodawał wyraz: »i o rychłą« odkąd ataki ponawiały się coraz częściej.

»Co po mnie, jeśli pracować nie będę mógł? Biskup nie powinien zawadzać w dyecezyi, a zawadza, jeśli pracować nie może«...

Do lekarza Dr Buzdygana, którego wysoko cenił i poważał, zwykł był mawiać: »Niech pan nie podtrzymuje sztucznie mego życia, — jestem kapłanem, biskupem, nie boję się śmierci, ale też nie chcę być ciężarem dyecezyi ani przez godzinę«.

Nosił się nawet przez jakiś czas z myślą usunięcia się zupełnego z dyecezyi; odstąpił jednak od tego zamiaru, widząc, że ks. biskup Nowak we wszystkiem zastąpić Go może tak, że sprawa Boża nic na tem nie ucierpi.

Wspomniałem wyżej, jak skrupulatnie gotował się Eminencya na śmierć, w jakim porządku pozostawił papiery, dokumenta, jak zabezpieczył utrzymanie dla wychowanków małego seminaryum i bursy św. Jana Kantego.

Pragnął umrzeć jak na biskupa przystało, w otoczeniu duchowieństwa, służby — w swoim własnym pokoju... Tego gorąco pragnął, o to się modlił. Pan Jezus uczynił zadość i temu pragnieniu Swego wiernego sługi.

Taką była wiara Kardynała Puzyny! Widok jej, kierowanie się nią wszędzie i zawsze wprost upokarzał, zawstydzał z jednej strony, z drugiej wszakże na duchu podnosił, do męstwa i wytrwałości pobudzał...

Tyle poświęcenia, tyle pracy, tyle niewdzięczności ludzkiej, — a jednak rąk nie zakładać, nie skarżyć się, nie zniechęcać, — a jednak stać na posterunku z okiem utkwionem w prawdy wieczne, z bronią w ręku, z gotowością w sercu do przelania krwi wszystkiej dla Boga i Kościoła św. — stać do ostatniej chwili życia mimo tak gwałtownych burz, grzmotów i piorunów — na to potrzeba potężnej wiary. To musiało działać na każdego bez wyjątku, — to działało niesłychanie!...

Ileż to razy przychodziłem do Eminencyi strapiony, upadły na duchu... Odchodziłem zawsze pokrzepiony, mężny na dalszą pracę i znoje, — choć Mu nic o swym wewnętrznym stanie nie wspominałem. Taki skutek wywołał sam widok Jego cierpień, pracy, poświęcenia, miłości Boga i Kościoła, a cóż dopiero, jeśli

raczył poufnie rozmawiać ze mną o swoich wewnętrznych kłopotach i przejściach?

Wyznaję szczerze, że sam widok Eminencyi był dla mnie wspaniałą konferencyą duchowną, choćby ani słówka nie był zamienił ze mną. Tak było zawsze, odkąd Eminencyę nieco bliżej poznałem, — tak było zwłaszcza w chorobie, kiedy jako kaleka leżał na sofie, lub siedział w wózeczku.

Wtedy dusza Jego była bardzo, bardzo piękną, dojrzałą jak zboże pod żniwo, jak owoc w jesieni... Ciało marniało coraz więcej, schło, — dusza rosła, dojrzewała, aż wreszcie całkiem dojrzała ku żywotowi wiecznemu...

Taką była wiara u Kardynała Puzyny.

Dlaczego była taką? Co było powodem, że wyglądała ona inaczej u Niego, niż wygląda zazwyczaj u nas, — że była gorącą, jędrną, płomienną, tryskającą życiem, pożerającą, przenikającą wszystko, zgoła wszystko, czego się dotknął myślą, sercem lub wolą swą?

Czy nam Pan Bóg odmawia takiej dozy łaski wiary, jaką Eminencyi użyczył czy przy Chrzcie św., czy później?

Bynajmniej!

Jeśli jednak nie wżarła się tak głęboko do istoty naszej, — jeśli nie przeszła w szpik i kości nasze, — czyli co za tem idzie — jeśli nie wpływa w takim stopniu na nasze życie, myśli, pragnienia i uczynki — przyczyny szukać należy nie po stronie Pana Boga i łaski, lecz w nas samych. Poprostu przynosimy do źródła łaski liche, dziurawe naczynia, t. j słabą, połowiczną wolę. Cóż dziwnego, że mniej łaski czerpiemy, a i owo »mało« powoli, stopniowo utracamy, marnujemy, nie współpracując należycie, bo się nam nie chce.

Oto jedyna racya, dlaczego życie katolickie czy jednostek, czy rodzin, czy społeczeństw całych tak jest blade, nikłe, apatyczne.

Kardynał Puzyna chciał współdziałać z łaską Bożą i współdziałał; chciał szczerze, całkowicie, bez zastrzeżeń, bez kompromisów ze swoją naturą i namiętnościami, od których żaden człowiek nie jest wolny, — oto dlaczego tak pięknie pod działaniem łaski się rozwinął, dlaczego tak wysoko się wzniósł ponad zwy-

kłych ludzi. Wybitnych przymiotów naturalnych nie miał, jak nam wiadomo, ani intellektualnych, duchowych, ani fizycznych, miał tylko prostą, szczerą, męską wolę, którą pozwolił opanować łasce, ta zaś ogarnęła i wypełniła sobą całą duszę Eminencyi i wyrzeźbiła zeń po mistrzowsku posąg iście spiżowy, rozwinęła w Nim indywidualność potężną, niepospolitą, będącą przedmiotem podziwu dla swoich i obcych.

Łaska i dobra wola działają cuda!

Kardynał Puzyna rozumiał tę zasadniczą prawdę w życiu duchownem, że człowiek każdy o tyle tylko postąpi w dobrem, o ile zechce zwyciężać samego siebie, — a ponieważ chciał szczerze czynić postępy w dobrem t. j. w doskonałości kapłańskiej, do której każdego kapłana zobowiązują kapłańskie święcenia, — dlatego chciał również szczerze zapierać się siebie i zapierał się znowu tak, jak nikt z nas.

Zaparcie siebie — to druga cnota, która obok wiary była najwybitniejszą, najbardziej uderzającą w oczy u Kardynała Puzyny.

Trzymał się krótko, — był dla siebie bez litości, bez ustępstw. Pilnie badałem Eminencyę pod tym względem, — wyznaję otwarcie. Byłem bardzo ciekawy, jakim On jest względem samego siebie, boć właściwie to jest najlepszą próbą cnoty, miarą czyjejś wartości, — nie słowa, nie szumne frazesy, nie morały dawane drugim, nie teorya, lecz praktyka, życie prywatne, — stosunek do siebie t. j. do swoich wad i namiętności. Tembardziej mnie to ciekawiło u Eminencyi, iż wiedziałem, jaką nienawiścią płonął do kłamstwa, obłudy, blagi, — jakim wrogiem był wszelkiej frazeologii, sztuczności, nienaturalności, przesady.

Otóż zdumiony byłem na widok zaparcia i nienawiści, jaką Eminencya pałał względem siebie samego. Niejednemu wyda się to może nieprawdopodobne, gdyż sądząc z pozorów, należałoby raczej czego innego się spodziewać. Lecz nie! A jeżeli moje świadectwo podejrzane, niech świadczy służba, niech świadczą wszyscy, co znali bliżej Kardynała Puzynę!

Co do mnie, — wyznaję, iż na tej cnocie właściwie zasadzam całą wielkość i wartość moralną Eminencyi, — nie na niej jedynie i wyłącznie, lecz przedewszystkiem. Wychodzę bowiem

z tej zasady, iż prawdziwa nienawiść siebie samego czyli — ściślej mówiąc — swoich wad i namiętności jest podstawą wszelkiej cnoty i dobrych uczynków. Gdzie niema nienawiści siebie samego, tam niema rzetelnej miłości Boga, bliźniego, — niema prawdziwej gorliwości, ofiarności i szczerego, bezinteresownego poświęcenia się dla drugich, — tam jest egoizm; może zaś być i obłuda, blaga, — a miłość, szukanie dobra bliźniego, poświęcanie się są prostym, gołosłownym frazesem... Po takim to owocu poznaje się drzewo!...

Jak dalece Kardynał Puzyna trzymał się krótko, świadczy ta okoliczność, iż właściwie nigdy nie pozwalał sobie na żadną przyjemność — nawet godziwą, dozwoloną.

Zawsze przy pracy, od rana do wieczora. Czy chodził po brzegu morskim, czy po lesie bielańskim, czy jechał powozem, czy koleją zawsze zajęty, — albo brewiarz odmawiał, albo koronkę, — skończywszy modlitwy brał do ręki książkę jakąś pożyteczną, którą zawsze miał przy sobie.

Rozmowy Jego były poważne, pouczające, rzeczowe, — a przytem dziwnie swobodne, naturalne tak, że były odpoczynkiem i pracą zarazem...

Urządzał u siebie przyjęcia, utrzymywał stosunki towarzyskie, składał wizyty bardzo rzadko, nigdy jednak dla samej przyjemności, dla zabicia czasu... »Biskup nie może się zamykać w czterech ścianach, musi stykać się z ludźmi, bo tego wymagają wprost interesa Kościoła i dyecezyi, — ja przy każdej rozmowie zawsze coś ważnego załatwię, omówię...«

Był pełen zaparcia przy stole, jak już wiemy, — w odzieniu, w urządzeniu mieszkania (t. j. tylko sypialni). Sypiał na prostem, żelaznem łóżku, — na dwóch małych, twardych poduszkach. Dobiero przy końcu życia zmienił łóżko żelazne na drewniane, rodzinne — i to na wyraźny rozkaz lekarza. Trunków, herbat, kawy mocnej nigdy nie używał.

Zdaje mi się w dwa lata przed śmiercią poradzono Eminencyi, by wzmacniał swój organizm starem winem. Nie wziął do ust ani kropli, mówiąc: »niech mnie wszystkiem leczą, tylko nie trunkami, ja wiem, że mi choćby najstarsze, najlepsze wino nie pomoże«.

Nie miał żadnego względu na własną osobę, natomiast niezmiernie był czuły na punkcie swej godności biskupiej i kardy-

nalskiej. Unikał wszystkiego, coby jej w najdrobniejszy sposób uwłaczać miało. Proszony w ostatnich latach na różne uroczystości familijne przez arcyks. Karola Stefana w Żywcu lub książąt Radziwiłłów w Balicach czuł, że nie wypada im odmawiać, a jednak odmówił, by nie narażać swej godności...

»Może przyjść atak, mogę w stanie nieprzytomnym udzielić Sakramentu czy Chrztu, czy Bierzmowania, czy poblogosławić Małżeństwo, — mogą z tego powodu być przykrości, — żal mi bardzo, ale odmówić muszę, poproszę ks. Biskupa, by mnie zechciał zastąpić...«

Tę samą zasadę stosował względem własnej rodziny.

Eminencya był tego przekonania, iż każdy powinien zamknąć się w swoich obowiązkach i trzymać się tego zakresu działania, jaki mu Wola Boża wyznaczyła. Brał za złe, jeśli się kto mieszał, lub wtrącał do tego, co robi jego sąsiad, znajomy lub w inny sposób chciał w cudzym domu gospodarować.

Każdy domyśli się łatwo, jak drogim dla Kardynała Puzyny był Lwów; wszak tam tyle pracy i potu zostawił, tyle ważnych spraw rozpoczął...

Cieszył się, kiedy Go ktoś z tamtejszej dyecezyi odwiedził, kiedy z ust ks. Arcybiskupa Bilczewskiego o tem, o owem usłyszał. Sam jednak nigdy się nie wypytywał o kwestye, dotyczące zarządu archidyecezyi. Nie dosyć na tem, — nawet żadnej gazety lwowskiej nie prenumerował...

»Bardzo wiele i mało obchodzi mnie, co się dzieje we Lwowie... obchodzi mnie bardzo, boć tam zostawiłem część samego siebie, — mało, bo Pan Bóg każe mi się teraz tylko dyecezyą krakowską zajmować. Nikt nie może mieć pretensyi i żalu, że mu się wtrącam«.

Nie lubił też mówić o tem, co się gdzieindziej dzieje. Kładł palce na ustach mówiąc:

»Lepiej nie mówmy o tem; siedźmy cicho i pracujmy bez krzyku, bez hałasu, nakładłszy sobie dużo waty do uszu (t. zn. nie zważając na ludzkie języki)«.

W szczególniejszy sposób zajaśniała cnota zaparcia u Eminencyi w czasie choroby, w kalectwie. Przyjął je z dziecięcą uległością, jako »rzecz, która Mu się należała« (według Jego wyrażenia).

»...Ja sobie nie przykrzę w tej chorobie... cierpię, bardzo

cierpię, — czasem powiem komu, że mnie boli, że cierpię, ale to chyba nie obraża Pana Boga, nie odbiera wartości moim cierpieniom. I czegóż bym się zresztą miał użalać... Na obecne cierpienia zasłużyłem, chcę tu zacząć czyściec, a choćbym i nie zasłużył, to i tak mi się należą, skoro i Pan Jezus cierpiał... bojowaniem jest żywot człowieka...«

Wielkie zaparcie cechowało Kardynała Puzynę nie tylko co do zmysłów, lecz także co do wad. Czy je miał? Miał, jak je ma każdy człowiek bez wyjątku. Owszem powiem więcej, — miał je w wyższym stopniu, niż kto inny, bo miał ognistszy charakter, hartowniejszą wolę, chorobami bardziej zniszczony organizm, a wiemy z doświadczenia, o ile powyższe czynniki wpływają na wady w człowieku.

Miał zatem Eminencya wady, — miał je niektóre w znacznym stopniu, — wszakże nie zdarzyło mi się spotkać duszy, osoby czy to wśród świeckich, czy duchownych, którąby trzymała swoje wady tak silną, żelazną dłonią, jak je trzymał Eminencya.

Jednej tylko nie mógł opanować całkowicie t. j niecierpliwości. Osłabła ona sama w Nim odkąd osłabło ciało, co jest najlepszym dowodem moich uwag, wypowiedzianych wyżej, iż niesłusznie potępiano Eminencyę za szorstkość i niecierpliwość, gdyż te wady leżały raczej w Jego organiźmie, a nie we woli.

Jeżeli Eminencya miał wady, to miał ową najpowszedniejszą, niemal z naszą istotą zrosłą wadę miłości własnej. Zapewne był czuły na pochwały lub nagany... Pod tym względem trzymał się jednak bardzo krótko. Był w wielkim kłopocie, kiedy ktoś w rozmowie podnosił Jego pracę, zasługi. Zaraz okazywał zmieszanie, co się przebijało w głosie i w gorączkowem zwracaniu rozmowy na inne tory.

Pamiętam, raz zacząłem coś mówić o pracy Eminencyi... Żachnął się wtedy i rzekł prędko:

»Jeśli ojciec w tym tonie chcesz dalej mówić, to do widzenia...«

Inną razą przy szybkiem pożegnaniu pocałowałem Eminencyę w rękę — nie w pierścień... Zmarszczył wtedy brwi i rzekł: »Nie całuj ojciec w rękę, bo ci z tego nic nie przyjdzie,

pocałuj raczej w pierścień, w którym są relikwie, zyskasz 50 dni odpustu...« to mówiąc sam ucałował pierścień i dał mnie do pocałowania...

Drobiazg, bardzo wielki drobiazg na pozór, — w rzeczywistości objaw wielkiej ostrożności i czujności nad sobą samym, nad swojemi wadami. — Kiedy został Kardynałem, przydzielono żołnierza, by stał przy bramie pałacu biskupiego. Stał tylko pół godziny, gdyż Eminencya prosił komendanta, by żołnierza odwołał i nowego nie wyznaczał.

Z niezwykłej cnoty zaparcia i ostrożności ze sobą samym było nieco napięcia i ostrości w każdym czynie, w całem życiu Eminencyi. Ta cnota była powodem, iż niczego nie czynił rozgłośnie, ostentacyjnie. P. Madejski nadesłał z Rzymu wspaniały pomnik Władysława Warneńczyka, poczem sam przybył, pomnik w katedrze ustawił. Podsuwano Eminencyi myśl, by ogłosić w gazetach dzień i godzinę poświęcenia i odsłonięcia pomnika... Roześmiał się i czemprędzej dokonał poświęcenia wobec kilku osób.

Kardynał Puzyna był sztywny, zimny, nieprzystępny, lecz pozornie tylko. Obwiniano Go z tego powodu o brak serca, o kolosalną pychę, o dumę arystokraty. Zarzut, jak przekonujemy się z tych kilku kartek niesłuszny, gdyż ten wygląd zewnętrzny nie płynął z wad, ale raczej z zalet, bo z cnoty zaparcia, czuwania nad sobą, nad poruszeniami miłości własnej — tudzież z wielkiego poczucia własnej godności.

Jeszcze jedno spostrzeżenie.

Jakie było ogólne tło duszy i charakteru Kardynała Puzyny? Czy był mianowicie optymistą, czy pessymistą?

Ktoś, co z daleka patrzył na Eminencyę najpierw na Jego zewnętrzny wygląd, następnie na Jego stosunek do ludzi, na sposób pracy, na Jego ciągłą walkę i borykanie się ze sobą i ze światem, naruszającym Jego największe świętości, — mógł sobie łatwo wyrobić przekonanie, że Kardynał Puzyna jest pessymistą — w dodatku absolutnym, który wszystko widzi w czarnych kolorach, który wszystko i wszystkich groźnie i bezlitośnie potępia, nie mając słówka ni uczucia wyrozumiałości, i pobłażliwości dla drugich.

Taki sąd o Eminencyi byłby najbardziej krzywdzący i całkiem niesprawiedliwy.

»Wie ojciec, ja nie patrzę różowo w przyszłość, ale też i czarno nie... Ja nigdy nie miałem pokusy, żeby zwątpić...

Dzięki Bogu nie jest tak źle, jakby się zdawało... Czasy obecne są przejściowe, — dlatego tyle zamieszania, dlatego tyle dusz ginie... lecz mimo wszystko niema powodu do rozpaczy i zakładania rąk...

Ja pamiętam inne czasy... — mówią, że było lepiej, — ja twierdzę, że było gorzej, mam tu na myśli stosunki kościelne, uświadomienie religijne, a nawet stosunki społeczne.

Kościół piękniej dziś wygląda, niż dawniej, — wygląda bardziej uduchowniony, czystszy; wprawdzie odpada od Niego dużo, ale są to plewy, pozostaje ziarno, — zresztą w miejsce odpadłych przychodzą ciągle nowi...

Duchowieństwo np. stoi dziś bez porównania wyżej od dawnego... Józefinizmu dziś prawie ani śladu... Świeckim, zwłaszcza uczonym przewróciło się w głowie i sercu z powodu szalonych odkryć i nowoczesnych, wielkich zdobyczy, — sądzą, że ziemia i wynalazki wystarczą im do szczęścia; przyjdzie czas, kiedy się upamiętają i po licznych szarpaninach i opieraniu się religii i łasce ugną kolana przed Stwórcą... Na to trzeba czasu, ale też potrzeba i naszej pracy! Nie dobrze jest dziś na świecie, ludziom ciężko żyć, duszno w powietrzu, — zawsze przecież tak być nie może...

Dla nas kapłanów obfite żniwo! Gdybyśmy zrozumieli chwilę obecną, gdybyśmy się wzięli do pracy, jak ja ją w dzisiejszych czasach pojmuję, to jestem przekonany, że dyabeł dobrzeby się skurczył... Zwłaszcza warto pracować u nas... nasze społeczeństwo jest nierozwinięte, leniwe, lecz nie jest złe z gruntu jak społeczeństwa inne z przeżytą cywilizacyą...

Niedobrze jest po miastach, gdzie wskutek niedbalstwa odnośnych czynników burszują nieznane indywidua, które pod osłoną literatury, sztuki, postępu i wolności sączą truciznę zachodnią do polskiej duszy zwłaszcza wśród młodzieży i inteligencyi miejskiej.

W miastach, przyznaję trudniejsza praca, ale na wsi, dzięki Bogu, nie mamy na co narzekać. Pracować nam wolno, rząd rąk nie wiąże, więc pracujmy, bo naprawdę warto pracować nad ludem. W nim wielka siła, nadzieja lepszej przyszłości... Pracujmy jednak w duchu Bożym, według woli Bożej, pełni

zaparcia i poświęcenia, gdyż i lud nie zadowolni się dziś ladajaką spychaniną...«

Zaświadczam, iż takie poglądy wygłaszał Eminencya nie raz, nie dwa, ale setki razy. Najlepszy to chyba dowód, że nie był kwaśnym, zgryźliwym pessymistą, melancholikiem, — że patrzył jaśniej, pogodniej, pobłażliwiej na ludzi, wypadki i przyszłość, niż niejeden, co się głośno przyznaje do optymizmu i rzuca kamieniem potępienia na drugich za ich rzekomy pessymizm.

Dalej — takie stałe usposobienie Kardynała Puzyny jest wymownym dowodem Jego miłości dla ludzi i uznania dla nowoczesnych wynalazków.

Wiemy, że za życia i tego Mu odmawiano. Wykazywano całemu społeczeństwu, jakim wrogiem nauki i kultury był Kardynał Puzyna.

Tak! Był wrogiem i to nieubłaganym, lecz dla nauki fałszywej, która się odważa targnąć na naukę Bożą; dla kultury pogańskiej, której przedmiotem jest ciało i jego pożądliwości.

Nie był wszakże nigdy wrogiem prawdziwych ideałów człowieka i ludzkości nawet doczesnych, byle je podporządkowywać i przez nie podążać do ideałów niebieskich. Kardynał obejmował swoją miłością męską i hartowną wszystko na ziemi, co było rzeczywiście miłości godne, duch Jego wszakże i serce nie na ziemi ostatecznie spoczęły — wybijały się nieustannie w górę, tam upatrywały swój najwyższy ideał, najdoskonalszy przedmiot swej miłości, tam wyczuwały prawdziwą krainę szczęścia i wypoczynku... powtarzały za św. Augustynem.

»Stworzyłeś nas Boże dla siebie i niespokojne jest serce nasze, póki nie spocznie w Tobie...«

W takiej duszy musi być wielka miłość... Gdzie jest taka wiara, takie wyniszczenie siebie, tam musi być miłość.

...I była w duszy Eminencyi wielka, gorąca... On kochał Boga, kochał Kościół św., naród swój, kraj, rodzinę, każdą duszę nieśmiertelną, ludzkość całą... On obejmował swem miłością Bożą wielkiem sercem wszystko i wszystkich... Nigdy do nikogo nie żywił dobrowolnie urazy, niechęci; toby się nie zgadzało z Jego miłością Boga i Kościoła.

Kardynał Puzyna toczył walkę nie z osobami, nie z ludźmi,

lecz z pojęciami, z ideami, namiętnościami, wadami... Tych wrogów zwalczał bez litości w drugich, ale i w sobie samym! Był nieubłagany pod tym względem.

Lecz cóż było pobudką? Czy niechęć, nienawiść, pogarda dla drugich? Nie! Jedynie miłość Boża, dobrze zrozumiana miłość bliźniego i prawdziwa, rzetelna troska o jego duszę.

W sentymentalizm, tkliwość, czułostkowość nie bawił się, — owszem takiej miłości lękał się bardzo i uważał ją raczej za miękkość, zniewieściałość, słabość, która wiele, wiele szkody duszom i charakterom wyrządza...

Sam pracował bez wytchnienia, ściśle według woli Bożej, nie szukając siebie, nie pragnął oglądać owoców swej pracy... Pracował dla przyszłości, oglądanie skutków swej pracy zostawiał swoim następcom...

Czyż ten szczegół, ten rodzaj pracy nie dowodzi również wielkiego zaparcia?!

W ostatnim roku choroby zapytałem raz: »Czy Eminencyi nie przykro, że cały dzień przesiedzi lub przeleży w takiem osamotnieniu i opuszczeniu?«

»Czasem doznaję uczucia bólu, że mnie nie odwiedzi ten lub ów, któremu tyle serca okazałem... Lecz widocznie Pan Bóg chce, bym i ten krzyżyk dźwigał, niech się dzieje Jego św. Wola.

Nie mam urazy do nikogo, tylko mimowoli zaboli człowieka, — ogólnie jednak biorąc, cieszę się nawet, że jestem sam, bo się czuję bliżej Pana Boga, czuję, że korzystam bardzo wiele dla duszy przez te dni i noce bezsenne. Pan Bóg wie, co robi... Niczego mi tu na ziemi nie żal, bom się starał odrywać od wszystkiego... zrobiłem, zdaje mi się, co mi Bóg zrobić przykazał, do czegoś więcej jestem niezdolny, niech przyjdą świeże siły... swoją cegiełkę dołożyłem... oby mi Bóg był miłosierny...

Nie uwierzy ojciec, jak mi tęskno za Niebem...«

Po tych słowach zamyślił się głęboko, utkwił oczy w podłogę — a łzy spływały po zoranych wiekiem i trudem policzkach...

Było to na parę miesięcy przed śmiercią...

ROZDZIAŁ VIII.

Ostatnie chwile.

Prawdziwie znojne i bogate życie Kardynała Puzyny dobiegało do końca...

Paraliż dotknął całą prawą część ciała tak, że prawa ręka i noga były zupełnie bezwładne. Zachodziła nawet obawa, by nie ogarnął głowy i mózgu, — tudzież, by nie pozbawił Eminencyi mowy... Lecz dzięki Bogu skończyło się na obawie.

Trwała jednak od dawna anemia mózgowa, która powodowała od czasu do czasu znaczny zanik pamięci, jakoteż trudność w zestawianiu pojęć... Przybrała większe rozmiary w czasie wakacyi (ostatnich) na Bielanach 1910 r. Była to zapowiedź paraliżu, który w listopadzie powalił Eminencyę na łoże i przyprawił Go o kalectwo.

Po powrocie z Bielan — we wrześniu stan był tak groźny, iż Ks. Biskup Nowak uznał za stosowne powołać do łoża chorego Arcypasterza Jego rodzinę i udzielić Mu ostatnich Sakramentów św. w obecności przedstawicieli Kapituły, rodziny i służby. Eminencya miał świadomość tego aktu, sam bardzo wyraźnie odpowiadał i powtarzał za ks. Biskupem przepisaną formułę wiary.

Cierpienia wszakże i kalectwo miały trwać z woli Bożej przez rok cały... Przewidział lekarz, że paraliż nie ustąpi, ale owszem może zechce się rozszerzać na cały organizm. Ze względu na pacyenta polecił masowanie, a od początku stycznia 1911 r. do końca lutego elektryzowanie sparaliżowanej części ciała.

Nie przyniosło to żadnej ulgi w cierpieniach fizycznych, kalectwa w niczem nie zmniejszyło. Władze umysłowe, biorąc ogólnie, funkcyonowały dosyć normalnie. Większy ich upadek zaznaczał się okresami, kiedy np. zmiana temperatury wywoływała większe cierpienie fizyczne. Czasem jednak były tak czerstwe i świeże, że wprawiały w zdumienie wszystkich, co Eminencyę otaczali. W takich chwilach — bardzo rzadkich co prawda — rozmawiał swobodnie o wszystkiem, nawet o rzeczach z dawnej, dawnej przeszłości.

W ostatniej chorobie budował wszystkich wielkim spokojem, rezygnacyą chrześcijańską i cierpliwością, która przy tego rodzaju kalectwie była wystawiona na wielkie próby...

W dniu 25 marca 1911 r. obchodził Eminencya 25-lecie biskupstwa. Otrzymał mnóstwo gratulacyi, telegramów, adresów. Ojciec św. nadesłał obszerny, nadzwyczaj serdeczny list, który sprawił Eminencyi radość niewysłowioną. Ukrywał go z początku starannie...

Przysłał telegram z życzeniami również i cesarz.

Zwłaszcza adresy z wyrazami hołdu i czci od poszczególnych dekanatów i parafii były dla Eminencyi wielką osłodą w cierpieniach.

»Cieszę się, bardzo się cieszę, że mnie duchowieństwo rozumie, że moja praca nie poszła na marne. To największa nagroda dla mnie na ziemi...«

W maju i czerwcu kazał się parę razy wywieść w powozie na świeże powietrze, na słońce... Miał wielką ochotę wyjechać na Bielany...

»To jednak nie zależy odemnie, — wybadajcie lekarza, czy mi pozwoli«. Lekarz jednak odmówił — z wielkim bólem. Z jednej strony radby był zezwolić Eminencyi na wyjazd, widząc jak gorąco tego pragnął, — z drugiej strony jednak chciał mieć pacyenta bliżej siebie.

Przyszłość pokazała, że obawy i ostrożność były uzasadnione. Paraliż rozszerzał się, — począł ogarniać wnętrzności, utrudniając przez to branie jakiegokolwiek posiłku, z czasem uniemożliwiając je zupełnie...

Katastrofa była bliska...

Było to w pierwszych dniach września 1911 r. Ks. Biskup Nowak wyczerpany i przemęczony zamierzał wyjechać za poradą lekarza do Marienbadu. Wobec coraz groźniejszego stanu zdrowia pozostał w Krakowie, — przy łożu Eminencyi, -- gdzie spędził ostatnie dwie noce.

W wigilię uroczystości Narodzenia Najśw. Maryi Panny, we czwartek 7 września, przyjął Eminencya komunię św. po raz ostatni...

Ogarniała Go coraz większa senność, — oczy miał zamknięte z małemi przerwami do ostatniej chwili.

Nadeszło błogosławieństwo od Ojca św. Piusa X. którem się bardzo, bardzo ucieszył.

Tegoż dnia koło godz. 11 przed południem ks. Biskup Nowak widząc coraz większy zanik sił żywotnych u chorego, rzekł do Eminencyi.

— Waszej Eminencyi udzielę teraz ostatniego Namaszczenia Olejem św.

— Dobrze — brzmiała cicho wyszeptana odpowiedź.

Było to ostatnie słowo Ks. Kardynała. Po udzieleniu Sakramentu Namaszczenia popadł znowu w głęboki sen.

Ostatnią noc przepędził Eminencya w gorączce 40° C, był też zupełnie nieprzytomny; tętno zaledwie można było wyczuć. Obawiano się, że jeszcze przed wschodem słońca w piątek nastąpi katastrofa tembardziej, że przyjmowanie jakiegokolwiek posiłku było niemożliwe.

Rano ku radości otoczenia chory zaczął powracać do przytomności; temperatura ciała spadła do 38·2° C., a o godz. 9 rano nastąpił dalszy spadek ciepłoty do 37·6° C. Tętno uderzyło żywiej, chociaż chwilami słabło tak bardzo, że go nie można było liczyć. Zjawiał się też kaszel flegmisty. Około południa Ks. Kardynał odzyskał prawie pełną przytomność; przyjął kilka łyżeczek pokarmu. Wziął do ręki koronkę i lekko poruszające się wargi szeptały modlitwę.

Nad chorym czuwali wytrwale najbliżsi, — między nimi Ks. Biskup Nowak i Dr. Buzdygan, jeden z najwierniejszych i najzasłużeńszych, który przez kilkanaście lat opiekował się chorym Ks. Kardynałem. W ostatnich dniach nie odstępował prawie od Jego łoża.

Lepszy stan trwał jednak krótko. Wnet przyszło dalsze

osłabienie. Chory dał znać oczyma, by odebrano koronkę i przymknął zmęczone oczy. Równocześnie podnosiła się gorączka i dosięgła 40° C. Chory popadł ponownie w nieprzytomność. Silny stosunkowo oddech zaczął powoli słabnąć i wolnieć. O godzinie wpół do piątej po południu zaczęła się agonia.

Zaświecono gromnicę... Ks. Biskup Nowak rozpoczął wraz z obecnymi odmawianie modlitw za konających...

W dziesięć minut później o godz. 4 minut 40 Kardynał Puzyna wydał ostatnie tchnienie...

* * *

Kapituła katedralna zawiadomiona o zgonie Arcypasterza przybyła w komplecie do pałacu biskupiego. W sali kancelaryi konsystorskiej odbyła sesyę kanoniczną celem powzięcia uchwał i zarządzeń w sprawie pogrzebu. Postanowiono zarządzić bezzwłoczne zabalsamowanie zwłok ś. p. kardynała Puzyny, a po zabalsamowaniu umieścić je na katafalku w kaplicy pałacowej na I piętrze. Tu spoczywać będą przez sobotę, niedzielę i poniedziałek; w poniedziałek o godz. 4 po południu odbędzie się uróczyste wyprowadzenie zwłok z pałacu biskupiego do katedry na Wawelu ulicą Grodzką od strony klasztoru OO. Bernardynów. Odwiedzanie zwłok będzie publiczności dozwolone. Pogrzeb odbędzie się we wtorek 12 t. m. Zwłoki będą złożone w podziemiach katedry niedaleko sarkofagu Jadwigi.

Kapituła postanowiła dalej rozesłać natychmiast telegramy do Ojca św., do cesarza, do wszystkich biskupów polskich, tudzież do wszystkich kardynałów austryackich, do władz centralnych i krajowych.

Żałosne dźwięki Zygmunta obwieściły miastu i dyecezyi zgon Pasterza...

Była wtedy chwila jakiejś podniosłej ciszy w duszach mieszkańców starego grodu...

Wszelkie uprzedzenia, nieporozumienia związane z tem życiem poszły w zapomnienie...

Wszyscy bez wyjątku odczuli żywo, że na sąd Boży poszedł w tej chwili wielki człowiek, wielki i wierny sługa Boży...

Lotem błyskawicy rozeszła się ta wieść po ziemiach polskich...

Wszyscy bez wyjątku pochylili czoła przed tą wspaniałą postacią, — przed tym wzorem nieskazitelnego, czystego jak kryształ — Bogu bez najmniejszych zastrzeżeń w całopaleniu złożonego życia...

Jaki był pogrzeb 11 i 12 września pamiętamy wszyscy... I w pogrzebie było coś, co go wyróżniało od innych — coś niezwykłego, coś dziwnie prostego i majestatycznego zarazem... Pogrzeb był iście tercyarski i kardynalski...

Jak brzmiał testament?

»Nie znając chwili, kiedy Panu Bogu spodoba się powołać mnie na sąd, wyznaję, że wierzę we wszystko, co Święty Kościół katolicki do wierzenia podaje i z tą żywą wiarą i miłością Stwórcy, jak i czystem sumieniem, pragnę stanąć przed Sędzią Najwyższym. Spadkobiercą jedynym całego mego majątku ustanawiam małe Seminaryum, internat dla wychowania kandydatów do stanu duchownego, założone 1 września 1895 w Krakowie w pałacu biskupim za łaską Pana Boga i przy pomocy ludzi dobrej woli. — Zakład ten polecam jak najgorętszej i najtroskliwszej opiece tak Następców moich na Stolicy biskupiej Św. Stanisława, jak i Przewielebnej Kapituły krakowskiej. — Przewielebnego X. Anatola Nowaka, kanclerza konsystorza krakowskiego, czynię egzekutorem niniejszej mej ostatniej woli i zwalniam zarazem od obowiązku składania jakichkolwiek rachunków przed władzami. Kraków 1 lipca 1896. *X. Jan Kniaź Puzyna, Książę Biskup krakowski* mp.«

Jeszcze po śmierci przemówił Arcypasterz do nas wszystkich. W następujących kilku zdaniach, wręczonych w zamkniętej kopercie ks. Biskupowi z prośbą odczytania ich dopiero po śmierci, dał nam poznać całego siebie.

»J. M. J. Pomnąc na słowa Pisma św.: „proch jesteś i w proch się obrócisz" (Gen. III), proszę usilnie, by pogrzeb mój był jak najskromniejszy, karty pośmiertne bez szumnych tytułów, — katafalk w kaplicy i kościele niski, żadnych

wieńców, a tem bardziej mowy by nie było na pogrzebie — chwalić niema co, a ganić nie wypada.

»Na opędzenie kosztów skromnego pogrzebu przeznaczam pieniądze złożone na książeczkę krak. Kasy oszczędn. N. 157,185, pozostała reszta ma być rozdzieloną na Msze św. za mą duszę.

»Przepraszam najpokorniej Członków Przewielebnej Kapituły, jak i wszystkich Braci w Chrystusie za wszelkie uchybienia i przykrości wyrządzone — polecam duszę mą Ich pobożnym modłom«.

ROZDZIAŁ IX.

Ogólna charakterystyka. — Narzędzie Boże...

Ogólna charakterystyka Kardynała Puzyny nie przedstawia żadnych zgoła trudności z tej prostej przyczyny, że w tej potężnej indywidualności były same proste linie — bez jakichś załamań, zboczeń, rozdźwięków.

Indywidualność Kardynała Puzyny nie była bogatą, zasobną w jakieś nadzwyczajne dary, talenty. Kardynał Puzyna nie był geniuszem, nie był nawet bardzo zdolnym... A jednak wzbił się duchowo ponad tysiące, miliony, — stał się postacią historyczną, epokową...

Dlaczego?

Pierwszy powód — Jego wartość osobista, moralna... Był to posąg wykończony w najdrobniejszych szczegółach, zwarty, jednolity, ze spiżu ukuty. Bogactwa w nim nie było, ale to, co było, było uporządkowane, proporcyonalnie ułożone, wzajemnie się uzupełniało, tworzyło piękną, harmonijną całość.

Zrównoważenie kompletne rozumu, woli i serca. Serce obwarowane heroicznem umartwieniem, — namiętnościom, wadom nakazane milczenie, rozumem owładnęła jedna idea, — wola cała, całkowicie i wyłącznie na usługi tej jednej idei oddana... a wszędzie, w całej istocie, w każdem poruszeniu serca, w każdym akcie rozumu i woli pierwsze miejsce zajmuje Bóg, drugie Kościół i wiara św., trzecie Jego dusza i wszystko, co ukochał w Bogu i dla Boga.

Drugi powód tkwi niewątpliwie w okolicznościach i warunkach, w jakich żył i pracował.

Były one wręcz przeciwne Jego usposobieniu, charakterowi, poglądom; nic też dziwnego, że jak z jednej strony wywołać musiały nieporozumienia i starcia, tak z drugiej przyczyniły się w swój sposób do tego, iż się stał osobistością niezwykłą, wysoko się wznoszącą ponad ludzi zwykłej miary.

Kardynał Puzyna kochający z natury i łaski skupienie, ciszę i skromność wysunięty był na pierwsze miejsce w Kościele i społeczeństwie, gdzie panuje olbrzymi ruch, gwar, rozgłos.

On wyznawca i sługa jednej, niezmiennej idei Chrystusowej miał żyć i działać w epoce najżywszej ewolucyi różnych idei, pojęć, poglądów, ścierających się i krzyżujących między sobą, zmiennych, często dziwacznych, bardzo często Jego świętej idei wrogich.

On człowiek woli i czynu, krótko trzymanego serca miał żyć i działać w społeczeństwie miękkiem, wrażliwem, uczuciowem, naginającem się łatwo do każdej zmiany okoliczności, kierującem się przeważnie sercem, zmysłami i fantazyą.

Mąż stałych, granitowych zasad miał żyć i działać w czasach, kiedy zasady i przekonania zmienia się ze wschodem i zachodem słońca.

Mąż spiżowego, szlachetnego i czystego charakteru miał żyć i działać w epoce, gdzie tęgich charakterów wielki brak, miał mieć do czynienia z ludźmi o charakterze słabym, chwiejnym — o charakterze nieraz wprost nieszlachetnym.

Nienawidzący kłamstwa, blagi, blichtru, kochający prawdę, prostotę i szczerość miał żyć i działać w czasach, kiedy powyższe zalety przestały być po największej części zaletami — są wyśmiewane i wyszydzane.

Zapatrzony w Niebo i prawdy wieczne, w Boga i Jego Kościół św., kładący na pierwszem miejscu zbawienie duszy miał żyć i działać w czasach, kiedy ludzkość odwraca swój wzrok od Pana Boga i Nieba ze skargą i wymówką, »iż nic nie wypatrzyła«, a zatapia go dziś w ziemi i doczesności, do pracy się nawołuje w nadziei, że sama bez Boga stworzy sobie raj i znajdzie szczęście na ziemi...

W takiem otoczeniu, w takich warunkach miał Kardynał żyć i działać!... Musiał przeto odbijać i odbijał nie tylko w społeczeństwie swojem, lecz i obcem... Suma przeciwieństw złożyła się na podniesienie Go wysoko, wysoko ponad ogół, gdyż potęga

Jego ducha, żelazny hart woli, wierność idei Chrystusowej nie pozwalały Mu się ugiąć, złamać, z wysokości swego powołania i przeznaczenia na zwykły poziom ściągnąć!...

Niezwykłą była ta postać, niezwykłą zwłaszcza w dzisiejszych czasach, w czasach przesubtelnionych z jednej strony, z drugiej zmateryalizowanych.

Miało się zawsze wrażenie, jakoby Pan Bóg przeniósł tę postać z pierwszych czasów chrześcijaństwa w epokę naszą...

Po co?

»Każdy człowiek jest narzędziem w ręku Bożem do różnych celów, — i ja byłem takiem narzędziem... czuję to i widzę, kiedy przechodzę myślą całe swoje życie i drogi, któremi mnie Opatrzność prowadziła...«

Ku jakim celom posłużyła się Opatrzność tem niezwykłem narzędziem?

Kardynał Puzyna odegrał wielką rolę w całym Kościele katolickim, — największą w Kościele kat. w Polsce i w całem naszem społeczeństwie.

Bądź co bądź wstrząsnął silnie nawą Kościoła... mimo wszystko — przynajmniej pośrednio — pchnął ją na właściwsze tory...

Kardynał Puzyna wyplenił resztki »józefinizmu« z galicyjskiej ziemi, — odnowił ducha Kościoła katolickiego w całej Polsce, na mocniejszych oparł Go fundamentach, własnem życiem i przykładem pouczył, że pracę nad budową królestwa Bożego na ziemi należy zacząć od siebie, t. j. pracy nad zbawieniem i uświęcaniem własnej duszy, — że w tej pracy należy posługiwać się materyałem i narzędziami zostawionemi przez Pana Jezusa i Apostołów w Kościele kat. — staremi wprawdzie, ale zawsze czerstwemi, mocnemi, jedynie skutecznemi —

— przestrzegł przed niebezpieczeństwem, jakie grozi Kościołowi i kapłanom ze strony nowoczesnych reformatorów, którzy chcą odrzeć Kościół i duchowieństwo kat. z charakteru nadprzyrodzonego, — sługi Ołtarza oderwać od tegoż Ołtarza, wyciągnąć z kościoła i zająć sprawami li tylko doczesnemi — owszem wyzyskać ich dla swoich osobistych lub partyjnych celów...

Kardynał Puzyna szarpnął gwałtownie całem społeczeństwem polskiem, — zwrócił jego uwagę na istnienie przykazań Boskich i kościelnych, a w człowieku i chrześcijaninie na istnienie sumienia, — skierował jego wzrok na pierwsze czasy chrześcijaństwa, czasy potężnej, gorącej wiary, będącej zawsze źródłem odrodzenia jednostek, rodzin i narodów —

przestrzegł społeczeństwo polskie przed zapędami porzucenia kat. wiary, która była i jest dotąd jedyną jego ostoją — przestrzegł przed pychą rozumu, t. j. fatalnem w skutkach mędrkowaniem i rezonowaniem w rzeczach wiary i prawd objawionych, — przed idącą za pychą rozumu pychą woli, nie chcącą uznać żadnego prawa, żadnej władzy, nawet Boskiej, nawet kościelnej —

pouczył, na czem właściwie zdrowy i trzeźwy, w skutkach zbawienny patryotyzm polega —

wreszcie w nauce Chrystusa Pana, w katechiźmie, ale w czyn, w życie wprowadzonym – na wzór pierwszych chrześcijan — ukazał Kardynał Puzyna narodowi polskiemu drogę prostą, jedynie skutecznie do odrodzenia, prawdziwego postępu i wolności wiodącą...

* * *

Szarpnął nami, skarcił, jak karci dobry ojciec lekkomyślne dzieci, — skarcił z wielkiej miłości, życzliwości i troski o przyszłość naszą, — skarcił nie w imieniu swojem, lecz w imieniu Boga... bo Kardynał Puzyna tylko dla Boga żył, pracował i cierpiał, — tylko w Bogu źródło prawdziwego pokoju i szczęścia tak wiecznego, jak i doczesnego upatrywał dla siebie, dla swego narodu, dla ludzkości całej.

Pokój i szczęście prawdziwe tylko na tej drodze, ale ludziom dobrej, szczerej, mężnej woli!...

Korzystając z łaskawie udzielonego mi pozwolenia dołączam do powyższych swoich wspomnień odezwę Najprz. Ks. Biskupa Nowaka wystosowaną do Duchowieństwa dyecezyi krakowskiej z okazyi śmierci i pogrzebu ś. p. Arcypasterza ks. Kardynała Puzyny.

Do

Wielebnego Duchowieństwa świeckiego i zakonnego dyecezyi krakowskiej.

Dnia 8 września b. r. w uroczystość Narodzenia Matki Boskiej oddał Bogu ducha drogi nasz Arcypasterz ś. p. Ks. Jan Kardynał Puzyna, a w dniu 12 września złożyliśmy zwłoki Jego w podziemiach Katedry na Wawelu.

Idąc za pociągiem serca nie możemy nie podzielić się z Wami, Najmilsi w Chrystusie Bracia, głęboką boleścią, jaka nas z tego powodu napełnia. Jakkolwiek bowiem długa i ciężka choroba zgasłego Arcypasterza przygotowywała nas na tę bolesną chwilę, to jednak ciężko i bardzo ciężko oswoić się z tą rzeczywistością, że już niema Go wśród nas, że już nie żyje. Jakąż niepowetowaną stratę ponosi Kościół św., dyecezya św. Stanisława i społeczeństwo nasze! Strata to tem dotkliwsza i boleśniejsza, że ś. p. Ks. Kardynał był biskupem niezwykłej miary, był człowiekiem niepospolitym. Piętno swej potężnej indywidualności duchowej wycisnął ten wielki mąż Boży na całem swojem życiu, na wszystkiem, czego się tknął, czego dokonał. Z tego powodu chylą się już dziś przed Nim czoła i inaczej się o Nim wyrażają nawet ci, dla których wiara nasza święta jest rzeczą

co najmniej obojętną, — którzy zmarłego tylekroć o czystość Jego intencyi podejrzywali i Jego działalność ostrej krytyce poddawali. Przyjdzie czas, — ufamy w Bogu, — kiedy historya wszystko we właściwem przedstawi świetle, — w pobudki Jego czynów wniknie, i wtedy ukaże się wszystka potęga, piękność i szlachetność, tej gorącej, wielkiej duszy.

My wszakże, Najmilsi Bracia, cośmy mieli szczęście patrzeć z bliska na życie, prace i cierpienia ś. p. Kardynała, nie potrzebujemy wyczekiwać sądu sprawiedliwego historyi; my ś. p. Kardynała znamy dobrze, — dla nas był On »mężem iście Bożym — homo Dei«.

Wiara tryskała zeń obfitym strumieniem wszędzie i zawsze. Tchnęło nią każde Jego zdanie, najdrobniejszy szczegół życia. Bóg, Kościół św. — to najświętsze, najdroższe, najczęściej powtarzane przezeń wyrazy, to ideały najwyższe, dla których jedynie żył, pracował, cierpiał, dla których wszystko poświęcał, czem był i co miał. W chorobie do łoża przykuty bolał, że już dla nich pracować i poświęcać się nie mógł.

Nikt z nas, cośmy go znali, nie poważyłby się podsuwać Mu jakiejś mniej czystej, mniej szlachetnej pobudki w działaniu, — we wszystkiem miłość Boga, miłość Kościoła św., miłość prawdziwa Ojczyzny, oto najwyższy, najgłębszy motyw Jego działania i życia. Jego dusza, Jego cała istota była rozmiłowaną w dziele Chrystusowem zbawienia dusz, szerzenia Królestwa Bożego na ziemi. Do tego dzieła czuł się szczególniejszą łaską Bożą powołanym i zobowiązanym. Prosta, prawie dziecięca wiara gorąca i żarliwa miłość Boga i Kościoła św. były fundamentem, na którym stanął wspaniały granitowy gmach Jego życia, pracy nad sobą i nad drugimi. Dołączmy do tego wielki hart i niezwykłą potęgę woli, — prawie do heroizmu posunięte zaparcie się siebie, a będziemy mieli obraz »męża Bożego«, — wzór dla nas kapłanów.

Żywot ś. p. Ks. Kardynała wypełnia modlitwa, praca, cierpienie, znowu w stopniu najwyższym, niemal heroicznym. Modlił się zawsze sercem; zawsze i we dnie i w bezsenne noce utrzymywał się w obecności Bożej, jednoczył się z Bogiem, wszystko oddawał i poświęcał dla Boga. Swojem zupełnem oderwaniem się od ziemi, swojem życiem surowem, ascetycznem, imponował wszystkim, nawet swoim wrogom.

Ś. p. Ks. Kardynał był mężem pracy. On nie znał spoczynku. Kto Go widział wspinającego się często po rusztowaniach przy restauracyi Katedry lub budowie gmachu Seminaryum duchownego u stóp Wawelu, zaglądającego niemal w każdy kąt, nawołującego robotników do sumiennej i starannej pracy, mógł sobie wytworzyć obraz, jak ten Biskup musiał pracować, kiedy przebywał w swoim biurze, albo przewodniczył ważnym sesyom, albo odbywał kanoniczne wizytacye parafii. Złożony chorobą, cierpienie zamieniał na modlitwę i pracę, — w duchu łączył się ze swojem duchowieństwem, którego pracę swem cierpieniem użyźniał.

Jakie owoce Jego pracy, choćby tylko w naszej dyecezyi? Sami je oglądajcie i osądźcie, Najmilsi Bracia. Poznacie w nich lepiej Jego ducha, — odnajdziecie tę wielką myśl twórczą i celu świadomą, rozgrzewaną miłością sprawy Chrystusowej; wyczytacie na nich tylko te trzy wyrazy: Bóg, Kościół i Ojczyzna. Pracował ś. p. Ks. Kardynał zawsze z okiem utkwionem w rzeczy wieczne, w przyszłość. Cokolwiek przedsiębrał, czynił, zawsze myślał o przyszłości, sięgał swym bystrym i przenikliwym wzrokiem w przyszłość. Nie pragnął oglądać zaraz owoców swej pracy, zostawiał to dla swoich następców, dla nich raczej pracował, nie dla siebie. Dowodem tego owo wielkie umiłowanie młodzieży dla której wychowania stworzył dwie instytucye: małe Seminaryum i bursę pod wezwaniem św. Jana Kantego.

Kiedy przychodzi wspomnieć o cierpieniach ś. p. Ks. Kardynała, nie wiem, Najmilsi Bracia, jakich słów mam użyć, by ich nie pozbawić uroku i blasku, jakimi są otoczone w oczach moich i tych, co na nie patrzyli.

Jak był mężem modlitwy i pracy, tak był mężem cierpienia. Fizyczne przywiózł z sobą; wzmagały się one niemal z dniem każdym przy tak żarliwej, wytężającej pracy, przy tylu bolesnych przejściach. Cierpienia moralne?! Nie szczędzono Mu żadnych; nie czekając sprawiedliwego sądu historyi, nie wnikając w prawdziwy stan rzeczy, szarpano Jego imię, bezpodstawnie sądzono Jego postępowanie w tym lub owym wypadku, — jedynie na podstawie rozsiewanych pogłosek przypisywano Mu różne winy, — słowem pastwiono się nad Nim za życia w nieludzki nieraz sposób. Bolał z tego powodu ś. p. Ks. Kardynał, nie jakoby żałował, że tak, a nie inaczej postąpił, — cokolwiek

bowiem działał, po głębokiej działał rozwadze, zawsze idąc za głosem swojego sumienia, — bolał wszakże datego, że widział w tego rodzaju objawach, jak wielce rozwielmożnił się pierwiastek zły w społeczeństwie i jacy to ludzie narzucają się na kierowników narodu i dokąd go prowadzą.

Śmierć nieubłagana przerwała długie pasmo cierpień. Pracując i cierpiąc umęczył się wielce; wyczerpany, spalony ogniem wiary, miłości i żarliwości o chwałę Bożą, pełen zasług wobec Boga, Kościoła, dyecezyi i narodu legł na wieczny spoczynek w cieniu Relikwii św. Stanisława i Błogosławionego Wincentego Kadłubka, których cześć tak gorliwie szerzył, legł z prośbą do Was, Najmilsi Bracia, byście Mu wybaczyli wszelkie uchybienia i pamiętali o Jego duszy. Oto zakończenie pisma, w którem wyraził swoją wolę co do pogrzebu, jaki Mu urządzić mamy: »Przepraszam najpokorniej Członków Przewielebnej Kapituły, jak i wszystkich Braci w Chrystusie za wszelkie uchybienia i przykrości wyrządzone, — polecam duszę mą ich pobożnym modłom«.

Niemasz wśród nas ś. p. Ks. Kardynała, ale jest coś, nad czem śmierć mocy nie ma, jest Jego duch. Znamy go, Najmilsi Bracia, bądźmy też nim ożywieni. Zapatrzeni zawsze w rzeczy wieczne, kroczmy mężnie i wytrwale drogą przez Niego wskazaną, Jego własnymi stopy utartą, Jego potem zroszoną. Wypełnijmy i my swoje życie kapłańskie modlitwą, pracą i cierpieniem dla Boga, Kościoła św., i Ojczyzny. W pracy kapłańskiej pozostańmy wierni programowi, którego ś. p. Ks. Kardynał nie wypisał na papierze, ale wyrył wprost na naszej duszy i sercu, programowi, który zawsze, a szczególnie w naszych czasach jest jedynie skuteczny i zbawienny: uświęcajmy i zbawiajmy najpierw siebie, a potem drugich. W pracach i cierpieniu nie traćmy z oczu tej wspaniałej postaci, kroczmy za nią do kresu swojego przeznaczenia, ufni w pomoc i sowitą nagrodę Bożą.

Powołany wyborem Przewielebnej Kapituły katedralnej do zarządu dyecezyi w czasie jej sieroctwa polecam Wielebnym Rządcom Kościołów, aby za duszę ś. p. Ks. Kardynała urządzili uroczyste żałobne nabożeństwo, jeżeli go dotąd nie urządzono.

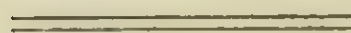
Zarazem rozporządzam, aby wszyscy kapłani dołączali we Mszy św. we wszystkie dni z wyjątkiem świąt I i II klasy modlitwę de Spiritu Sancto (ex Missa votiva de Spiritu Sancto

przy końcu, aż do zamianowania nowego Pasterza, a w niedziele i święta uroczyste odmawiali po sumie wraz z ludem »Ojcze nasz« i »Zdrowaś Marya« celem uproszenia dla osieroconej dyecezyi dobrego Pasterza.

Proszę też Was, Najmilsi w Chrystusie Bracia, gorąco o modlitwę, abym ważne i ciężkie obowiązki, połączone z zarządem dyecezyi w czasie jej sieroctwa spełniał wedle myśli i świętej Woli Bożej.

W Krakowie, dnia 20 września 1911.

† ANATOL
biskup Irenopolitański, Wikaryusz kapitulny.



SPIS RZECZY

CZĘŚĆ II.



DRUKARNIA
W·L· ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE

